

Made in China.
Syzyfowe prace

Spis treści

Złote żniwa	4
Teachers, are my lessons done? I cannot do another one	5
Ojciec dyrektor	6
Ty w mojej klasie uczysz języka angielskiego... ..	8
V for Vivi	12
Przyjaźń polsko-chińska	15
Pijana Chinka w moim łóżku	18
Ghanaia people are English speaking country	20
Rocky.....	20
Nędznicy	22
Werewolf masquerade	27
Z pamiętnika huainańskiego nauczyciela.....	30
Godziny	33
Strangers in a strange land.....	35
Tygodnik jenoci.....	38
Królowa biznesu, królewski biznes.....	41
Mroźny tydzień	46
Gazetka świąteczna	48
New Concept English.....	52
Szkolny biznes.....	55
Pocztówki znad krawędzi.....	57
Księga Ocalenia.....	60
Zaolian	63
Travel broadens the mind.....	66
Kaganiec oświaty, odcinek kolejny	67
Gaokao	69
Middle School Musical	72
Middle School Musical, vol.2.....	79
Amerika ist wunderbar	86
Tajne komplety	91
This is Halloween!	93
Pierdel, serdel, burdel.....	94
Telefon możesz dostać!	98
Kapitan Planeta	100
Praca domowa (nie mylić z umysłową)	103
Pierdel, serdel, burdel, vol. 2	104
Pro-test.....	108
Mała Apokalipsa	112
Błądzić jest rzeczą chińską.....	119
Dating with Chinese Characteristics	125

Jenotaria majowe.....	127
Ojciec Orybazy – edycja dalekowschodnia.....	132
Another Brick in the Wall.....	137
Uniwersytet na peryferiach	138
Kronika dni oblężenia.....	143
Iris	152
Batman z Madagaskaru	156
Scum of the Earth	159
Reservoir Dogs.....	162
Farewell to Arms.....	166

[3.09.2013]

Główną motywacją dla pobytu w Chinach jest mało szczytny cel zarobkowy, a także zdobycie cennego wpisu do CV. Jak też wygląda praca w chińskiej szkole? Tytułem wstępu, w przeważającej większości (rzędu 99%) chińscy rodzice uważają, że dziecko musi spędzać swoje życie na nauce. Jeżeli zapytacie Chińczyka, jak wyglądał jego pierwszy dzień w szkole, to wam nie powie, bo wielu z nich trafia do szkół bezpośrednio z porodówki. Są nawet szkoły dla dzieci jednorocznych, inne rozpoczynają edukację koło czwartego roku życia. Po bożemu dzieci idą do szkoły w wieku sześciu lat

Są różne typy szkół, obcokrajowców chcą wszystkie (pod warunkiem, że je na to stać). Najwięcej to publiczne, takie jak polskie podstawówki. W tych klasy mają nawet do 120 osób, 60 to standard. Panuje chlew, bałagan i naucza się ogólnie może 20%, a całą resztę stara utrzymać w ciszy i ryzach. Wyposażenie klas średnie sięgające niskiego, chociaż bywa, że są projektory lub telewizory. W Huianan znana mi szkoła publiczna ma ładne boisko, o wiele lepsze niż większość w Polsce. Nauczyciele biją dzieci. Ogólnie nikt, kto miał to szczęście, nie poleca.

Są też szkoły weekendowe – nazywają się training centres. Zazwyczaj w czymś się specjalizują (moja – niespodzianka – w angielskim, inne w kaligrafii, rzadziej w matematyce) i uczą dzieci w nieco bardziej cywilizowanych warunkach. Klasy mają do trzydziestu osób, wyposażenie jest dyskusyjne, z jednej strony każda klasa zaopatrzona jest w płaski telewizor i klimatyzator, z drugiej ławki zrobione są z gipsu zmieszanego z drewnem, całe się sypią i są obrzydliwe. Krzesła to malutkie zydelki – chyba myślenie jest takie, że dzięki temu uczeń nie zaśnie i będzie musiał siedzieć prosto. Oczywiście to bzdura, śpią na ławkach i się garbią. Bicia raczej nie ma, ewentualnie zdarza się sporadycznie. Z tego, co wiem, poziom jest nieco wyższy niż w szkołach publicznych, ale nie sądzę, że o wiele. Rodzice wierzą, że dzięki odwiedzaniu tych przybytków, ich pociechy osiągną cudowne wyniki na egzaminie wstępnym na uniwersytet. O tym więcej za chwilę.

Są też uniwersytety. Tam nauka angielskiego jest relaksacyjna, od obcokrajowców oczekuje się, że będą przychodzili i rozmawiali ze studentami w wiadomym języku. Ponieważ studenci nie są zbyt skorzy do odpowiedzi, lekcje zazwyczaj sprowadzają się do tego, że człowiek im bredzi, a oni udają, że słuchają, czasem jakiś super aktywny zawodnik coś odpowie. Znam trzy osoby uczące na uniwersytetach, specjalnie się nie przemęczają (pasja wyszukiwania tematów do rozmów im mija), ale też zarabiają gorzej. Jeżeli ktoś chce zarobić jak najwięcej, wówczas próbuje złapać pracę na uniwersytecie od poniedziałku do piątku i szkołę weekendową na pozostałe dwa dni. Wolnego wiele nie będzie miał (chyba że ma zaprzyjaźnionych ludzi w kadrach uniwersyteckich i mu zrobią prezent, takie historie też są znane), ale przytuli dwie pensje. Ba, uniwersytety zatrudniają legalnie, więc może jeszcze ze szkołą wywalczyć dodatek za to, że nie musieli się bawić z jego wizą pracowniczą. Do tego stopnia fachowości dochodzi się dopiero po jakimś czasie i zrozumieniu (a raczej przyjęciu do wiadomości) realiów edukacyjnych Państwa Środka.

Teachers, are my lessons done?

I cannot do another one

[5.09.2013]

System nauczania w Chinach odbiega znacznie od zachodniego. Niezależnie, w jakiej szkole i do nauki jakiego przedmiotu, kluczem do wszystkiego jest powtarzanie. Każde nowe słówko powtarza się po kilka razy. Powtarza się całe zdania, nierzadko gdy jeszcze uczniowie nie mają prawa go rozumieć. Dzięki temu, jeżeli rozmawiamy nawet z kimś wykształconym i dorosłym, to bardzo często w kółko używał on będzie tych samych struktur lub też odpowiadał nie do końca na temat. Akurat mu się kojarzy, że takie słowa słyszał gdzieś kiedyś, to może się uda. Zazwyczaj się nie udaje.

Moje ulubione repetycje to pojedyncze dźwięki. Pani staje i robi:

– A! A! A!

Klasa powtarza:

– A! A! A!

Super, teraz „E! E! E!”. Potem „I! I! I!”. Na moje drobne sugestie, że niczego im to nie da, już niech słowa powtarzają, dowiedziałem się, że przecież to kluczowe, więc wszyscy uczniowie spędzają hektary czasu na powtarzaniu samogłosek.

Nie pomaga też wpajanie wszystkim uczniom dokładnie tych samych odpowiedzi. Owocuje to tak ciekawymi dialogami:

– *Jakie warzywa lubisz?*

– *Pomidory*

– *Dobrze, spytaj następną osobę.*

– *Jakie warzywa lubisz?*

– *Pomidory.*

I tak dwadzieścia razy. Potem pytamy o owoce. Cała klasa kocha ananasy. Gdy na początku na to narzekałem, nikt nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi, w końcu przecież mówią po angielsku, a ten się czepia. Ba, mówią nawet dokładnie tak jak w książce, więc przecież dobrze.

Najsmutniejsze jest to, że trudno za to winić uczniów, w końcu tego od nich wymagają i tylko raz na czas widzą wariata, który ma jakieś inne pomysły. Niemal bez wyjątku wszyscy nauczyciele angielskiego nakazują uczniom powtarzać zdania z książki. Jeżeli w książce jest, że „John lubi banany, Ann lubi kalafior” i ktoś powie na odwrót, to wiele nauczycielek uzna, że popełnił błąd.

Ojciec dyrektor

[16.09.2013]

Każdy statek potrzebuje kapitana, a każda szkoła potrzebuje dyrektora (choć miewam wątpliwości, no ale niech będzie). Mnie los obdarzył Rakietą – gdyż pan dyrektor takie właśnie sobie wybrał imię, nie bardzo przejmując się tym, że nie jest ono zbyt powszechnie używane. Ja przynajmniej nie spotkałem nigdy żadnego Rocketa, ale przyzwyczałem się, chociaż częściej mówię i myślę o nim jako o kierowniku.

Kierownik nie jest banalnym facetem, którego można by spotkać w przeciętnej polskiej szkole. Choćby dlatego, że jest to szkoła prywatna, którą rozkręcił sam od absolutnych podstaw. Zanim wpadnie ktoś w zachwyt nad jego zmysłem biznesowym, uspokajamy: konkurencja była znikoma, by nie powiedzieć, że żadna. Gdyby metodami, które obserwujemy, próbował działać w jakiejś rozwiniętej ekonomii, to siedziałby z garnuszkiem i harmonijką pod mostem. Co jednak godne podziwu, nauczył się angielskiego do poziomu niespotykanego wśród ludzi żyjących w okolicy absolutnie samemu, bo za bardzo nie było od kogo pobierać nauk.

Z rzeczy, które wzbudzają naszą radość: facet pali więcej ode mnie i wozi w aucie portret Mao Zedonga. Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że nie pije piwa ani wina. Pija tylko bai jiu, za to dość konsekwentnie: parę bań do lunchu i wieczorem. Co dość dziwne, powiedziała nam to z dumą jego żona:

– *Bo Rocket to pije nawet jak nie mamy gości. Tak, tak, nawet jak nikt nas nie odwiedza, to on co wieczór bierze bai jiu i pije samemu.*

I naprawdę była dumna z małżonka! Dzięki temu ja zacząłem pytać, czy moja pani nie chciałaby być tak dumna ze mnie, tylko może piłbym coś innego.

Z rzeczy mniej istotnych: facet jest słowny, konkretny, dużo się uśmiecha, mówi z sensem, w miarę szanuje czas innych, ciągle inicjuje bankiety, na których jego głównym hobby jest upijanie mnie i dbanie, żebym palił przynajmniej raz na kwadrans. Komplementuje nasze lekcje (jak złe by nie były), zna nawet parę słów grzecznościowych, co jak na Chińczyka jest niemałym osiągnięciem. „Hello” potrafi nam rzucić do piętnastu razy dziennie.

Nauczycielem jest świetnym, myślę, że nawet poza Chinami byłby wysoko oceniany. Gdy chce rozśmieszyć uczniów, robi to w sekundę. Gdy mają go słuchać, to osiąga to też w sekundę. Nasza pierwsza wspólna lekcja nieco mnie zaskoczyła – uczeń, który ośmielił się rozmawiać z kolegą, dostał kopa i spadł ze stołka. W publicznej szkole w Gruzji takie rzeczy to norma, ale tu jednak pracujemy w prywatnej szkole dla dzieci przynajmniej z klasy średniej...

Ma też pewne wady: pije zupę prosto z chochli lub wspólnej wazy (to nie jest dowcip...), podłogi restauracyjne uważa za popielniczki i w ogóle dziwi się, że ja postuluję palenie z dala od tych, co nie palą. Czasem popluje, ale zazwyczaj do śmietnika (tutaj to wyraz kultury). Ma też nieco irytujący zwyczaj dzwonięcia do mnie w moją „niedzielę”

w okolicach 8:30 i pytania, czy jestem w domu, a jak tak, to on będzie za pięć minut, bo coś tam – najlepszym „coś tam” było, że ujrzał w ogrodzie koło mego bloku czereśnie i potrzebował pożyczyć drabinę, żeby je pozbiierać. Kiedy indziej po dwóch miesiącach oczekiwania i proszenia o przysłanie kogoś, sam przyznał o 7:40 naprawiać mi spluczkę do kibla. Przez następne półtorej godziny miał miejsce teatrzyk: dwie osoby, które nie mają pojęcia jak, naprawiają kibel. Udało się i działa do dzisiaj. Co jakiś czas Kierownik zagaduje mnie, czy aby na pewno działa, słysząc odpowiedź potwierdzającą, bardzo się cieszy i z dumą podkreśla, że to on naprawił. Gdy okazało się, że mam parę wolnych dni, zorganizował czas, zabierając mnie na ryby. Siedzieliśmy więc kilka godzin na polu, które chwilę wcześniej nawieziono gnojowicą, moczyliśmy wędki w wodzie i on łowił, a ja nie. Nawiasem mówiąc: chwała niebiosom, bo Chińczycy złowione ryby traktują gorzej niż mniejszości etniczne. Dokładałem więc starań, żeby niczego nie złowić, co nie jest takie łatwe, gdy wędkuje się w stawie hodowlanym. Nie chciałem być odpowiedzialny za śmierć w obrzydliwych warunkach nawet średnio mądrej istoty. Jednak Kierownik i tak wydał mi przydział ryb, żeby mi nie było smutno. Okolicznym kotom nie było, ja też jakoś to przeżyłem.

Ubiera się według chińskich kanonów mody, jego strój galowy to komplet dresowy Nike'a. Ma prawdopodobnie dwa samochody (może więcej, dwa widziałem, trzeci niedawno objeżdżał), ale preferuje rower elektryczny, co jest wyrazem zdrowego rozsądku przy panujących tu realiach ulicznych. Rozmowy na poważne tematy wybiera koło drugiej sety bai jiu, te załatwia w jakieś 20 sekund, o pierdołach zaś snuje opowieści godzinami.

W skali przybliżania licznych chińskich chujowizn, katastrof i dramatów, to nie jest opowieść o jednej z nich. Kierownikowi przyznajemy jedną z wyższych możliwych not w skali oceny kierowników. Przynajmniej póki co, bo nie możemy ręczyć za to, że pewnego dnia się nie spakuje i nie zniknie np. z moim bonusem. Być może nasza podejrzliwość związana jest z pochodzeniem z takiego pewnego nadwiślańskiego kraju, bowiem do tej pory niczego finansowo i organizacyjnie Wodzowi zarzucić nie można, a wielokrotnie wyskakiwał ponad nasze oczekiwania. Życie w Chinach to męka jak chuj, ale przynajmniej w tym zakresie trafiliśmy na człowieka z głową na karku i jajami w kroku.

Ty w mojej klasie uczysz języka angielskiego...

[22.09.2013]

W zeszłym tygodniu napisaliśmy o naszym Kierowniku. Dzisiaj znacznie smutniejsze oblicze pracy w prywatnej szkole językowej w Chinach.

Kierownik ma małżonkę, co dziwne nie jest, bo ważną składową chińskiego sukcesu jest założenie rodziny. Małżonka nakazuje się tytułować Shirley, imieniem którego 95% jej rodaków zapisać ani wymówić nie potrafi. Shirley wybrała mnie do swej szkoły, bo tak bardzo spodobała jej się moja pokazowa lekcja. Jak ja się wtedy cieszyłem, człowiek młody to i głupi. Nie wiem nawet od czego zacząć... Zacznę od dobrych rzeczy: pani jest dość ładna, dba o siebie i ubiera się całkiem nieźle jak na panujące standardy. Zdarza się, że podaruje nam jakieś egzotyczne jedzenie, kiedy indziej dostałem nową pościel, ciastka, niemało tego by się zebrało. Dała mi też premię, której dawać nie musiała, na Dzień Nauczyciela. Imię angielskie wybrała sobie rozsądne, co tutaj wcale nie jest takie oczywiste (Chinki lubią takie w stylu Eleven albo Sunshine). Gdy Shirley ma dzień, potrafi chwalić nas do zajebania, aż podejrzewamy, że sobie robi jaja, jedno z nas dowiaduje się, że jest mądre, drugie, że śliczne. I chyba na tym kończą się pozytywne myśli związane z jej bytem.

Jeżeli chodzi o złe, to nie wiem nawet od czego zacząć. Może tu: Shirley jest żarliwą katoliczką od chyba dwóch lat. Poziom jej wiary jest porównywalny do religijności z polskich wiosek, mniej więcej: inne religie wierzą w złego Boga, panie Jezu, daj mi nową torebkę i korale. Kilka razy miałem przyjemność załapać się na modły i śpiewy w klasie (z tych rozumiałem „Jezu, o Jezu”, trochę jak w *Nic śmiesznego*). Gdy pewnego dnia się nieco poróżniliśmy, wyjaśniała mi, że ona jest dobrym człowiekiem, bo wierzy w Boga i dlatego nie mogę jej mówić, że nie ma racji. Już nie mówię. Trochę o Jezusie też miałem, ale w końcu chyba jej Rocket nakazał przestać mnie indoktrynować. Uważa Europę za cudowny kontynent, bo tam się obchodzi urodziny Jezusa. Co tam wolność słowa, internetu, ważne, że jest Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Jednak pełen jej geniusz objawia się w tym, że uczy i dyryguje szkołą. Wprowadziła cudowne piątkowe spotkania, które wyglądają tak: wszyscy siedzą i udają, że jej słuchają, trwa to przynajmniej godzinę. O czym są te spotkania, za bardzo nie wiem, bo są po chińsku, oczywiście musimy na nich być. Początkowo myślałem, że mi nie chcą powiedzieć i spławiają mówiąc: nie powiedziano niczego ważnego. Jednak pewnego dnia w końcu mi tłumaczono na bieżąco i musiałem się zgodzić: bzdury, marnowanie życia. Najlepszą częścią ww. spotkań jest podnoszenie kwalifikacji kadry. Jeżeli tylko Shirley nie zapomni, to uczy trzech nowych fraz, które mają sprawić, że nasi nauczyciele będą lepiej dawać sobie radę po angielsku. Najlepsze:

- *How strong are your glasses?*
- *Do you accept plastic?*
- *No pains, no gains (TAK!).*

Pani dyrektor ma liczne pomysły jak też można usprawnić działanie naszej szkoły. Mają one jeden wspólny mianownik: są fatalne. Niestety niektóre są wdrażane w życie. Listę najdebilniejszych wizji otwiera pomysł szkół języka angielskiego dla osób w ciąży. Nie, nie chodzi o uczenie matek. Miałyby siedzieć w kółeczku i słuchać języka angielskiego, tym samym dzieci na etapie płodu uczyłyby się języka. Poważnie. Ja tego nie wymyśliłem, to ona. Ja bym nawet nie dał rady wyczarować czegoś tak głupiego. Próbowałem jej wyjaśnić, że to nie zadziała, zadając podchwytliwe pytanie:

– *Ile znalazłaś chińskiego jak się urodziłaś? A zapewne twa matka bywała w miejscach, gdzie w nim mówią, mimo wszystko jakoś nie zadziało.*

Nie dała się przekonać. Pomysł na razie został zawieszony, ale przesadnie nie zdziwię się, jeśli zostanie wdrożony.

Shirley uważa (jak wszyscy tutaj), że powtarzanie jest matką nauki i poprawnej wymowy. Zamiast *shoulders* mówi *shourders*, cała klasa za nią powtarza, a ona jest zachwycona. Dziwi się, że ja tak nie cisnę grupy pięciolatków, żeby tokowali. Jest to nieco szkodliwe, bo potem uczniowie mówią jak ona. Jest całkowicie niezorganizowana, ciągle przychodzi do mnie i pyta, np. gdzie jest jej książka. Kusi mnie odpowiedzieć pytaniem na pytanie: a skąd ja mam to, kurwa, wiedzieć? Zresztą odnoszę wrażenie, że przychodzi do mnie ze wszystkim: gdzie jest to, tamto, owamto. Jezu, którego wielbisz, jesteś dyrektorem szkoły! Tej szkoły!!! Od ponad sześciu lat! I pytasz kolesia, który jest tu od pół roku, gdzie też w naszej szkole chowa się materiały edukacyjne. Albo dziwi się, że przynoszę na lekcje np. obrazki zwierzątek, bo ona nie wiedziała nawet, że mamy takie i że leżą sobie spokojnie w szafce w pokoju nauczycielskim.

Chińczycy w starciu anglistycznym ze mną prezentują dwie postawy: albo uznają, że ja wiem lepiej i akceptują moją wersję, albo też forsują na siłę swoją i wywracają język wroga do góry nogami, a przynajmniej mocno go zniekształcają. Oczywiście ona prezentuje podejście „wiem lepiej”. Tego są hektary, ostatnio „in front of” zostało „in the front of”. W książce jest źle, ja też umiem źle, za to cała jej klasa mówi dobrze (no i mówi błędnie, za to ku jej radości). Kostkę do gry się według niej „throw”, nie „roll”. I cała klasa mówi, że „throw”, ja zaś jak debil wyjaśniam, że jednak „roll” jest bardziej konserwatywnie. Na początku jeszcze jej pokazywałem w książkach, słownikach i necie, teraz mi się nie chce, i tak wie lepiej. Daty według niej idą z „in” („in the 10th”), cała jej klasa tak mówi. Shirley jest przeświadczona, że w angielskim nieco brakuje akcentowania, długich dźwięków, zdecydowanie brak tam melodii, więc dodaje autorskie zjawiska fonetyczne, np. „eyes” to według niej „aaaaaajs”. I cała klasa potem mówi: „I have got two aaaaaajs”.

Shirley jest przeświadczona o tym, że jest najlepszą nauczycielką świata, bo kocha dzieci. Mała dygresja: jak ktoś wam mówi, że kocha dzieci, to znaczy, że jest wariatem i lepiej nie powierzać mu swoich. W sensie nie, że pedofil, tyle że po prostu psychiczny. Przeszły przez moje ręce stada dzieci, wolę pracować z nimi niż z dorosłymi, ale dzieci potrafią dać dobrze w pizdę i w życiu nie powiem, że gra mi gitara, gdy wchodzę do klasy, w której siedzi trzydziestka dzieci w wieku 10 lat. Miałem paru uczniów, których polubiłem, ale to było w Gruzji, bo tam dzieci miały jakąś osobowość. W Chinach nie wiem,

za co miałbym polubić ucznia, nie ma ku temu niemal żadnych powodów (na 1600 uczniów znalazłem może pięć osób, które nie są totalnie szablonowe). Do tego mówienie „kocham dzieci” to mniej więcej jak „kocham dorosłych” albo „kocham Słowaków”, czyli absolutna bzdura. Dzieci są różne, są mądre, są głupie, są bystre, są tępe, są przyjemne i są koszmarnie i nie wyobrażam sobie robienia takich generalizacji. Out of dygresja.

Shirley kocha więc dzieci, ale czasem irytuje się, gdy nie mogą one odpowiedzieć na jakieś jej pytanie i wtedy je nieco szarpie. Lubie, gdy robi to w połączeniu z wymaganiem czegoś, czego nie mają prawa znać. Kiedy indziej kazała stać kilkanaście minut uczniom, którzy popełnili błąd. Niech mają za karę i niech cała klasa widzi dobrze, co się dzieje, gdy powie się „He like”. Według niej powtórzenie czegoś świadczy o tym, że się to umie. W ten sposób nauczyła całą grupę sześciolatków Past Simple w minutę. Kazała im powtarzać jakieś zdanie, chyba „I came to school”. Grupa powtórzyła dzielnie, więc uznano, że opanowali Past Simple. Tylko jej pogratulowałem sukcesu, gdy mi go zaprezentowała. Tam akurat nikt pisać nie umie, no ale w pięć minut Past Simple, cudownie. O, z tym inne dobre było: uczymy alfabetu, koło „k” mówię, że jednak chyba trzeba ćwiczyć pisanie, bo powiedzieć potrafią, a pisać nie. Co ja tam wiem, cały alfabet bez pisania ani jednej litery, bo pisanie jest za trudne. A po miesiącu od zakończenia tłuczenia alfabetu, szok, że dzieci nie piszą i nie bardzo czytają. Kiedy indziej okazało się, że uczennica nauczyła się SAMA pisać. Robię im taki listening, że mówię słowo, a oni mają rysować, lubią to, bo chińscy nauczyciele nie pozwalają na takie marnowanie czasu (lepiej uczyć alfabetu fonetycznego ośmiolatków). Jedna dziewczynka wszystko ZAPISAŁA, chociaż z naszych lekcji tego nie mogła umieć. Wołam Shirley i jej pokazuję, że zajebiście, że cud, że ktoś odwalił za nas robotę i nauczył dziecko pisać. No a Shirley ją spierdoliła okrutnie, że nie ma prawa tego znać, że my tego nie nauczyliśmy i jak ona mogła się tak wyłamać z szeregu. Ręce mi opadły, dziewczynka się prawie popłakała, mnie też wiele nie brakowało.

Ogólnie mam takich historii kilka z każdego tygodnia, ale wyżej wymienione chyba wyczerpują znamiona tego zjawiska. To jest fajne do opowiadania przy piwie, ale przeżywanie tego jest mniej radosne. Jej klasa jest dość zdyscyplinowana, bo się na nich wydziera. Gdybym trafił do prywatnej szkoły, płacił za nią i ktoś by tam na mnie krzyknął, bo zrobiłem błąd, to prawdopodobnie tyle byśmy się widzieli.

Nauczyciele uczą od sześciu do piętnastu godzin tygodniowo. Shirley ma w sumie godzin PIĘĆ i wszystkim nam opowiada, jak to bardzo jest dojechana robotą, do której przychodzi zawsze ostatnia, a czasem w ogóle. Takie prawo dyrekcji, ale jednak nie jest to najwyższy standard pracowniczy. Jednak i tak się wszyscy cieszymy, gdy gdzieś wyjeżdża, bo jest chwila względnego spokoju. Jest ona przeświadczona o tym, że jej sprawy są absolutnie najważniejsze i zdarza się często, że akurat np. omawiam lekcję z inną nauczycielką, a ta się wpierdala w rozmowę z jakimś dziwnym, wydumanym problemem. Jej profesjonalizm jest taki, że gdy jeszcze byłem głupi i pisałem poważne plany lekcji, to nigdy nie dała rady całego przeczytać, bo się w nim gubiła gdzieś koło trzeciej „procedury” (plan lekcji na 60 minut może mieć i z 15-20 procedur, cała A4 zapisana jeżeli się chce to naprawdę dobrze zrobić, chociaż tu większość moich planów ma jakieś pięć).

Shirley nigdy nie potrafi poprosić o coś wprost, więc stosuje dość irytującą taktykę „przyczajony tygrys, ukryty smok”. Wiadome jest, że jedno z nas bardzo ładnie rysuje, więc idzie do drugiego i mówi, że potrzebny jej taki rysunek i czy ja nie znam kogoś, kto umie rysować. Nie, nie znam, przypadkiem wieczorem zasypiam, a rano budzę się koło takiej osoby i dobrze wiemy, o kogo chodzi, ale podejść i poprosić wprost, to już nie podejdzie. Innym nauczycielom też truje dupę, ale mnie po prostu uwielbia i jest pewna, że stanowimy wspaniałą team nauczycielski, bardzo lubi moje lekcje.

Koło maja dostała innej obsesji: do kiedy będę uczył w Chinach? Mówię, że do końca nie wiem, moja wiza kończy się 14 lutego, mój kontrakt mówi, że między 10 a 20 stycznia kończę tę wielką przygodę. Ona, że muszę do końca lutego. Mówię, że po pierwsze nie muszę, po drugie na pewno nie, bo patrz: wiza. Ale muszę! Sprawdź sobie daty, proszę. Dzień kolejny, zeszliśmy, że muszę do końca stycznia. No to jest bardziej realne, ale mało. Może ktoś zjebał daty w kontraktach? Ale nie sądzę. Zapytaj się u tych, co mi płacą. Kolejny dzień, telefon o 21. Czy będę miał lekcje 24 stycznia? Mamy 6 maja... Ona musi wiedzieć. Mówię, że jak ostatnio pytałem o zajęcia czerwiec–lipiec, to nie wiedzieli, o wolnym czerwcowym też nie wiedzieli, więc skąd kurwa styczeń? Ale to ważne. Nie wiem. Ale ona musi wiedzieć. To jak musi wiedzieć teraz, to nie będę miał lekcji w styczniu. Ale muszę. 20 minut takiej rozmowy.

Kolejny temat w tym stylu: ja nie mogę jechać na wakacje. Mogę, mam tak w kontrakcie, od początku lipca do ostatnich dni sierpnia. Nie, muszę zostać do połowy sierpnia. Przestałem odpowiadać, na wakacje pojechałem. Po tym jakby zmalowało przeświadczenie, że ja coś muszę.

Jej świadomość spraw takich jak np. wiza pracownicza jest zerowa. Była pewna (a być może nadal jest), że wizę się po prostu kupuje i już mi chciała kupić nową na 2014. Przy tym wszystkim, bardzo mnie lubi i ceni jako pracownika (na tle tego, co tu jest, to żadne osiągnięcie) i truje ciągle dupę, żebym tu został jak najdłużej. W tym celu wymyśliła... Że powinienem pobrać się z jej siostrą. To jest opowieść na następną aktualizację.

[29.09.2013]

Kontynuując przedstawianie kolektywu nauczycielskiego z naszej szkoły, dzisiaj przyszła kolej na mą niedoszlą (póki co) małżonkę, siostrę pani dyrektor. Na imię ma Vivi. Są gorsze imiona, lepsze też. Mnie do niej bardziej pasuje Bazydło, czyli kobieta, która nie wygrała losu na loterii genetycznej. To akurat nieważne, bo na to wpływ miała znikomy, ale już na swój poziom intelektualny jakiś chyba miała, chociaż chwilami trudno w to uwierzyć.

Panna po angielsku mówi tak, że zdarzyło mi się wrzucić chińskie słowo (jedno z dwudziestu, jakie znam), żeby mnie mogła lepiej (lub w ogóle) zrozumieć. To jest poziom Ao, nie ma takiego, śladowa komunikacja na najważniejsze tematy. O ile nam czasem rzeczywistość sprawia tu problemy, o tyle ona kompletnie sobie z nią nie radzi, gorzej jej idzie nawet niż nam. Do tego na każdym kroku robią ją w jajo, np. ja za skorzystanie z kompresora w warsztacie nie płacę ani grosza, a ona pięć jiao. Co chwila jej coś upada, wysypuje się, rozlewa. Jak chce poczęstować zebranych mandarynkami, to lecą na ziemię i toczą się po całej sali. Jak coś je, to się cała tym uświni, jak dziecko. Gdyby to było w filmie, to wyglądałoby na przegięcie.

W roku 1998 miałem szesnaście lat i pojechałem na koncert Iron Maiden. Chryste, jak ja wtedy krzyczałem, tydzień mówić nie mogłem, darłem się jak pojebany cały wieczór. To jednak była szeptanka przy tym, w jakich rejestrach mieści się głos Vivi, gdy prowadzi jakąkolwiek rozmowę. Nie wiem, czy jest w stanie mówić ciszej niż Darek Szpakowski po tym, gdy Polacy strzelają gola. Tylko Darek to ma bardzo rzadko okazję, a ona non stop. Jeżeli w pomieszczeniu znajduje się piętnaście osób, a Vivi zapragnie przemówić do kogoś siedzącego na drugim końcu sali, to przecież nie będzie wstawiała i łaziła, tylko się wydrze. W kwietniu nastały cieplejsze dni, Vivi rozpoczęła chodzenie w koszulkach bez rękawów, dumnie prezentując swe nieogolone pachy. Bywało ciężko, wtedy dziękowałem, że nie bardzo mamy jak rozmawiać, więc nie muszę tak często uciekać wzrokiem na boki.

Nie wiem, jakie ukryte talenty ma Vivi, bo przecież każdy jakieś ma. Gotować za bardzo nie umie, to wiem od niej, sprawdzać nie mam zamiaru. Ubiera się w ciuchy dziecięce, rajtuzy i puchowe kurtki. Często odnoszę wrażenie, że nie są to tekstylia wysokiej jakości. Ciągle coś kupuje z Taobao (chińskiego Allegro) i potem się tym wszystkim chwali. Większość tego na nią nie pasuje i robi akcję rozdawniczą pośród innych nauczycielek (miło, że gratis). Pewnego dnia dostała przesyłkę zawierającą wielkie, białe majtki. Ja nie mam takich gaci, zresztą co ja mówię, na tych majtach popłynęłaby żaglówka pięcioosobowa przy lekkiej bryzie. Vivi oglądała je chwilę i chciała komuś ofiarować, ale nikt nie wziął, widocznie wszyscy mają kompletne firanki w domach.

Jej lekcje to największy pożar w burdelu, jaki w życiu widziałem. Uczy poziomy, delikatnie mówiąc, podstawowe. W kółko powtarzają wszystko, niczego nie potrafią. Ona jednak jest oporowo uparta i wierzy, że pewnego dnia się czegoś nauczą. W sumie gdyby nawet automatycznie przejęli całą jej wiedzę, to by to wiele nie zmieniło. Jako jedna

z nielicznych nauczycielek nie ma oporów, żeby mi się wpięprzyć w pół słowa i drzeć pałę, że coś tam jej się nie widzi. Ponieważ robi to w dużej mierze po chińsku, to uczniowie chyba więcej z tego rozumieją niż ja. Niemniej zapłon ma tak opóźniony, że często po dziesięciu minutach dopiero orientuje się, iż ośmieliłem się wprowadzić nowe słowo. Wprowadzanie słów spoza książki jest bardzo, bardzo zabronione. Uczniowie uczą się też angielskiego w swoich szkołach, więc często znają więcej niż jest w podręcznikach, ta wiedza jest również zakazana. Ma to chiński sens, skoro uczą się z niebieskiej książki, to nie mogą znać słów z żadnej innej.

Jeżeli chodzi o planowanie lekcji, to jest to samo, czyli nic. Przychodzi i rzuca w uczniów paroma słowami, literami, powtarzają sobie to tak przez kilkadziesiąt minut. Wszystko chórem. Czasem piszą. Próby wprowadzenia jakichś zabaw kończyły się tym, że tego nie wolno, bo to przecież poważne lekcje, nie cyrk. W końcu ośmiolatek powinien tyrać jak dziki osioł, a nie oglądać obrazki i opisywać je po angielsku (widzicie ludzie, jaka to niesamowita zabawa była...). Jeżeli ma opisać obrazek, to przecież jakiś jest w książce i ma opisywać właśnie ten. Że przyniesie się coś ciekawszego, to przecież nie można, bo tego nie ma w programie, w programie jest ten jeden obrazek z książki.

Próby omówienia lekcji przed lekcjami kończą się tym, że nie rozumie ani słowa z tego, co mówię, więc mnie unika, jak może. Swoje uwagi przekazuje na bieżąco w trakcie lekcji, nie krępując się obecnością uczniów i ich rodziców. Najbardziej lubię, jak znika sobie, wtedy mam chwilę spokoju i nawet coś czasem się wykluwa na tych lekcjach. Jednak gdy wraca po jakichś dwudziestu minutach, potrafi zrobić kompletny *halt* tego, co robię i powiedzieć, że przecież miałem uczyć czegoś tam, a nie tego, co właśnie robię. To, że tamto zrobiłem pod jej nieobecność, jej nie przekonuje, mówi, że przecież musimy to utrwalić, przerwać, co robimy i cofnąć się o dwa kroki. Szóstka rodziców na sali, uczniowie w połowie rzucania kostką i gadania liczebników, a my sobie ucinamy kilka minut pogawędki po chino-angielsku. Czy to jakaś popierdolona ukryta kamera chińskiej telewizji?

Nie jest trudno wpaść na to, że Vivi otwiera moją listę nauczycieli, z którymi nienawidzę uczyć i gdy tylko widzę jej personalia na grafiku, to dostaję piany, którą maskuję załamaniem się. Zawsze jednak się pocieszam, że jak to odbębnę, to potem będę miał trochę spokoju, bo z racji bycia siostrą kierowniczką Vivi wiele pracować nie musi. W ten sposób nepotyzm nieco ułatwił moje życie, chociaż też i utrudnił, bo nie ma mowy, że jakkolwiek inna szkoła by ją zatrudniła.

Widać, z jaką sympatią, uznaniem i podziwem wyrażam się o siostrze pani dyrektor. Jednak do Shirley nic nie dociera, ona wie, że powinniśmy zostać rodziną poprzez mój związek z Vivi. Pewnego dnia pokazała mi laminowany kwiatek wycięty z papieru. Robota wyglądała jakby alkoholikowi na kacu dali nożyczki i ohaftaną przez niego kilka godzin wcześniej kartkę papieru, no ale taki jest poziom materiałów w mojej szkole, więc przesadnie zdziwiony nie byłem.

– *Czy wiesz, kto go zrobił?* – padło pytanie.

– *Ty zapewne?* – chociaż wiedziałem, że nie, bo jej zdolności manualne są takie, że mam nadzieję, że małżonkowi nie bierze do ręki.

– *Vivi! Czy widzisz jaka jest utalentowana?*

Już dawno temu to wiedziałem. Nie mogliśmy kontynuować rozmowy, bo po tym tekście musiałem szybko gdzieś iść, chyba zapalić do kibla, ale przynajmniej poznałem ukryte talenty Vivi – wycina cudowne kwiatki.

Nietrudno się domyślić, że wizja, iż mogłaby być moją żoną, dzięki czemu stalibyśmy się wszyscy jedną wielką, szczęśliwą rodziną, rozpala mnie co wieczór. Dowiedziałem się od amerykańskiego kolegi, że nie jestem pierwszy, początkowo to jemu chciano wcisnąć Vivi, ale powiedział brutalnie, że nie wie, po jakiemu miałby z nią rozmawiać i tym samym wywinął się z tematu.

W większości przypadków, zaimportowany obcokrajowiec dostaje opiekuna na swój czas pracy dla szkoły. Pierwszą myślą Shirley było, żeby mną zajmowała się Vivi. Jednak w końcu wybór padł na Davida.

Przyjaźń polsko-chińska

[7.10.2013]

Gdy jest się białym człowiekiem, który ostatniej nocy spał marne kilka godzin, a rano nie mógł się umyć, bo bojler łaskawie nie działał, to gdy się wejdzie po raz pierwszy w życiu do sali pełnej Chinek i dwóch Chińczyków, jasne jest, że chłop siądzie sobie koło samca. Choćby dlatego, że mu durnie, że cuchnie. Usiadłem, rozmawiamy sobie. Wydawało mi się, że idzie to opornie, no ale przynajmniej nie było krępującej ciszy. Facet miał jakieś pojęcie o piłce nożnej, dla mnie i tak najważniejsze było, by przeżyć wieczór. W weekend odwiedził mnie, sprawdził, czy wszystko działa i czy nie mam zamiaru się powiesić, przywiózł mi nawet rybę i ją usmażył w sosie sojowym roboty swej matki. Jeżeli powiecie Chińczykom, że nie przepadacie za mięsem, ale rybę od biedy zjecie, spodziewajcie się, że ciągle będą ją wam podawać. W mój pierwszy weekend dostałem dwie.

Po kilku dniach zdałem sobie sprawę, że był to największy los na chińskiej loterii współpracowników (a raczej najlepsze ciastko z wróżbą), David do dzisiaj pozostaje jedyną znaną mi osobą z Chin, która kiedykolwiek była za granicą, i to nawet w Europie, a konkretnie na Węgrzech i w Austrii. Była to podróż służbowa, więc wiele sobie na nartach nie pojeździł i dupy w Balatonie nie pomoczył, ale i tak niemało go to nauczyło. Wyprawa związana była z jego wcześniejszą pracą, jakąś fabryką w Guangdong (nie wiem dokładnie czego, ale na różnych etapach jego pracy tamże zatrudniała między 1500 a 2500 osób). Guangdong to prowincja w południowych Chinach, znana z graniczenia z Hongkongiem i z miasta Guangzhou, które po polsku zwie się Kanton. Dla Chińczyków znaczy mniej więcej tyle, co Kalifornia w latach 30. XX wieku i Klondike w 50. XIX wieku dla Amerykanów: miejsce, do którego wszyscy jadą, bo pieniądze leżą na ulicy i czekają, by je podnieść. To destynacja największych marzeń, poczynając od 1978 roku, gdy Deng Xiaoping stworzył wolną strefę handlu w Shenzhen. Powoli już coraz mniej, ale nadal młody, wykształcony Chińczyk, zwłaszcza znający języki, może w Guangdong zrobić karierę, na jaką nie ma szans niemal nigdzie indziej (inne takie cudowne destynacje to Szanghaj i Pekin – pierwsza jednak wykańcza cenami wynajmu, druga ma tendencję do wywalania ludzi przebywających nielegalnie). Poziom życia jest tam właściwie zachodni, zarobki o wiele wyższe niż w reszcie kraju. Niby ceny też, ale i tak to chiński Nowy Jork i Londyn w jednym (minus życie kulturalne).

Po studiach z angielskiego wyjazd do Guangdong był dla Davida oczywisty. Poznał żonę (no wtedy jeszcze nie żonę) z północy kraju, ona akurat skończyła japonistykę i zajmowała się działem współpracy z Krajem Kwitnącej Wiśni. Założyli podstawową komórkę społeczną („musiałem jechać trzy dni pociągami, żeby poznać jej rodzinę” – wyznał kiedyś) i zostawili córkę rodzicom Davida w Anhui. Wszystko szło świetnie, trzepali kasę, on jeździł do Europy, nadzorował fabryki chińskiego barachła, ona tłumaczyła na japoński, aż przyszedł news, że jego rodzice są chorzy. Dla Chińczyka to wyrok: musi się nimi zająć, inaczej straci twarz, a nie ma niczego straszniejszego niż utrata twarzy,

chyba woleliby tu stracić jaja niż twarz. Szczerze mówiąc to jest miejsce, gdzie moja empatia wysiada: rodzice są chorzy na tyle, na ile chorzy są ludzie z siódmym krzyżykiem na karku, czyli nie to, że umierają właśnie, a po prostu boli ich serce, coś w kościach i płucach, takie życie. Niemniej przyzwali syna jedyne, żeby się nimi zajmował, chociaż oboje mają solidne emerytury (rzecz tu jeszcze rzadziej spotykana niż w Polsce). Na pytania, czy nie mógł wziąć ich do Guangdong, odparł że nie, bo są mało mobilni i musieliby się uczyć kantońskiego, a to ponad ich siły. Dlatego też w listopadzie 2012 przybył do rodzinnej prowincji, osiadł kilkadziesiąt kilometrów od miejsca narodzin i rozpoczął pracę w prywatnej szkole języka angielskiego. Robota poniżej kwalifikacji, za o wiele mniejszą kasę niż poprzednia. Jego żona zaś musiała zostać sprzedawczynią ciuchów w sklepie, bo – przypominając klasyka – w tej prowincji pracy dla ludzi z jej wykształceniem nie ma. Wyobraźmy sobie taką sytuację w Polsce: „kochanie, jutro wynosimy się z Warszawy, bo mój tata w Skierniewicach mówi, że coś go łupie w krzyżu. Nie będziesz już tłumaczką, tylko pójdziesz na kasę do Robana”. No to rozwód by był w trzy do pięciu minut w większości przypadków. Zresztą co ja bredzę, toż w PL by chłop powiedział tacie, że wszystkiego najlepszego, widzimy się na Gwiazdkę i na tym by się skończyło. Tu jednak, niestety, chłop powrócił do stron rodzinnych, bursztynowy świerzop w wersji chińskiej, popadł w pomaganie rodzicom i pracę w debilnej szkole języka angielskiego.

Historia napadu i gwałtu różni się nieco, gdy opowiadają nam ją oprawca i ofiara. Dla mnie opowieść o naszej przyjaźni miała szybki i smutny finał: David opuścił szkołę w jakieś półtora miesiąca po mym przybyciu. Dla niego to opowieść o sukcesie: rzucił posadę w imię własnego biznesu z dobrym skutkiem, przynajmniej na tak zwaną chwilę obecną. Jeszcze ciągnął niektóre grupy do końca czerwca, potem dał się przekonać, że do sierpnia, ale w końcu rozstał się ostatecznie ze szkołą, by pracować na swoim. Ma kilkunastu uczniów, finansowo mówi, że się kalkuluje, chociaż też zależy, jak wiatr zawieje. Zazdroszczę mu nieco, ale żal mi samego siebie. W czasie naszej współpracy wydarzyły się wielkie rzeczy, nauczono mnie:

- jak kupować jedzenie uliczne w opcji bez mięsa i w ogóle w cholere o chińskim jedzeniu;
- jak zdobyć bilety na pociąg;
- jak żyć w tej szkole;
- komu z naszych koleżanek można ufać, a komu nie;
- topografii miasta, z naciskiem na sklepy;
- zabrano pod słynny huainański fortepian;
- pełno innych rzeczy...

Zrozumiałem też, że jak Chińczyk nie byłby ogarnięty, to Chiny są najważniejsze. Nie można niczego krytykować, bo wtedy rozmowa siada i robi się przykro. Nawet czegoś w stylu pociągów. Wyobraźcie sobie, wysiadacie z PKP, który spóźnił się jakieś dwie godziny, całą podróż spędziliście na stojąco, ktoś was pyta, jak też wypadła wyprawa. Jasne jest, co człowiek mówi: że tych skurwysynów trzeba było rozstrzelać, że burdel, że cyrk,

że syf, że w kiblu nasrane, że wody nie było, że cuchnęło. Oczywiście jest, że nasz znajomy pokiwa głową i powie, że tak, że gdyby dziadek nie złożył broni w 1945 to byście poszli zrobić porządek, a tak trzeba się męczyć z tymi socjalistycznymi/kapitalistycznymi bydlakami (opcja do wyboru według poglądów politycznych). Tutaj zaś słyszałem, iż nie mogę być negatywnie nastawiony, bo chińskie koleje uczyniły wielki postęp i że może nie wszystko jest idealnie, ale należy poczekać jeszcze parę lat i wówczas sytuacja ulegnie dalszej poprawie. Że niektóre tabory mają pewne braki w wyposażeniu, ale przecież jest też wiele bardzo czystych. Po drugiej takiej serii komentarzy zacząłem odpowiadać już krótko, że było wspaniale i że w sumie to chciałem sobie poczekać sześć godzin, bo biletów zabrakło.

Przez pewien czas miałem podejrzenia, że może David należy do takiej pewnej dość popularnej tutaj partii i przydzielono mi go, żeby sprawdzał, czy nie mam pomysłów w stylu wyzwalania Tybetu (tak przy okazji, o tym też nie gadajcie z Chińczykami, nawet jak się wydają liberalni). Ze trzy razy próbowałem z nim pić, niestety dwa chińskie piwa wynosiły go na orbitę i musiał iść do domu.

Nasze lekcje były najlepszymi, jakie miałem w Chinach. Długo je przygotowywaliśmy, potem wybieraliśmy rzeczy potencjalnie interesujące i niegroźne dla uczniów (np. „nie, nie wolno uczyć o rozwodzie!”), a w klasie wspólnie walczyliśmy, by oni coś zaczęli mówić. Czasem szło lepiej, zazwyczaj gorzej, ale były to lekcje najbliższe tego, co wiem o nauczaniu. David jest też jedyną znaną mi osobą, którą interesowało pouczenie się o nauczaniu języka, poprosił mnie o materiały, o wyjaśnienia, jak się powinno uczyć małe dzieci, bo nigdy nie miał tego szczęścia.

Pierwszym moim smutnym dniem w Chinach był ten, w którym w sekrecie i zaufaniu powiedział mi, że odchodzi z naszego cudownego zakładu, ale w końcu został na pół etatu, trochę się widywaliśmy i omawialiśmy sobie życie szkoły. Kolejnym, gdy dowiedziałem się, że odchodzi na dobre i naprawdę odszedł. Pójdziemy sobie czasem na jakieś jedzenie, ale to już nie życie tymi samymi pierdołami i wymysłami naszej dyrekcji, które można było żywiłowo komentować. Gdy David opuścił naszą kochaną szkołę, postanowiono przydzielić mi nową asystentkę. Zaszczyt ten kopnął Yang.

Pijana Chinka w moim łóżku

[13.10.2013]

Z Yang nie zamieniłem chyba ani słowa przed kwietniem, bo wydawało mi się, że nie mówi po angielsku, do tego pracę rozpoczęła po mnie. Gdy David odchodził, to najbardziej bałem się, że mi dadzą Vivi, ale ostatecznie wybór dyrekcji padł na nią. Miałem przynajmniej kilka lepszych kandydatur, ale nie dano mi sobie wybrać i z rozdzielnika dali mi ją. Yang to nie jest jej imię chińskie, a angielskie. Cholernie angielskie, starobrytyjskie aż, ale chińskie ma inne. Yang początkowo wzięła sobie do serca, że musi mi pomagać i zapowiedziała się na pierwszą po objęciu przez nią zaszczytnego stanowiska mej asystentki „sobotę”. Próbowałem ugasić nieco jej zapał, aż zdałem sobie sprawę, że to kierownictwo jej kazało, a nie ona sama sobie wymyśliła. W Chinach kierownictwo jest święte (przynajmniej dla większości), oszukać go nie można, więc musiałem ją podjąć, zamiast sobie spokojnie nic nie robić, jak to zwykłem w weekendy.

Yang przyszła o 12, tak jak zapowiedziała, zaznaczając przy tym, że jej bratu urodziło się dziecko o 5 rano, że poszli do restauracji, że piła i że za dobrze się nie czuje (ja też za dobrze się nie czuję, gdy sobie popiję koło 5 rano...). Mówię jej, że jak o mnie chodzi, to może iść do domu i ja zeznam Kierownikowi, że super mi pomogła, tym samym wszyscy będziemy szczęśliwi. Nie, nie, ona mi pomoże, tylko musi najpierw iść się wypróżnić, a potem z godzinę pospać. W moim łóżku (pospać, wypróżnić w mojej łazience, i tak dobrze, że nie na odwrót). Zastanawiałem się, czy to jakaś sugestia, ale szczęśliwie ja nie piłem tego dnia o 5 rano, więc tylko obiecałem, że obudzę ją o 14. Poszliśmy na zakupy, na których wyznała mi, że kiedyś raz w życiu paliła papierosa. No to już jest upadek, to jest sam ryzostok degeneracji. Ogólnie coś tam mi pomogła, nawet uparła się, że umyje mi kuchnię i starguje ananasy na bazarze (ilość hurtową). Ze cztery godziny mi zajęła, potem pojechała do domu, a ja zajaadałem te ananasy cały wieczór i miałem nadzieję, że nie wejdzie jej w nawyk zbyt częste składanie mi wizyt i korzystanie z mojej łazienki i/lub łóżka. Chociaż ananasy nieco wynagrodziły konieczność prania pościeli.

Yang jest idealną asystentką z punktu widzenia dyrekcji, informuje mnie o może 5% rzeczy, które zostały powiedziane i dzieją się na terenie zakładu. Nie dostaję od niej żadnych plotek, żadnych oznak niezadowolenia społecznego. To, że na zebraniu była chryja, to nic takiego, to że ktoś wyszedł, to też normalne i nic ciekawego nie powiedziano. Okazało się, że kiedyś już pracowała w naszej szkole, jako administratorka, ale odeszła i zgodziła się wrócić dopiero, gdy zaoferowano jej uczenie. Dają jej same grupy początkujące, co jest dość dziwne, bo mówi lepiej niż wiele innych nauczycielek. Lekcje z nią w miarę lubię, wiem, że mi pomoże, gdy będzie ciężko (z grupami, które znają pół alfabetu i trzy kolory bywa ciężko dość często), tylko parę razy musiałem hamować jej kreatywność w wymyślaniu gier. Na przykład chaotyczne rzucanie piłką po sali nie jest jakoś przesadnie związane z poznawaniem języka, już nie wspominając o tym, jaki burdel przy tym powstaje (dystrybutor z wodą na szczęście był pusty i na pewno go i tak nikt już

nie potrzebował...). Kiedy indziej spadły mi buty, gdy zderzyła w pałę przeszkadzającego ucznia. I to nie na żarty, tak mu rąbnęła, że mu oczy wyszły z orbit, jak na kreskówkach niemal.

Największy hit zaliczyła, gdy pewnego dnia zaprosiła nas na spotkanie ze swoim kolegą i na wspólne wyjście do salonu gier planszowych. OK, zawsze jakaś odmiana, idziemy. Spotkaliśmy się i wiedzieliśmy od razu, o co chodzi: piękna to ona nie jest, więc chciała sobie dodać prestiżu na randce z chłopem. Chłop akurat wyglądający lepiej niż średnia lokalna, ubrany porządnie, po angielsku jak najbardziej, pracuje w Szanghaju, wpadł na parę dni, ale może ceni przymioty duchowe i Yang coś złowi dzięki nam, grzech nie pomóc. Idziemy spokojnie, gadamy, Yang prowadzi rower i o jak nagle się nie wypierdoli na prostej drodze, a cały rower na nią. Padła na plery, nie może się podnieść, spódnica jej poleciała na głowę, więc spod koszmarnych dziecięcych rajtuzów widać jej kolorowe, dziewczęce gacie, które miała tego dnia na sobie, leży i niczym chrabąszcz w takiej sytuacji i położeniu przebiera odnóżami. Jakoś pomogliśmy jej się pozbierać, ale wyobraźcie sobie taki start randki...

Dziewczyna jest niesamowicie obyta w świecie, a nawet w Chinach. Gdy jechałem na lotnisko w Szanghaju, przygotowała mi pomocne kartki, które miałem okazywać taksówkarzom. Były to papiery przeznaczone dla ludzi z poważnymi kłopotami ze wzrokiem, chińskie znaki miały na nich rozmiary kilkunastu centymetrów. Napisała tam na przykład: jestem obcokrajowcem, nie znam miasta, proszę zawieźć mnie na lotnisko. W sumie chyba taniej by mi wyszło, gdybym po prostu od razu oddał taksiarzowi portfel i karty. O tym, że od paru lat da się na lotnisko dojechać metrem za kilka kuai (taksa to przynajmniej stowa), oczywiście nie wiedziała. Wypada jednak wspomnieć, że jako jedna z nielicznych Chinek ma śladowe pojęcie o zachodniej muzyce. W sensie nie Stockhausen czy Joy Division, ale Avril Lavigne. Tu to i tak bardzo dużo.

Ogólnie nasza współpraca ogranicza się do około trzydziestu sekund tygodniowo. Dostaję od niej plan lekcji, patrzę, czy aby nie ma tam niczego dziwnego (np. wpisania mi dwóch lekcji na tę samą godzinę), mówię „thank you” i tyle naszych rozmów. Wszystkie ustalenia w stylu dni wolne od pracy otrzymuję z innych źródeł.

Po Davidzie i naszych wspólnych rozmowach o wszystkim (zwłaszcza o szkole), spędzaniu wolnego czasu, jedzeniu razem, Yang to upadek z wysokiego konia. Przynajmniej nie chce zostać moją żoną i rozumiem, co do niej mówię, w mej sytuacji to już znaczące plusy i pozytywy. Druga kwestia może wzbudzać pewne zaskoczenie, przecież w końcu to szkoła języka angielskiego, więc co w tym dziwnego, że mówi po angielsku? Te dziwne rzeczy to dopiero będą.

Ghanaia people are English speaking country

[13.10.2013]

Szukałem paru rzeczy o metodach nauki angielskiego w Chinach. Znalazłem coś takiego:

I HAVING TOUGHT IN CHINA BEFORE BUT I HAVE TEACHING ONE GAY IN CHINA WHO RESPOND TO LEARNING IS VERY GREET.AS COMPARE TO MY HOME TOWN GHANA. THIS IS BECUASE I WAS IN ENGLISH TEACHER AT GHANA SO I NO THEIR RESPOND. ALTHOUGH GHANAIA PEOPLE ARE ENGLISH SPEAKING COUNTRY BUT CHINESE PEOPLE ARE NATUREL GIFTED. NOT THAT I AM COMDEM MY COUNTRY BUT IS THE FACT.I WISH THEM HARD STUDY AND THEY CAN IMPEOVE THEIR PRODUCTIVITY

Brak mi słów średnio raz na rok. To był właśnie ten raz na rok 2013. Jezusie Nazareński...

Rocky

[22.10.2013]

Postanowiliśmy zakłócić nieco przedstawianie kolektywu nauczycielskiego, by napisać parę słów o uczniach. A konkretnie o pewnym uczniu. Miałem do czynienia z dziećmi z różnych patologii w Gruzji. Dziećmi pochodzących z nędzy, alkoholików, których rodzice nie bardzo mieli pieniądze, żeby kupić długopisy i noszącymi te same ciuchy przez trzy tygodnie. Miałem upośledzonych uczniów, całkowitych chamów, absolutnych debili i inne tałatajstwo. Oczywiście miałem też cudownych ludzi, z którymi współpraca była przyjemnością.

Wydawało mi się, że transferując się do prywatnej szkoły językowej w Chinach, obetnę margines koszmaru do zera. Prawie się nie myliłem. Łącznie mam ponad tysiąc uczniów, większość mnie wybitnie szanuje i lubi, co wielkim osiągnięciem nie jest przy tym, jak Chinki ich traktują i jak też lekcje Chinek wyglądają. Nikt nie zaadaptował myślenia, że to my jesteśmy dla uczniów, a nie oni dla nas. Kusi mnie zrobić kiedyś jajo, rzucić się na szyję jakiemuś uczniowi i krzyknąć: „BŁOGOSŁAWIONY PRACODAWCO!”. De facto tak się ma sprawa, to dzięki ich obecności mam z czego żyć. Blok zajęciowy w naszej szkole kosztuje 30 kuai, co nie jest małą sumą jak na Huainan (sieciowa szkoła Aston bierze dwadzieścia, prywatni nauczyciele robią nawet za 10).

Jest jednak dwójka uczniów, którzy płacić nie muszą: jedno to córka kucharki, Kate, dziecko spokojne, grzeczne i ułożone, które spędza całe swoje dzieciństwo na lekcjach angielskiego. Drugie to syn Shirley i Rocketa, Rocky. Przebija on nawet Ilję, mego

upośledzonego ucznia z szóstej klasy w Gruzji, który był wyraźnie cofnięty w rozwoju, więc jakoś tam znosiło się to, że rzucał w człowieka gąbką i wydawał dziwne jęki w trakcie lekcji. Rocky według standardów międzynarodowych upośledzony nie jest, chociaż jak dla mnie jest to najbardziej popierdolone dziecko, jakie w życiu poznałem. Jest synem dyrekcji, więc oczywiście uczęszcza do naszej szkoły. Uczę go dwie godziny w tygodniu w dwunastoosobowej grupie sześciolatków. Jest najgorszym uczniem w grupie. W trakcie lekcji potrafi dostać ataku i wrzeszczeć, ryczeć lub drzeć książkę. Gdy pewnego dnia Shirley go uderzyła, to jej oddał. Staram się mu nie dawać niczego do rąk, bo wiem, że od razu to popsuje, rzuci tym o podłogę lub to podrze. Pewnego dnia wysmarkał mi się w maskotkę, którą dostał na chwilę w ramach lekcji. Oczywiście nakrzyczeć nie wolno. Ciągłe jeszcze jestem pytany, czyż nie jest on zdolny i wybitny? Coraz trudniej znaleźć mi wymijającą odpowiedź, są pewne granice zakłamywania rzeczywistości, które trudno mi przekroczyć.

Pewnego dnia zapytałem go o słówko i nie znał odpowiedzi, więc rąbnął głową w tablicę na znak jakiegoś buntu czy piorun wie czego. Za koronny argument, że klasa czegoś nie umie, podawany jest ten, że Rocky nie potrafi. Jeżeli Rocky kiedyś będzie coś potrafił, to chyba zejdę na serce. Gdybym siedział tylko z tym cymbałem przez tydzień, to i tak bym go wiele nie nauczył, bo cechuje go rzadko spotykany opór na wiedzę. Jest w stanie skoncentrować uwagę przez jakieś 20 sekund, po tym czasie się nudzi i zaczyna nim miotać. Oczywiście Rocky'ego nie nauczono, że istnieje coś takiego jak własność prywatna i uważa, że może sobie brać cudze rzeczy bez pytania, wliczając w to moje. Opierdolić nie wolno, więc ganiam czasem za sześciolatkiem, żeby mi oddał moją kostkę albo zabawkę. Innym dzieciom bierze, niszczy i nie oddaje.

Żeby było straszniej, Shirley nalega, żeby Rocky mówił do mnie wuju. Niestety małe bydlę czyni to. Własnych siostrzeńców ni bratanków miał nie będę, więc chociaż tyle radości, ale jakoś trudno mi się cieszyć, że zostałem ojcem chrzestnym chińskiego psychopaty. Myślałem, że może nienawidzi tylko angielskiego, ale nie, z chińskim i matematyką idzie mu podobnie, czyli wcale. W sumie bardzo zaskoczony nie jestem.

Rocky jest zabierany na wszystkie uroczystości szkolne i wspólne kolacje. To chyba jeszcze większy koszmar niż lekcje. A to próbuje łapać ryby z akwariów w restauracji, wszystko leci mu z rąk i robi chlew, a to odkrywa, że coś jest za gorące, za ostre, czy też mu nie smakuje. Wtedy ryk, płacz i biegnie do matki. Oczywiście, że potrafi się wpierdolić w środek rozmowy dorosłych i oczywiście, że nie jest mu zwracana uwaga, że ma tak nie robić. Pewnego dnia zerwał ze ściany dekoracyjną paprykę, po czym wpakował ją sobie do oka. Przez następne trzydzieści minut było czym się zajmować.

Do pieca dają rodzice, którzy spełniają niemal każdą zachciankę dzieciaka. Pewnego dnia zobaczyłem go z wielkim tortem urodzinowym. Złożyłem stosowne życzenia. Okazało się, że nie ma urodzin, ale uparł się, że on chce tort, no to mu kupili. Tort kosztuje ponad stówę. Jest jednak pewna nadzieja: niedawno Rocket wymyślił, że dziecku brakuje kindersztuby i że należy je wysłać do klasztoru Shaolin. Shirley jest przeciwko. Gdy zostałem zapytany o zdanie, to byłem gotów wstać, biec na dworzec i samemu tam go zawieźć, byle nie musieć go więcej oglądać.

[27.10.2013]

Po małej przerwie w przedstawianiu grona pedagogicznego powracamy, by zaprezentować ostatni zestaw szczęścia, jakim los pokarał. Reszta nauczycieli, z którymi współpracuję, nie oferuje materiału na napisanie nawet strony o nich, ale dzięki tym znajomościom mogę powiedzieć, że nieco lepiej rozumiem parę zjawisk i problemów społecznych występujących w Chinach. Chwilami się zastanawiam, czy ta wiedza jest mi tak bardzo potrzebna...

Dobrem w postaci nauczycieli los obdarzył mnie w nadmiarze, co związane jest nieco z polityką szkoły: mieć długie ławy kadrowe ludzi pracujących po trochu tygodniowo, plus jeszcze absurdalnie wielki pion administracyjny. Dzięki temu, gdy ktoś się zwolni, to inna osoba z marszu weźmie te lekcje. Działa to do pewnego stopnia, ale niektóre zmiany są dość drastyczne. Rozpoczynając od tych, których już nie ma między nami.

- Yoyo – zwolniła się po dwóch tygodniach od mego przybycia, raczej nie przeze mnie, a dlatego, że spotkała chłopca i pojechała z nim do Kunming. Dowiedziałem się, że Yoyo nie potrafiła docenić stabilności, jaką daje stała praca, bo była na to za młoda. Była też najładniejszą Chinką w historii szkoły, do tego ubierała się dość gustownie, ale miałem z nią w sumie jedną lekcję, więc trudno mi cokolwiek powiedzieć poza tym, że prawdopodobnie podjęła najlepszą decyzję, jaką podjąć mogła.
- Lamby – druga po Davidzie, przy okazji i jego najlepsza przyjaciółka. W trójkę spiskowaliśmy i obgadywaliśmy władzę na potęgę, tylko Lamby czasem mówiła, że ona nie może słuchać, jak my bardzo brzydko mówimy o polityce naszej szkoły i że tak przecież nie wolno, bo to szefostwo (witamy w Chinach). Nasze lekcje były jednymi z lepszych, jakie miałem w Chinach, opierały się na książkach, ale wychodziły w jakąś stronę, która miała uczniów zaskoczyć i zmusić do myślenia. Zazwyczaj się nie udawało, ale wiedziałem, że wspólnie unosimy się w jednej łodzi po taflach Morza Żółtego i że mam u kogo szukać pomocy. Odeszła i już jakoś nie miała czasu na spotkanie, co potwierdza teorię, że przyjaźń u Chińczyków kończy się, gdy nie pracujecie razem.
- Audrey – gdy wyjeżdżałem w lipcu na wakacje, była najlepszą przyjaciółką Shirley. Spacerki za rękę, szeptki, uśmiechy. Gdy wróciłem pod koniec sierpnia, jej imienia nie wolno było wymawiać. Podobno doszło do jakiejś epickiej kłótni, nie wiem o co, coś nawet było o rękoczynach. Wiadomo jednak, że zniknęła z dnia na dzień. Lekcje się prowadziło bez szalu, ale jakoś mi nie przeszkadzała. Według Chinek najładniejsza z nich. Miała wąsy i nie za wiele pod kopułą. Upierała się, że kaczka nie jest ptakiem, bo nie umie latać. Czym też kaczka jest, nigdy się nie dowiedzieliśmy.

Cała reszta pozostaje na składzie. W kolejności faworyzującej obecnie:

- Ścisłe podium to Stacey i Vivian, tak różne, jak tylko dwie osoby być mogą. Stacey jest czerwona jak Indianin, wiele się śmieje, ubiera w pstrokate, obcisłe cuda, dużo krzyczy i macha łapami, a włosy ma do pasa. Jej angielski nie powala, ale nie ma kłopotów z motywacją do mówienia, lubi poszerzać swe horyzonty i często mówi, że dzięki mnie się czegoś nauczyła i że to świetnie, że jestem. Zawsze mi idzie na rękę i kombinuje, żebym miał jak najmniej roboty, lekcję robimy poniżej pięciu minut („to ty zrobisz jak chcesz, mi się na pewno spodoba”). W klasie pomaga, zmusza uczniów do zrozumienia po angielsku, zanim zaoferuje przekład. Cieszy się z innowacji, nawet jeżeli czasem przestrzelę ponad możliwości grupy. Swego czasu życzliwi donieśli, że chciała zostać moją żoną. Planowała odejść z końcem sierpnia, ale podobno szkoła ją ubłagała, by została. Obstawiam motywację finansową. Vivian za to chodzi w szarych, workowatych ciuchach, ma jasną karnację, krótkie włosy i mówi niewiele. Pierwszą dłuższą wymianę zdań odbyliśmy chyba dopiero po dwóch miesiącach wspólnej pracy. Początkowo wydawało mi się, że mnie nie lubi, potem odkryłem, że jest najlepszą technicznie nauczycielką z tych, które pozostały i mówi najlepiej z nich wszystkich. Potrafimy po 20-30 minut omawiać jedną lekcję, planując wszystkie detale i wzajemnie się inspirować. Byłem nawet na jej ślubie, dzięki temu zjadłem pierwszy raz w życiu żółwia (nie jej prywatnego, podali do jedzenia). Gdzieś koło lipca została ofiarą zemsty dyrygenta (nie chciała grać na flecie, to będzie nosiła bęben) i jest w ciąży. Obawiam się, że długo już nie popracuje, tym samym czyniąc moje życie nieco smutniejszym. Im więcej z nią rozmawiam, tym bardziej podejrzewam ją o bycie cholernie mądrą, która dość dobrze to ukrywa (*Ja, Klaudiusz* w wersji *Ja, Vivian*). Przez to, że jest w coraz bardziej dorodnej ciąży, kusi mnie ciągle powiedzieć jej coś durnego, w stylu „jak chciałaś arbuza, to trzeba sobie go było pokroić, a nie pożerać w całości”.
- Gloria – w poprzednim wcieleniu była chyba Gruzinką, bo ciągle się giba i wiele śmieje. Uwielbia *High School Musical*, ale fizycznie jest dorosła. Robi się z nią dobrze, chociaż czasem nie do końca się rozumiemy. Da się z nią rozmawiać po angielsku, ale nie należy mówić za dużo i za szybko. Gdy kiedyś jeden z uczniów gaworzył z kolegą mimo moich ciągłych uwag, to strzeliła go na odlew w twarz. Też pewnie wkrótce się spakuje, bo dopiero co wyszła za mąż, więc jest potencjalną ofiarą zemsty dyrygenta.
- Oprócz mnie i Kierownika jest w szkole dokładnie jeden mężczyzna, Kevin. Kevin jest wybitnie miły i sympatyczny, jako jedyna osoba dał mi prezent na urodziny, ciągle dostaję od niego jakieś naleśniki i jest wybitnie miły (aż musiałem to dwa razy napisać, bo naprawdę jest bardzo miły – już trzy...). Jego pasją jest madżong, gra ciągle, w każdej wolnej chwili, także na kasę (co akurat nie jest legalne). Kevin czasem niestety przeraża cywilizacyjnie: ziewa niczym tępy chłop pańszczyźniany, niekiedy donośnie beknie, kiedyś nawet znacząco pierdnął. Średnio co 20 minut przeżywa autoorgazm i wydaje wtedy dziwne odgłosy. Nie krępuje go nigdy

obecność innych osób, nawet dziewcząt. Najbardziej boję się, że pewnego dnia zachoruje, wtedy to osmarka i okasze chyba wszystko i wszystkich dookoła siebie. Wygląda jak nasze stereotypowe wyobrażenia o Chińczykach – niski, drobny, niemal chorobliwie szczupły. Ma taką wymowę po angielsku, że chwilę zajęło nam nauczenie się rozumienia go. Posiada jakiś autorski sposób artykułowania niemal każdego wyrazu. Pewnego dnia zdurnieliśmy absolutnie, gdy słyszeliśmy, jak ćwiczy z dzieckiem wymowę. Uszu naszych dobiegała powtarzana na dwa głosy fraza „baloling bluns”, „baloling bluns”. Okazało się, że chodzi o „blowing balloons”. Niemniej wspólne lekcje prowadzi się całkiem przyjemnie, wtedy jakoś udaje mu się wydawać mniej przerażających dźwięków. Zazwyczaj śpi lub gra sobie na telefonie, zostawiając klasę na mej łasce lub niełasce.

- Na miejsce Davida zatrudniono Nancy. Nancy uwielbia Doraemona, ma z nim kolekcję tapet i pełno pierdół. Nie wiem, jakim cudem nie kupiła sobie torebki, która od paru miesięcy leży w pobliskim sklepie. Pewnie ma z nim nawet gacie i stanik, ale mogę żyć bez wiedzy na ten temat. Nancy boi się własnego cienia, Anxietę Cat wygląda dość wyluzowanie przy niej. Ilekroć musi ze mną porozmawiać o lekcjach, wówczas widzę proces długiego przygotowywania się psychicznego i pisanie sobie zdań na kartkach. Niestety informacja zwrotna ode mnie pisana nie jest, więc bywają zatory komunikacyjne, zwłaszcza, iż Nancy jeszcze odkrywa różnice między przysłówkami a przymiotnikami. Jednak dzięki jej przerażeniu wspólne lekcje przeprowadza się bardzo dobrze, kończy się na tym, że ja robię po swojemu, a ona dłubie w telefonie albo mi pomaga.
- Kolejne kuriozalne imię to Feeling. Kobieta jest super miła, gabarytowo większa ode mnie, pracuje jak dzika, ale dostaje grupy podwyższonego ryzyka: zazwyczaj ma po 20-30 uczniów, w tym średnio ze trzech solidnie porąbanych. Jeden chłopak całą lekcję nie chce powiedzieć ani słowa, po czym nagle przez ostatnie pięć minut gada jak nakręcony, inny wydaje niekontrolowane okrzyki, jeszcze kolejny ma ewidentne ADHD i nie może usiedzieć trzydziestu sekund, tylko miota nim jak szatan. Feeling służy jako mój nieoficjalny łącznik z Shirley, wszystko jej donosi i przekazuje, działa też w drugą stronę – zadaje pytania, co ja o czymś tam myślę i potem biegnie zanieść odpowiedzi. Wspólne lekcje są w porządku, chociaż nudne jak diabli (nawet już nie próbuję robić czegokolwiek interesującego), zaś chwilami zamieniają się w chlew. Ma małżonka, kilkuletniego syna, wydaje się zmęczona, więc rozumiem, że woli sobie iść odpocząć, niż siedzieć ze mną w trakcie lekcji.
- Daisy ma tak mało grup, że rzadko się widzimy. Wydaje się znajdować w permanentnej komie, z której czasem wyrывa ją personalnie skierowana uwaga. Jest bardzo nieszczęśliwa, bo dołożyli jej ostatnio lekcji. Mówi niezgorzej, ale o czym byśmy mieli pogadać, pozostaje wielką zagadką. Ma córkę, która jest jej miniaturką, dziewczynka ma identyczne okulary, jest identycznie czesana, mamusia jej nawet sprawia podobne stroje. Trochę jak z horroru, gdy widzi się je razem.

- Ophelia najpierw mówiła, że nazywa się Fiona, ale potem postanowiła zostać Ophelią. Obstawiam inspiracje ze Shreka, ale nie pytałem, bo by się pewnie nie ucieszyła. Według naszej dyrekcji jest wybitną nauczycielką. Jeżeli przyjmujemy chińskie standardy to tak, wszystko jest powtarzane na pamięć, dialogi z książek kute na blachę, a uczniowie jej się boją, bo za zrobienie błędu niszczy. Jeżeli przyjmujemy standardy bliższe naszym: jaki sens ma uczenie ludzi na pamięć dialogów, których czasem w ogóle nie rozumieją? Gdy zmiana kolejności słów sprawia, że uczeń całkowicie nie wie o co chodzi, chyba coś jest źle? Jednak powtarzanie nie jest ograniczone do dialogów, powtarza się na potęgę i cały czas wszystkie dźwięki. A–a–a. E–e–e. Bo to poprawia wymowę. Wszyscy uczniowie w jej grupach znają alfabet fonetyczny: cudowne kuriozum, mam stada dziesięciolatków, którzy wiele nie mówią, ale umieją zapisywać słowa alfabetem fonetycznym – w XXI wieku, gdy wymowę wszystkiego można sobie sprawdzić w dwie minuty w necie. Szczęśliwie, Ophelia mówi dość dobrze, więc da się z nią rozmawiać, tylko – znowu – jeszcze nie odkryłem, o czym bym mógł. Ophelia uważa mnie za mięczaka, bo kiedyś tam rozmawialiśmy o dojechaniu chińskich dzieci szkołą i ona się dziwiła, że im współczuję, że jak to możliwe, że dzieci w Europie nie rąbią weekendów w szkołach, to jak one potem w ogóle coś potrafią?

Poniżej tej kreski są nauczycielki, z którymi współpracować lubię nieco mniej i których im mniej widzę w grafiku, tym lepszy dzień mam:

- Catty (czasem się podpisuje jako Cathy) to dość poważny dramat. Ma same grupy podstawowe, więc alfabet, kolorki i zwierzątka, czasem idzie oszaleć, czasem to jakoś wychodzi. Catty jest podpięta do swojego telefonu i nie złapałem jej nawet dwóch minut, żeby na nim nie tłukła – gry, smsy, internet. Nienawidzę, gdy umawiamy się, że coś przygotuje i przyniesie na lekcję, a potem zapomina. Zdarza jej się pomylić grupy, przybywam z całą ładną lekcją i dowiaduję się, że ojoj, to nie ta grupa, to miało być robione w innej, tu mogę zrobić to (i mam około pięciu minut na wyczarowanie całej lekcji). Kiedyś ją za to zabiję. Po każdej wspólnej lekcji oddycham z ulgą, że wytrzymałem i jej nie pobilem. Catty uważa, że skrót BF (w sensie: boyfriend) wykazuje, że wybitnie dobrze zna angielski. Koło kwietnia gdzieś szukała „BF from Huainan”, ale chyba się nie udało, co biorąc pod uwagę jej zalety fizyczne (jasna, gładka cera, słuszny wzrost i bimbały) jasno pokazuje, że ma coś z głową. Jest jeszcze parę komet, z którymi czasem miewam lekcję, ale bardzo rzadko. Nasza szkoła wymyśliła, że z racji tego, iż uczniów ubywa, trzeba pozatrudniać stada kolejnych nauczycielek, które siedzą i nic nie robią poza graniem na telefonie lub komputerze. Tu właśnie ukazuje się w całej okazałości magia office hours.

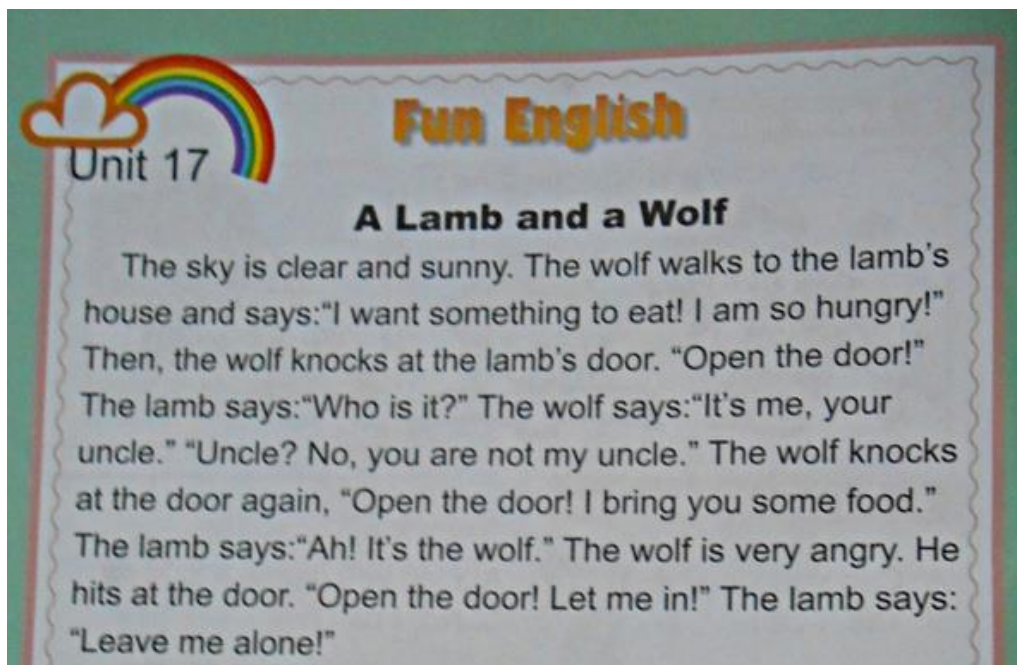
- Pracuje w naszej szkole kobieta-kuriozum, Eleven. Jej poziom angielskiego jest taki, że nie udało nam się nigdy porozmawiać. Gdy coś mi musi powiedzieć, to pyta Nancy, ta jej pisze na kartce i Eleven mi czyta. Ja nie odpowiadam ani słowem, bo wiem, że zrozumienie nie wystąpi. Eleven ma grupy poznające alfabet, zero pomysłów na lekcje (mógłbym się czuć dowartościowany, bo kopiuje wszystkie moje, ale specjalnie się nie czuję), za to lubi durną, nudną robotę. Rekordem tego uwielbienia był dzień, w którym stanęła Ziemia i Shirley nakazała jej przygotować 25 kopii rysunku węża zrobionego przez jedno z nas. Dodajmy, że był to czarno-biały, zwykły wąż zajmujący kartkę A4. Ksero w Chinach kosztuje jakieś absolutne grosze, nawet nie wiem ile, ale niemal darmo (zapewne dlatego nie mamy i sekretarki łązą z papierami), kilkadziesiąt metrów od naszej szkoły można sobie odbić, co tylko się chce, węża, legwana, twarz i zad. Eleven jednak jest Chinką, więc następne dwa dni siedziała i przerysowywała węża 25 razy. Toporna, głupia, absolutnie niepotrzebna robota, ale koleżanka wydawała się być w swoim żywiole. Parę dni wcześniej poproszono Stacey o zrobienie 10 kopii, Stacey po 10 minutach wróciła z 20 kopiami, bo może się przydadzą i lepiej mieć więcej niż za mało. Eleven nie wie, czemu sobie wybrała takie cudowne imię, mówiła, że z jakiegoś amerykańskiego filmu, ale nie pamięta jakiego.

Werewolf masquerade

[10.11.2013]

Powstało na świecie wiele baśni i bajek. Większość z nich opowiada się dzieciom, bo niosą ponadczasowe prawdy, są zabawne, ciekawe albo jeszcze coś innego. Jestem pewien, że i bogaty folklor chiński służy licznymi interesującymi przykładami. Z jakiegoś jednak powodu, niestety nieznanego mi, moi uczniowie zostali uszczęśliwieni opowieścią o wilku i owcy.

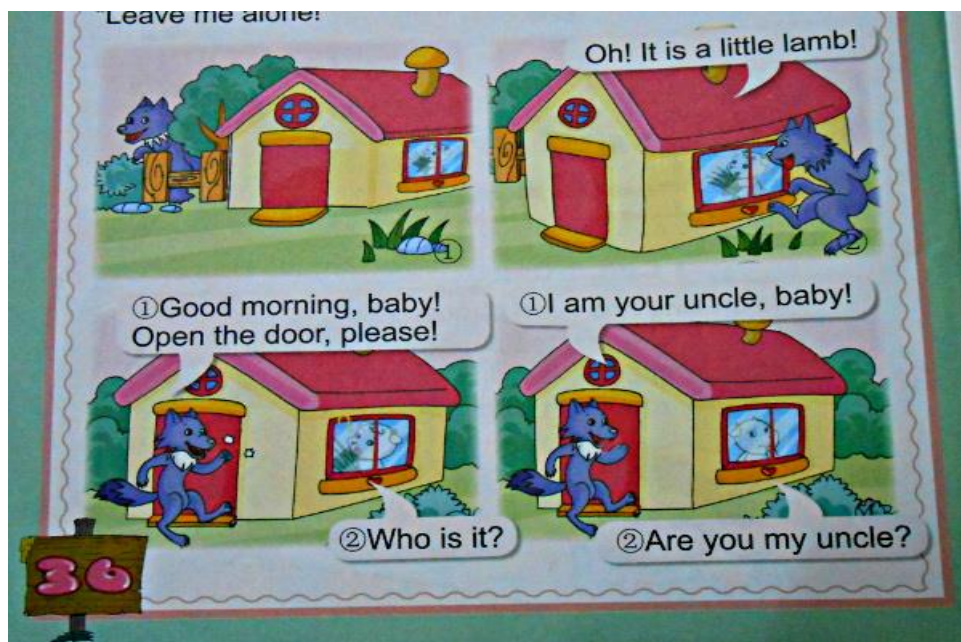
Nie każdego dnia mam okazję polec w starciu z krótką historyjką dla dzieci. Oto treść tekstowa i graficzna z książki do nauki języka wroga dla sześciolatków:



W swobodnym tłumaczeniu, próbującym zachować charakter oryginału:

Owca i wilk

Niebo jest bezchmurne i słoneczne. Wilk idzie do domu owcy i mówi: „Chcę czegoś do jedzenia! Jestem taki głodny!”. Wówczas wilk puka do drzwi owcy: „Otwórz drzwi!”. Owca mówi: „Kto to?”. Wilk mówi: „To ja, twój wujek”. „Wujek? Nie, nie jesteś moim wujkiem”. Wilk znowu puka do drzwi: „Otwórz drzwi! Przynoszę ci coś do jedzenia”. Owca mówi: "Och! To wilk!". Wilk jest bardzo zły. Wali w drzwi. "Otwórz drzwi! Wpuść mnie!".



Owca mówi: „Zostaw mnie w spokoju!”.

Wilk: „Och! To mała owca!”.

1. „Dzień dobry, malutka! Proszę, otwórz drzwi!” 2. „Kto tam?”
1. „Jestem twoim wujkiem, maleńka!” 2. „Jesteś moim wujkiem?”



1. „Tak, jestem. Tęsknię za tobą!” 2. „Nie, nie jesteś.”

1. „Jestem twoją ciocią. Otwórz drzwi, moja droga!” 2. „Nie, nie mam żadnej cioci.”

1. „Otwórz drzwi! Otwórz drzwi!” 2. „Nie. Nie chcę otwierać drzwi! Jesteś dużym wilkiem.”

1. „Wiem że nie wyglądam dobrze ale jestem miły.” 2. „Nie, idź sobie!”



„Wilk nadchodzi!”

„Do zobaczenia!”

Czy mógłby mi ktoś wyjaśnić dlaczego wilk ucieka? Poważnie pytam. Może ja to źle rozumiem, ale wychodzi, że na słowa „wilk nadchodzi!”, wilk daje dyla. Mówi to owca, z którą wilk wcześniej konwersuje przez drzwi. Jeżeli woła swą matkę, by ta przegoniła wilka, to mamy tutaj królestwo zwierząt na głowie, wilki boją się starych owiec. A może w lesie jest inny wilk i mają kosę z naszym bohaterem? A może wilk przez udawanie wcześniej wujka capa i ciotki owcy zapomniał, że jest wilkiem i się przestraszył? Pobiegnął szybko na psychoanalizę? Ale temu jednak przeczą wcześniejsze kadry, gdy już po epizodzie kryzysu tożsamości wspomina, że ryj ma fatalny, ale nie jest taki zły. To wszystko jest dla mnie niejasne. Chińczycy uważają, że to ma sens, nawet chińskie dzieci ta historia bawi i ją niby rozumieją. Ja nie, a jest to dla mnie ważne, bo co jakiś czas wcielam się w tego wilka, pukam do drzwi, a potem na wieść o tym, że nadchodzę, uciekam

Z pamiętnika huainańskiego nauczyciela

[11.11.2013]

- Hitem muzycznym ostatnich dni została Celine Dion z piosenką *My Heart Will Go On*. Mamy rok 2013, a moi chińscy współpracownicy zachwycają się dokonaniem quebeckiej Kanadyjki. Kawalek leci po kilka razy na godzinę. Tym samym Celina pokonała Lady Gagę z *Bad Romance* – hit zeszłego tygodnia.
- Nastala jesień, więc ludzie chorują, trend dodatkowo wspiera to, że siedzimy w sali, która nie ma ogrzewania. Mnie akurat większość życia jest ciepło, ale i tak miałem parę dni z katarem i chrypą. Chinki padają jak muchy, wszystkie kaszlą, kichają i smarkają. Rekordy bije Nancy, która nie potrafi używać chusteczek i co chwilę odpluwa do kubła, wcześniej zbierając flegmę z zatok. Aż w końcu jej się nie udało, pociągnęła nosem za mocno i popluła sobie całą brodę. Siedziała chwilę ze smarkami na ryju, w końcu pomyślała, sięgnęła po chusteczkę i rozpoczęła wycierania giłów z twarzy. Czekam na dzień, kiedy ktoś się przypadkiem posra. Dzięki pracy w Chinach, już nigdy nie spojrzę z pożądaniem na żadną Azjatkę.
- Jak w każdy piątek, nauczycielki mniej zaawansowane robią lekcje pokazowe, a doświadczone koleżanki dają im wskazówki. Ode mnie feedbacku nie chcą, kiedyś jeszcze prosili, ale im się nie podobał – po chamsku upierałem się, by nauczyciele angielskiego negocjowali formę czasownika z podmiotem, „he go” naprawdę nie jest poprawnie. Nastawiałem też na rozróżnianie liczby mnogiej i pojedynczej, a nawet nieregularnych, „three mouses” w lekcji, gdzie uczy się właśnie nieregularnej liczby mnogiej, to jest siara. Te dema są zazwyczaj w połowie po chińsku, w połowie po angielsku. Wszyscy robią dokładnie tak samo, więc jest to mordercza, nuda i strata czasu. Jednak używająca imienia Dale pobiła rekord, zrobiła lekcję angielskiego, która była cała po chińsku. Padły jakieś cztery słowa po angielsku (*you, he, she, it*), a całą resztę – jakieś dziesięć minut – panna mówiła po chińsku. Już gdy potem padło „read a book-uh”, to mi powieka nie drgnęła, przynajmniej to po angielsku. Siedzę i słyszę, że ktoś powtarza sobie „diarrhea”. Pomyślałem, że to jakaś lekcja o chorobach albo uczy się na własne potrzeby. Po chwili okazało się, że chciała powiedzieć „diary”.
- Wszyscy chyba się zmówili, żeby dać mi najdurniejsze lekcje świata. Jedna z nich zawiera blok: Iceland, Belgium, France, Cameroon, Columbia (tak, przez „u”), Canada. Pytam się: co? Narodowości, wiedza o krajach, historia polityczna, geografia, piłka nożna? Nie, nie, mam ich nauczyć, jak się to mówi. Rzeczywiście, ma to sens, uczniowie nawet nie wiedzą, gdzie te kraje się znajdują (może z wyjątkiem Francji czy Kanady, ale pewnie nie), w życiu nie wymówią ich nazw nawet po chińsku, ale sobie poćwiczmy. The Chinese way of teaching pobiło kolejny rekord głupoty. Przy czym nabieram podejrzeń, że Chinka nie lubi, że mnie

uczniowie w miarę lubią i daje mi naumyślnie takie tematy, żeby mnie lubili nieco mniej. To niech mi da gramatykę, przynajmniej miałoby to jakiś sens. Inna zaoferowała mi lekcję: „Teaching points: how are you? I am, you are, he/she/it is”. Się pytam, co ma na myśli. Ćwiczenie tego. Świetnie, tylko to grupa, która uczy się PIĄTY rok i naprawdę mają to opanowane całkiem nieźle.

- W sobotę rano jakimś cudem nie miałem pierwszej lekcji. Gdy przybyłem pod szkołę, na bramie wejściowej wisiał łańcuch. W środku koczowała trójka dorosłych Chińczyków z pobliskiego biura i desperacko próbowała wyjść. Gdy tylko mnie zobaczyli, to zaczęli pokazywać na migi, żeby zawołać ludzi ze sklepu, bo tam mają klucze. Zawołałem, ich wypuścili, mnie wpuścili. Pomyślałem, że pewnie dzieciaki się bawiły, ktoś nieopatrznie zostawił kłódkę i zatrzęsnęły, no bywa, gorsze jaja też już uczniowie wyczyniali, przynajmniej kosza na głowę nikomu nie założyli. W czasie następnej przerwy brama znowu była zamknięta. Zacząłem dostrzegać pewien wzór. Okazało się, że ponieważ nasi uczniowie biegają po okolicy, postanowiono w trosce o ich bezpieczeństwo zamykać szkołę. Niestety część uczniów pozostała na zewnątrz i przepadły im lekcje. Niestety numer dwa – problem sam nie chciał się rozwiązać (tak tu się rozwiązuje 95% problemów – pozostawia samym sobie, byle tylko niczego nie zrobić). Podczas drugiej zmiany dzieciaki znowu chciały iść kupić jedzenie, bo zawsze łażą, rodzice im dają parę kuai w nagrodę za to, że poszły na angielski. Widząc, że wyprawa po serdelki, kacze łapki, chipsy, colę i inny syf normalnie nie pójdzie, rozpoczęły szturm na kraty więzienia. Nieźle im poszło, wyciągnęły wszystkie możliwe zasuwki, zarówno te podłogowe, jak i poprzeczne i rozbujały bramę. Stwierdziłem, że dopalę peta i zawołam kogoś dorosłego, bo wrota chodziły na kilkadziesiąt centymetrów do przodu i tyłu, a liczba kołyszących ją wzrastała. Mogła jebnąć brama, mogły wylecieć zawiasy, mógł pęknąć łańcuch, no nie wyglądało to zbyt bezpiecznie. Gdy mogło zrobić się całkiem zabawnie (czyli łańcuch poważnie rozważał, czy nie zerwać się), przyszła nauczycielka i im otworzyła. Po tym incydencie bramę przestano zamykać.
- Niedzieli myślałem, że nie przeżyję. Rekord chińskiego absurdu roku 2013 padł, gdy zostaliśmy zaproszeni na ślub, by tam zaśpiewać. Całe moje życie ludzie raczej błagali mnie, żebym nie śpiewał, bo boli i się tego nie da wytrzymać. W sumie i tak muszę się naprawdę konkretnie naoliwić, żeby to robić, poniżej trzeciego promila takich pomysłów nie miewam. Tu zaś poproszono nas, żebyśmy we dwoje wykonali rockowy standard na weselu. I to w jednym z najlepszych hoteli w mieście, mają nawet własne schody ruchome, żarcie na stole w takiej cenie, że Mao Zedong się w grobie przewraca. Chciałem to nawet nagrać, ale niestety dyktafon w komórce zawiódł. Dyrekcja była zachwycona, podobnie państwo młodzi. Obłęd. Poważnie, nie wiem jak to możliwe, ale naprawdę im się podobało. Jaki absurd, stoimy na podium weselnym, na sali grubo ponad sto osób, wszyscy niemal biją brawo, robią nam foty, ogólny szal, Patti Smith daje na full z głośników, my się wydzieramy, jaja jak globusy. Nie wyszło chyba tak koszmarnie, bo – szczęśliwie – nie było nas

dobrze słyhać. Pozostaje mieć nadzieję, że nikt inny nie wpadnie na skopiowanie tego pomysłu i że nas znowu za chwilę gdzieś nie zaproszą. Wpisuję do sekcji szkolnej, bo to dyrekcja nas zabrała na ślub jakichś znajomych. Chyba parę punktów na plus u nich, mogą się jeszcze kiedyś przydać, np. przy kombinowaniu jakiegoś wolnego. Z drugiej strony, trudno mówić o długu wdzięczności za udział w bankiecie, gdzie podają kaczkę, kury, żółwie i smażone ananasy.

- Uczymy dzieci: poszedłem po bandzie i na hasło „relative clause” przygotowałem trochę ćwiczeń. Okazało się, że 3/4 z nich mogą sobie wiemy gdzie i dokąd, bo oni znają relative clauses, ale nie which i nie where. W sumie to standard, ilekroć zakładam, że istnieje jakaś ciągłość w uczeniu, wówczas brutalnie walę ryjem w realia. Nie, nie ma. Jeżeli parę miesięcy temu miałem z nimi Present Perfect, to przecież muszę być szaleńcem, jeżeli oczekuję, że będą go znali i teraz. W sumie już się z tym pogodziłem. Pała mi totalnie siadła dwa razy w ciągu tej lekcji: pierwszy raz, gdy nie wiedzieli, co to UK. Miałem to z nimi przynajmniej dwa razy, a chyba nawet trzy. Pokazywałem mapki, mówiłem, że England, że Ireland, że UK (Great Britain odpuściłem). Co tam, nikt nie wiedział. Ale to jeszcze mały Miki. Okazało się, że grupa nie zna słowa....TALK (w sensie rozmawiać, nie talk do stóp). Szósty rok nauki angielskiego! Ale co się dziwić, skoro ich nauczycielka uważa, że kot jest he. W innej, bardzo podstawowej grupie, coteacherka mi zasnęła. W sumie nawet lepiej, a i dla mnie ta lekcja nie była za ciekawa. Im dłużej jestem w Chinach, a raczej w tej szkole, tym bardziej, mam poczucie, że nikt nie oczekuje, że ja kogokolwiek czegokolwiek kiedykolwiek nauczę. Po prostu, znoszą mnie, bo jest trendy mieć kogoś białego. Nie udał się Bryt, nie udał się Amerykanin, ni Kanadyjczyk, to chociaż biały. Uczyc niech lepiej nie uczy niczego, ale niech się gdzieś tam pałęta, bo lokalnym wsiowym się tak podoba.

[11.11.2013]

W czasach Związku Radzieckiego, gdy chcieli, żeby ktoś oszalał, to sadzali go w pustych ścianach i tak zostawiali. Jedni łazili po pomieszczeniu i gadali do siebie, inni zgodnie z wytycznymi władzy tracili zmysły. Coś podobnego stoi pewnie za *office hours* w Chinach. *Office hours* (przepraszam, ale nie znam polskiego terminu, który by oddawał chińskie godziny biurowe, najbardziej zbliżone wydają się być „godziny administracyjne”, ale nie oddają uroku zjawiska) są pomysłem, który miewa miejsce przy okazji uczenia na całym świecie: jak już zaniesiesz kaganek oświaty stadku dzieci, to masz posiedzieć trochę i pozajmować się papierami. W normalnym świecie pisesz raporty, plany lekcji, testy, oceny opisowe uczniów, inne takie. W Chinach zaś... Chinki pracujące więcej poprawiają wtedy zadania domowe, zeszyty, od wielkiego święta jakieś eseje. Ja akurat tych radości nie mam, ale oficjalnie powinienem zająć się wtedy przygotowywaniem lekcji. Bardzo bym chciał, to zrobić, naprawdę, ale muszę najpierw dostać wytyczne od Chinek. Łącznie uczę około czterdziestu grup w systemie rotacyjnym, więc widzę ich co cztery tygodnie. Nawet gdybym się uparł i sobie pisał, co gdzie miałem, to i tak nie będę wiedział, co przerobili przez trzy kolejne bloki zajęć, więc muszą mi to nauczycielki powiedzieć.

Pierwsze dwa miesiące byłem jeszcze głupi i sam prosiłem o informacje, („czy byłabyś tak dobra i mi zeznała, ile liter alfabetu poznaliście?”), ale i tak nigdy nie miały niczego gotowego, więc mówiły, że dadzą później, więc czekałem. Teraz po prostu siedzę i większość czasu niczego związanego z pracą nie robię, piszę albo czytam, nie ma znaczenia, opierdalać się można na całego, byle tylko fizycznie być w szkole. Można jeść, gadać, bawić się tabletem, grać na komórce, niektórzy śpią, inne prezentują na sobie nowe ciuchy z Taobao, które zamawiają na adres szkoły. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś zrobił coś produktywnego (poza tymi zeszytami), co ambitniejsze czytają książki do gramatyki (oczywiście napisane w 95% po chińsku), ale do tego wystarcza im pasji na jakieś kilkanaście minut, po których często idą spać. Tych godzin jest osiemnaście w tygodniu, efektywny czas pracy Chinek to może dwie, mój z sześć, w porywach do ośmiu.

Zazwyczaj w piątkowy poranek otrzymuję wszystkie lekcje, potem zaś spędzam wieczory w domu na pisaniu do nich planów. Nie jestem w stanie dotrzeć do nich, że jak mi rzucają CZTERNAŚCIE lekcji jednocześnie, to naprawdę, nie dam rady tego porządnie zrobić w jeden dzień. Apelowałem, prosiłem, to samo na moją sugestię robił dyrektor. Jak grochem o ścianę i rozsądkiem o Chinki. Lekcję robię od 10-20 minut do czasem i trzech godzin – tu wielka zasługa tego, że w szkole brakuje nawet podstawowych materiałów i np. wycinam kostki do gier, piszę kartki do zabaw lub też spędzam 20 minut, próbując pobrać z netu obrazek jakiejś rybki czy innego pieska. Jeżeli przed piątkiem dostanę więcej niż cztery lekcje, to już mam poczucie, że jest dobrze. Chinki w sumie się dziwią, że ja jakieś plany piszę i kartki lepę, przecież lekcja to znaczy wejść do sali, otworzyć książkę na ostatnim rozdziale i czytać wszystko wspólnie przez bite trzy godziny. To, że można

przynieść jakieś gry, zabawy, papierki, obrazki, przygotować rekwizyty, to dla nich abstrakcja i aberracja. Jeszcze kilka to akceptuje i im nie przeszkadza, że takie cuda wyczyniam, ale niektóre są wyraźnie przeciwko. Oczywiście nigdy nie widziałem, żeby ktoś zrobił cokolwiek spoza książki. Vivian przygotowała kiedyś papierki do czytania i fajną kostkę, Stacey przynosi owoce w ramach motywacji grupy i uczenia na realiach, ale to tyle. Cała reszta zgodnie nie robi absolutnie nic, a planu nie widziałem NIGDY.

Gdy zaś na początku byłem głupi i ambitny i okazałem kierownicze Shirley mój dokładny plan (procedura, czas trwania, uzasadnienie), to dała radę przeczytać dwa punkty i się znudziła. Oczywiście szybko przestałem pisać ładne plany, ale jednak muszę te 50-60 minut jakoś przemyśleć, żeby dzieci i siebie nie zanudzić. Co jednak najzabawniejsze, wiele Chinek zostaje po 17:30 i robi nadgodziny, które wyglądają dokładnie tak samo. Za nadgodziny płacone nie mają, ale robiąc je, pokazują, że są bardzo oddanymi sprawie pracownikami.

Największe kuriozum całej sprawy zasadza się na tym, że ja tych *office hours* w kontrakcie nie mam i robić nie muszę. Życie potoczyło się tak, że najpierw myślałem, że pochodzę, żeby się ogarnąć w sytuacji, poznać ludzi, książki, szkołę, materiały. Ogarnąłem się w jakieś dwa-trzy tygodnie i stwierdziłem, że mi wystarczy, więc powiedziałem, że dobra, nie mam potrzeby dalej oglądać Chinek grających na tabletach i przymierzających gacie z Taobao. Dyrekcja umarła z oburzenia, ja przecież muszę. Szybki mail do pośredników zatrudnienia, przekazali kierownikom, że nie muszę. Dostałem taki cynk, że jak ja nie muszę *office hours*, to oni nie muszą mnie tu trzymać i wezmą kogoś innego. To mnie ubawiło, bo w mojej grupie nauczycieli zrekrutowanych do Chin było ponad dwadzieścia osób i na etapie maja większość była z powrotem w domach – tak im się spodobały Chiny, *office hours* i *the Chinese way*, więc zastąpienie mnie nie wchodziło w grę przed wrześniem, a do tego mój ryj chwilę wcześniej uświetnił szkolne materiały reklamowe. Nie chciałem jednak eskalować problemu, że zarabiam więcej od Chinek, a nie siedzę jak durny w szkole, bo by mnie pewnie znieubiły do końca. Kurtuazyjnie porobiłem dalej *office hours*. Potem w sumie byli już dla nas obojga tak mili, że do wakacji się robiło. Dalej zaś pomyślałem sobie, że gdybym ja tych *office hours* nie miał, to bym się chyba zanudził i zapił na śmierć, więc jakoś tam sobie w głowie poukładałem, że to nie tak źle, że muszę codziennie wstać o 7, więc i położyć się odpowiednio wcześniej.

Plusy są takie, że jak mam wenę do nauki chińskiego, to mi każda chce pomóc (często w taki sposób, że wena mnie opuszcza). Że przynoszą słodycze. Że czasem dyrektor wpadnie i krzyknie „Wspólne wyjście!” i idziemy jeść cuda popijane bai jiu. Każdego dnia dostajemy też dwa lunchy, chociaż jedno z nas już nie pracuje w szkole. Oczywiście wolałbym, żeby to miało jakiś bardziej zorganizowany charakter, a nie model działania „pożar w burdelu”, ale poległem, nie da się. Siedzę więc sobie po parę godzin dziennie, korzystam z obrzydliwej toalety szkolnej, popijam hektolitry zielonej herbaty, żuję gumę, palę peta i czytam gazetkę pośród pisku koleżanek, bo jakaś sobie top w tygrysie paski kupiła i właśnie przysłali. Czy jest to sensowna robota? Nie. Czy się kalkuluje, a hajs się zgadza? Tak, chociaż niby mi za to nie płacą. Czy miałem gorszą pracę? Wiele razy.

Strangers in a strange land

[19.11.2013]

Życie tutaj to nie tylko obcowanie z Chińczykami, ale także z innymi nieszczęśnikami zesłanymi na ten koniec świata. Huainan mający populację około dwóch milionów obywateli może pochwalić się aż ośmioma obcokrajowcami. Czasem liczba migracji sięgała nawet DZIESIĘCIU osób. Pojawiają się też komety górnicze – ludzie z USA, Niemiec, którzy odwiedzają pobliskie kopalnie węgla. Mają oni jednak takie szczęście, że przybywają tu zazwyczaj na kilka dni/tygodni i potem lecą z powrotem. Jednak nawet jeżeli by ich doliczyć, liczba nie-Chińczyków wyniosłaby może czternaście osób. Dzięki takiej populacji ludności typu nie-Han, dość szybko i łatwo się odnaleźliśmy i zaprzyjaźniliśmy.

Jeżeli chodzi o społeczność obcokrajowców w Chinach, to mówi się o ponad pół miliona przyjezdnych różnych narodowości. Jasne jest, że przy takiej liczbie ludzi będą to różne typy osobowościowe, jedni pokochają Chiny, inni będą chcieli uciekać, jeszcze inni – większość – jakoś sobie tu ułożyć życie. Czytając różne fora dyskusyjne, można zaobserwować parę tendencji. Oczywiście wiele osób robi tu biznesy innego rodzaju niż uczenie, tym samym i doświadczenia są bardzo różne. Jedni uważają się za ekspertów i znawców Chin, którzy wiedzą wszystko, więc absolutnie nie interesuje ich żadne inne stanowisko. Inni kochają Chiny i wypisują tym, którzy są nieco sceptyczniej nastawieni, że mają spadać jak się nie podoba (tu często bywają podejrzenia, że to jednak nie imigranci pisali). Mała, ale prężna grupa jest przeciwko rekrutowaniu tu zbyt wielkiej liczby osób o niekoniecznie najwyższych możliwych kwalifikacjach, bo potem przyjeżdżają, chleją, chędożą na całego i niszczą wizerunek społeczności.

Krążą legendy o tym, co też biali (umówmy się, że „biali” to skrót dla „ludzi z Zachodu”, choć są tutaj też oczywiście przybysze o innym kolorze skóry, ale stanowią zdecydowaną mniejszość) głupiego narobili i jaki też sobie wstyd przynieśli. Niedawno pijany Brytyjczyk w Guangzhou skakał po samochodzie i wysikał się na niego. Całe stado narobiło sobie kłopotów, bo beztrąsko zostawały po kilka miesięcy dłużej, niż ich wiza pozwalała. Problem jest też taki, że Chińczycy lubią często wrzucać wszystkich do jednego worka – gdy jakiś Brytyjczyk zgwałcił Chinkę przed kilkoma miesiącami, wówczas nasilono kontrolę dokumentów wobec wszystkich obcokrajowców (oczywiście gwałty związane są z brakiem odpowiednich papierów, jak komuś dadzą wizę pracowniczą lub biznesową, to już nikogo nie może napaść). Rzecz jasna, ta zasada obowiązuje tylko w jedną stronę, gdy Chińczycy robią coś obrzydliwego, to wówczas należy ze zrozumieniem odnieść się do tego, że to przecież tylko jedna osoba, a tak wiele jest fajnych.

Pod względem kontyngentu zagranicznego życie wyjątkowo z nas nie zakpiło i obdarowało nas dość wdzięcznym zestawem przyjezdnych. Cykl opisowy wypada rozpocząć od jedynej poza nami przedstawiciela Europy. Adam przybył do Huainan chwilę po mnie. Okazało się, że jest to jego kolejny rok w Chinach, wcześniej przerobił

północ kraju i Nankin. Gubię się w paru momentach jego osi życia, ale chyba jest tu już od jakichś pięciu lat. Wymiała po chińsku, skończył filologię na odpowiednim kierunku, nie dlatego, że tu się nauczył. Nie wiem, czy to kwestia pochodzenia ze starego kontynentu, czy kompatybilności osobowości, ale większość wieczorów kończy się tak, że gadamy ze sobą więcej niż z pozostałymi. Adam napierdala się z Chin cały czas, ma milion świetnych historii związanych z życiem tutaj. Niektórych mogę słuchać i słuchać. Moje ulubione:

- Jego szkoła w Nankinie była podobna do mojej w Huainan – dyrekcja oszczędzała śmieszne pieniądze na rzeczach sensownych, wydawała oceany pieniędzy na bzdury. Aparat administracyjny większy niż pracujący, do tego ciągle powiększany, diabli wiedzą po co. Siedzieli w sali z klimatyzatorem, ale wyłączonym, bo przecież prąd. Typ podwieszanych pod sufitem, bez pilota nie włączysz. Adam skojarzył, że taki sam sprzęt ma w domu, więc przytachał pilota i odpalił. Chinki dostały histerii, wyłączaj, bo jak dyrekcja zobaczy, to zwolni, Jezus Maria, Mao kochany! Dyrekcja zobaczyła, odbyła rozmowę wyjaśniającą: „Rodzice są przeciwko grzaniu w salach”. Adam powiedział, że w takim razie prosi o kierowanie przeciwników grzania w klasie do niego, on z nimi porozmawia. Nikt nie przyszedł.
- Kiedy indziej szkoła dała mu do prowadzenia lekcję pokazową dla nowych uczniów i ich rodziców. Temat: *Fun with the card*. W domyśle: świąteczną, bo grudzień. Pogadał, ma być dwudziestka uczniów, mają wszyscy lepić czerwone kartki z obrazkami. Przeglądnął zasoby, stwierdził, że mają na stanie jedną parę nożyczek i dziesięć kredek. Wszedł na Taobao, wyszukał potrzebne rzeczy: zestaw dziesięciu nożyczek za 5 kuai, kredki jeszcze taniej. Tu jednak dyrekcja się zasepiła, bo robić pokazową lekcję to jedno, ale wydawać pieniądze? Nie, nie, zrób z tym co mamy!
 - *Mamy jedną parę nożyczek i dziesięć kredek.*
 - *Tak, tak!*
 - *Będzie dwudziestu uczniów!*
 - *Mogą się przecież dzielić przyborami.*
 - *Mają porąbać kredki na kawałki? Już nie mówiąc o tym, że pewnie czerwona będzie bardziej popularna od szarej.*
 - *Dasz radę!*

Niespodzianka, *Fun with the card* średnio się udało.

Jeszcze wcześniej pracował na uniwersytecie. Mówi o tym czasie to samo, co mówi wiele osób, których dotknął ten zaszczyt: rozczarowanie poziomem studentów, ich alergią na pracę, myśleniem na poziomie dwunastolatków. Eseje, które dostawał, były w dużej mierze przewalone z internetu. Mówił im, żeby tego nie robili, bo zna chiński i sobie wyszuka. Oczywiście, jak grochem o ścianę, a potem walka: no tak, to jest litera w literę jak ten w necie, ale ja to sam pisałem. Z tej roboty go zwolnili za uwalenie zbyt dużej liczby uczniów.

Obecnie Adam jest szefem jednej z filii w sieciowej szkole, oczywiście w oddziale na Huainan. Sytuację ma boską, jest bogiem na zakładzie, zarabia raczej dobrze, Chińczycy muszą się z nim liczyć, wdraża powoli cywilizowane standardy pracy, żegna opornych cymbałów, rekrutuje nowych ludzi. Opowiadał nam parę razy o tym, że Chinki i Chińczyków niestety trzeba bić, a nie nagradzać, bo tylko to przynosi efekty. Ma prawo przyznawania premii, na początku dał wszystkim 100%, bo uznał, że skoro może ludziom pomóc, to czemu nie? Jeżeli ktoś prosił o wolne, to zawsze je dostawał. Po niecałych dwóch miesiącach doszło do punktu zwrotnego: pewnego dnia potrzebne okazało się być wiadro. Poprosił jedną z Chinek, żeby pognęła je zakupić. Ta odpowiedziała, że teraz nie może, bo właśnie gra na tablecie. Że się wkurwił to delikatnie powiedziane, wszystkim zabrał dodatki do pensji, skończyło się przychylne rozpatrywanie wniosków urlopowych, bo coraz częściej okazywało się, że nie ma komu robić. Ludzie uznali, że jest miękki jak przyrodzenie po stosunku, skoro lekko daje kasę, więc go nie trzeba szanować ani słuchać. Jak zaczęli dostawać kijem po grzbiecie, to się nagle zebrali do roboty, w sumie smutna to konkluzja. Premie powoli wracają, ale tylko za wybitne osiągnięcia i zapał do pracy. Jednak walczy z innymi problemami mentalnymi: chciał przyjąć do pracy Chinę, która studiowała w UK. Panna mówi po angielsku idealnie, oczywiście z brytyjskim akcentem. Przyszli więc do niego nauczyciele, którzy mówią fatalnie, ale za to bez brytyjskiego akcentu, że po co on ją chce brać, że ona ma zbyt duży narzut brytyjski, że na pewno jest fatalną nauczycielką. Oczywiście byłoby niegrzeczne sugerowanie, że jak się wybijasz ponad przeciętność, to przeciętność zgnoi cię do swych potrzeb (to nie tylko w Chinach).

Adam prawdopodobnie zostanie w Chinach na dłużej. Odnosi sukcesy w pracy – liczba uczniów w jego szkole skoczyła z niecałych 50 do ponad 300 w zaledwie pół roku od jego przybycia. Znajomość języka sprawia, że bez problemu wszystko jest w stanie załatwić. Nasza znajomość zaś wpływa dodatnio na ilość sprzedanego alkoholu i papierosów w pobliskim barze.

[2.12.2013]

Tydzień tak banalny, że aż nudny. Nawet Kierownik jakoś chodził niby pijany jak zwykle, ale nie wywracał się ani nie gadał głupot, tak jakby nawalił się od niechcienia, z poczucia obowiązku. Jego dziecię nieco ożywiło jedną z lekcji, wgrzyzło się chińskiej nauczycielce w kurtkę i nie chciało puścić. Gdyby to było moje dziecko, to by nie było, bo bym je zabił za coś takiego. Innego dnia kochany Rocky nudził się i wszedł mi na lekcję, otwierając drzwi z kopa. Świetnie to wpływa na koncentrację grupy.

Poza tym totalna nuda. Wydawałoby się, że podanie wyników egzaminu, zanim ten zaczął w ogóle być przeprowadzany, jest jakimś ciekawszym wydarzeniem, ale i to już kiedyś miałem. W salach nie grzejemy i grzać chyba już nie będziemy, temperatura panowała przez dwa dni ujemna. „Ciepło się ubierz” – dowiedziałem się, gdy wspomniałem, że jutro będzie minusowa. Jeszcze mnie podpytywano, czy planuję zostać po styczniu. Niech śnieg spadnie, wtedy mnie na pewno przekonacie do siedzenia tutaj miesiącami.

Trochę mnie rozbawili uczniowie, którzy mieli wypisać składniki pizzy. Dwie osoby niezależnie podały kocinę i jedna psinę. Jak już o psinie mowa, na pobliskim bazarze otworzyła się nowa... Masarnia. Oto ekspozycja:



Tak, to są psy

Szkoda jednak byłoby, gdyby ten tydzień minął bez przybliżenia realiów pracy szkolnej w Chinach. Po krótkim namyśle zdecydowaliśmy się na opowieść o materiałach szkolnych. Jak wszędzie, tak i w Chinach uczniowie wyposażeni są w książki. Chyba wolałbym im dać broń ostrą... Chińskie książki mają w sobie porównywalne ilości chińskiego i angielskiego. Te dla mniej zaawansowanych jeszcze ujdą, poza tym, że kładą obłędny nacisk na naukę alfabetu fonetycznego (u ośmiolatków, którzy będą żyć w XXI wieku, gdy kliknąć sobie mogą dowolną wymowę w pięć sekund) i wyszukiwanie podobnych dźwięków. Dodatkowo panuje tam awersja do uczenia czasowników. Są litanie słów, które są im absolutnie zbędne (np. *lid*, *pod*, *coop*, *dinosaur*), za to słowa tak podstawowe jak *ask*, *choose*, *get* nie pojawiają się ani razu. Autorzy dokładają też starań, żeby nie wprowadzać żadnych czasów poza Present Simple i ukrywać liczbę mnogą – w chińskim nie ma, to i w angielskim być nie musi. Jeżeli wprowadzane są negacje, to na zasadzie uczenia się na pamięć tłuką np. „I don't like apples”. Jeżeli w następnym rozdziale będą zwierzęta i chcielibyśmy, żeby nam ktoś powiedział coś w stylu „I don't like cats”, to zazwyczaj nie podołają, bo mają wbite do głowy, że jak „don't like” to jabłka, nie koszyki. Pytania to samo, „Do you like...?” kodują sobie na owoce i nie wiedzą, że można pytać o parę innych rzeczy w ten właśnie sposób. W ogóle owoce są osiłą poznawania angielskiego, potem zwierzęta i warzywa.

Moje ulubione jaja, w książce na poziomie A1 (czyli zaczynamy umieć się przedstawić i powiedzieć, że tata jest taksjarem) są słowa, które trafiły tam, bo są krótkie i się łatwo rymują. Uczniowie powtarzają więc kolejno:

- *lobe* – płatek w sensie anatomicznym, *ear lobe* – płatek uszny;
- *coop* – kurnik, kojec;
- *lute* – lutnia;
- *lark* – skowronek;

I zwycięzca:

- *gorse* – janowiec ciernisty.

Oczywiście nie rozumieją z tego nic. Ba, janowiec ciernisty to sam nie wiem, co to. Znaczą sprawdziłem i wiem, ale bez jaj... Na następnej stronie fotoskan wprowadzenia do książki. To jednak są jeszcze jagódki, bo kwiatuszki będą potem...

We hope that preparing children for this kind of test will encourage teachers to adopt a communicative mode of teaching, which will lead to success in language learning for the children they teach, and make their lessons a pleasant experience. The production in many countries of new course books such as this one, which prepare children for the Cambridge Young Learners English Tests, is a welcome development, and one which I am very pleased to note. I hope that the teachers will enjoy using it in their lessons, and I would like to wish all the children in their classes every success in their English lessons.

Michael Halstead

*Dr Michael Halstead
Group Chief Executive
University of Cambridge Local
Examination Syndicate*



Cambridge Young Learners English

Szkoda, że nie pokuszono się o nieco bardziej zawiłą czcionkę (przy tej such wygląda na suck), ale dziwi szczególnie tak skromne użytkowanie zaimka *their* i pisanie zdecydowanie za krótkimi zdaniami do dzieci koło ósmego roku życia

Królowa biznesu, królewski biznes

[9.12.2013]

Po tygodniu pod znakiem niczego nastął tydzień wrażeń. Rozpoczęliśmy weekend, wypiliśmy konkretną butelkę erguotou, zeżarliśmy śniadanie i zastanawialiśmy się, czy już pora układać puzzle 3D, czy jeszcze nie, a tu nagle koło 14 telefon. Kierownik zaprasza na kolację, bo Shirley wróciła z wyjazdu szkoleniowego z Ningbo. Dobra, przynajmniej nie trzeba gotować. Umówiliśmy się na 17:30, co jest smutnym znakiem, że Kierownik się westernizuje – jeszcze kilka miesięcy temu dzwonił o 16:15, że chce się spotkać o 16:30. Gdy wróciłem z wakacji, to jeszcze z pociągu nie wysiadłem, a on już mi organizował czas wolny, po dobie podróży miałem 40 minut na przejście z dworca do domu, umycie się i zebranie na lunch z nim (plus oczywiście srogie chłanie). Mieliśmy tylko nadzieję, że będzie nasz amerykański kolega, Harrison. Jego obecność owocuje tym, że gadamy we trójkę i olewamy Chińczyków, co może za grzeczne nie jest, ale i tak nie mamy o czym z nimi rozmawiać, a Harrison ma 36 lat, dość dużo dobrych historii, chleje jak dziki, słucha mniej więcej tego, co ja i dużo czyta. Gdy więc zobaczyliśmy, że też go zaproszono, odetchnęliśmy z ulgą.

Jeszcze słowo o wyprawach Shirley: od kilku tygodni Shirley jeździ do Ningbo (jedyne dziesięć godzin w jedną stronę, Szanghaj jest bliżej) na szkolenia z HR (jestem pewien, że w Szanghaju też je mają, pewnie nawet lepsze). Już dobrze było, gdy się zaczęło kilka tygodni temu, bo powiedziała, że to firma HR, my z Harrisonem, że to zapewne Human Resources. Okazało się, że nie wie. Dopytaliśmy, uczą tam, jak być lepszym szefem. Firma zwie się HR i Shirley nie mogła zrozumieć, że to, że my wiemy, co to HR, nie znaczy, że znamy dokładnie tę firmę. Pytała nas chyba dwadzieścia razy, czy to dobra firma. A skąd my to mamy wiedzieć? Harrison mówi po chińsku lepiej ode mnie, ale jeszcze trochę wody w Huai upłynie, zanim zacznie czytać chińskie internety i zapewne nie będzie wtedy szukał informacji o chińskim coachingu. Wyjaśniliśmy więc wtedy Shirley, że HR to skrót dość międzynarodowy, ale nam nie uwierzyła, bo to przecież nazwa firmy, w której się szkoli. Przyznam, że jestem wielkim zwolennikiem jej wyjazdów, bo wtedy nie ma jej w szkole i nie truje mi dupy. Oczekuję niecierpliwie, aż wróci uzbrojona w wiedzę i zacznie ją wdrażać w życie, ale na razie od kilku tygodni dyma tam i z powrotem, jej małżonek chleje jak dziki, a my wszyscy mamy święty spokój.

Zaproszono nas do restauracji słynącej z kaczki. Dla wegetarianina raj, no ale dobra, dali makaron z orzeszkami, rybę, ziemniaki, no i wielką kaczkę w zupie. Wprawdzie czasem dla doświadczenia jem jakieś mięso, ale tym razem nie byłem zbyt zainteresowany. Kaczka siedziała na środku wazy, ociekała zupą, a gdy Kierownik zaczął energicznie ogryzać jej dziób, a potem głowę, wiedziałem, że to nie będzie ten dzień, gdy spróbuję kaczyny. Harrison ma topową historię, jak to rzygał trzy dni

po zjedzeniu kaczey głowy, ja takiej opowieści nie chcę mieć.

Popiliśmy trochę i Shirley zaczęła truć dupę, wyjątkowo jemu, a nie mnie. Wymyśliła otwarcie nowej szkoły. Jeszcze nie utworzyliśmy trzeciej, a ona chce otworzyć dwie kolejne. Pierwsza (czyli czwarta) to jeszcze luz, w Ningbo. Podczas wizyty w Ningbo raczej nie odniosłem wrażenia, że im tam tego dobra brakuje, no ale parę milionów mieszka, pewnie by się jeszcze jedna szkoła wcisnęła. Wprawdzie nie wiem, po co otwierać szkołę DZIESIĘĆ godzin od miejsca, gdzie się mieszka i pracuje, jest parę miast w obrębie dwóch godzin od Huainan, gdzie pewnie z podobnym powodzeniem mogłaby otworzyć placówkę. No ale dobra, jak chce się bawić w jeżdżenie tam i z powrotem, to w sumie nie moja sprawa, niech uderza na Ningbo. Najlepsza jest jednak szkoła numer pięć, to właśnie o niej trula Harrisonowi. Chce ją otworzyć... W New Jersey. Tak, w New Jersey w USA. W Chinach tego chyba jeszcze nie podrobili. Powtórzmy: Chinka, która nigdy nie była poza Chinami, chce otworzyć szkołę uczącą angielskiego w New Jersey. Kogo będzie uczyła? Dzieci, które pojadą tam z Chin. To dopiero początek dobrego: następnie Harrisonowi pokazano adres z New Jersey i zapytano go, czy to prawdziwy adres. Powiedział, że wygląda ok, ale że istnieje internet. Czy on zna tę firmę? Nie, akurat tej chińskiej firmy nie zna. To niech ktoś z jego rodziny podjedzie tam i sprawdzi ten adres, czy jest prawdziwy i dobry. Harrison westchnął i powiedział, że jego rodzina mieszka w Nashville, jest to kawałek od New Jersey, raczej się tam nie wybierają w najbliższym czasie. Czy New Jersey to dobre miasto na otwarcie szkoły angielskiego? Springsteen jest z New Jersey. Tyle wspólnie byliśmy w stanie odpowiedzieć na to mądre pytanie. Dorzuciliśmy, że obok jest New York. Czy New York jest większy od New Jersey? Czy New York to dobre miejsce do otwarcia szkoły angielskiego i jak to zrobić?

Jak to wszystko usłyszeliśmy, a głównie on odpowiedział, to milcząco wymieniliśmy spojrzenia. Który z nas jej powie? No dobra, wspólnie. Rozpoczęliśmy wykład pod tytułem „Magia internetu”. Że wpisuje się słowa w wyszukiwarkę i otrzymuje trochę wyników, może tam coś jest o tej firmie? Należałoby zrobić to po angielsku i po chińsku. Można też wejść na Google Maps i zobaczyć, czy na tym budynku są jakieś znaki działalności firmy, czy też jest to stary magazyn na narzędzia. Potem można na przykład do nich spróbować zadzwonić i zobaczyć, czy odbierają, co powiedzą przez telefon. Nie, nie zrobimy tego wszystkiego, Harrison może zadzwonić, gdy się uda ustalić, że oni istnieją i zada im pytania, które pozwolą chociaż zobaczyć, czy mają jakiegokolwiek pojęcie o tym biznesie. Ja mogę pomóc z wyszukiwaniem strony, telefonu, opinii po angielsku.

Dobrze, to teraz etap drugi: istnieją na świecie wizy. Niestety, dzięki temu, jaki tu kraj otwarty i ile ludzie podróżują, to nie wiecie, ale istnieją wizy. Na przykład my ich potrzebujemy, żeby móc tu pracować. Gdybyś chciała wysłać dzieci do USA, by się tam uczyły, to pewnie musieliby z nimi pojechać rodzice. Nawet jak nie, to same dzieci by potrzebowały wiz. Ale rodzice... Sprawa prosta nie jest, w sumie nie wiemy nawet, jak bardzo skomplikowana, ale na pewno nie mogliby tam pracować. Ba, pytanie jest,

czy w ogóle by pozwolenie na wjazd dostali, raczej nie. To są wielkie pieniądze... Amerykański system podatkowy... Prawny... Personel odpowiedni, z uprawnieniami do pracy z dziećmi... Motyka... Słońce... Na tym etapie na razie sprawa utknęła. Podoba mi się podejście Kierownika. Siedzi, pije sobie bai jiu i nic nie mówi. Jeszcze kilka miesięcy temu jakoś tam odnosił się do pomysłów małżonki, że trudno, że może się nie udać, że jak to. A teraz ma w dupie, po prostu leje sobie lewą i wypija do mnie lub Harrisona prawą. My jeszcze chcemy być grzeczni, więc jakoś tam się odnosimy do tego, ale tego wieczoru poszło dość dużo niezłego bai jiu. Ich kochane dziecię oczywiście interesowało się butelkami...

To wymaga wstępu: co lepsze bai jiu są sprzedawane w butelkach, które są fabrycznie zalane chyba jakąś gliną. Ma to zapewnić odbiorcę, że wie, co kupuje, że nikt tego bai jiu nie podmienił po drodze. Żeby się człowiek nie zajechał przy otwieraniu, dają mu do tego metalowy kluczyk, którym należy odłamać korek – zatyczkę. Oczywiście nasz Kierownik nie ucieka się do takich subtelności, tylko wali gwintem o podłogę. W nim i tak jest dozownik, więc szkło nie wpadnie, efekt ostateczny jest ten sam, chociaż mniej estetyczny. No i nie wymyślił tego, że jego dziecię się rzuci ścisnąć butelkę, bo jak tatuś to lubi... Na szczęście była ciocia z telefonem z grami, więc siedział z zakrwawioną łapą i grał w jakiś idiotyzm.

Potem nastał kolejny tydzień, bo tygodnie jakoś mają tę właściwość, że następują po sobie. Jedno z nas nie ma wizy pracowniczej i musiało pojechać do Hongkongu, żeby się jej zrobił reset turystycznej. To jest inna ciekawa sprawa, bo podróżnik ma wizę powiązaną z pracowniczą, posiadacz wizy pracowniczej napisał nawet pismo do Ambasady Chin w PL, ci je przyjęli, ale uparli się przy tym, że drugie z nas musi opuścić Chiny z racji właśnie tej wizy po 90 dniach pobytu, by odblokować kolejne 90 dni. No więc autor tych słów został sam. Czyli ja zostałem sam.

Od tego miejsca rozpoczyna się krótki cykl: Chińczycy czasem nie są tacy źli. Wpadł do mnie David, kolega chiński, z którym pracowałem kawałek czasu, przy tym mój najlepszy chiński kolega. Pogadaliśmy chwilę, gdy dowiedział się, że jestem sam, zaprosił mnie na jedzenie na bazar, spotkaliśmy jego żonę, pogadaliśmy po chińsku, zmienił zaproszenie na do siebie do domu. Polazłem, bo nie miałem nic do roboty, pewnym plusem życia w nudnym mieście jest to, że ochoczo odpowiada się na każde zaproszenie. Babcia Davida ma 86 lat i jest nawróconą chrześcijanką. Dowiedziała się od niego, że przyjechałem tu z Polski, takiego magicznego kraju, który jest cały chrześcijański. Założyła więc oczywiście, że ja też, dała mu więc kazanie, że widać jaki ja jestem dorodny i zdrowy, bo w Jezusa wierzę. Nie prostowałem, ale żał mi się jej zrobiło, zbierała i przylepiała na ścianie wszystkie rzeczy z Jezusem i Maryjką, miała kalendarze sprzed lat, maluteńkie obrazki, wycinki nawet jakieś. Bym jej „Strażnicę” zamówił albo jedna wizyta w moim sklepie parafialnym i ścian by nie wystarczyło, a jeszcze by sobie mogła zmieniać co tydzień cały wystrój.

Spotkałem tam też kuzyna Davida, jest policjantem. Opowiedział, że zrobili niedawno nalot na bary, KTV (czyli lokale z karaoke) i restauracje, by zbadać jakość

sprzedawanego tamże alkoholu. Niemal wszystkie miejsca miały podrabiane trunki – podejrzewam, że chodzi o to, że do butelki po bai jiu za 100 RMB wlewają takie za 20. Z whisky to już nie wiem, co robią, to już nawet nie, że fatalna, to jest po prostu katastrofa, która prowadzi do toalety. Oczywiście do tego wcale tania nie jest.

Następnego dnia miałem fatalny humor, wyciągnąłem więc Vivian na pogadanki. Chyba z 90 minut staliśmy sobie i gadaliśmy o Tajwanie, Tiananmen, systemie edukacji, Polsce, Chinach i tym, że nie chcę zostawać na kolejny rok w tej radosnej szkole. Potem się w sumie za dobrze nie bawiłem i aż mnie ludzie pytali, co tak smętnie siedzę, a ja mówiłem, że zimno, bo nie chciało mi się mówić nic innego, a zimno było jak najbardziej zgodne z prawdą. Kierownik uznał, że pewnie mi samotnie i zaprosił na kolację do swoich znajomych. Było grubo. Chyba najlepszy hotel w mieście, jedna z najlepszych sal tam, numer 666 (najlepsza to 888). Bai jiu lało się litrami. Pod koniec kierownik nie dał rady, pierwszy raz w życiu widziałem, żeby wylewał ten boski trunek, ale walczył już resztką sił, więc co mu się wydawało, że nikt nie patrzy, wylewał zawartość kieliszka na podłogę. Oczywiście hitem była możliwość napicia się z białym. Chińska etykieta picia bai jiu, poziom ekspert: każdy ma swój dzbanuszek i do niego malutki kieliszek. Teoretycznie, polewasz sobie małe kielce i spokojnie wychylasz. Zazwyczaj po jakiejś czwartej kolejce kieliszki odchodzą w niebyt i wali się dzbanami. Czasem dzbany potrafią wykończyć zebranych, więc ci bardziej dotknięci naturą wieczoru powracają do kieliszków. Oczywiście dwóch panów uparło się, że musimy pić dzbanami, chyba w ciągu niecałej godziny 400 mililitrów bai jiu przyjąłem, myślałem, że mi uszami pójdzie. Jednak i tak główną atrakcją było kochane dziecko dyrekcyj, które powiesiło się na zasłonach i zerwało je z niewiarygodnym hukiem. Potem poszliśmy do herbaciarni, gdzie najtańsza herbata kosztowała dokładnie 500 RMB, a do 2500 dochodziły. Ogłoszono, że jak wypijemy po dwie szklanki, to na drugi dzień rano nie będziemy mieli kaca. Nie do końca była to prawda, ale gorzej też bywało.

Drugi dzień działał się w standardzie do momentu rozpoczęcia wieczornej lekcji. Po pięciu sekundach wywaliło prąd. Popatrzyłem przez okno, inni mieli. Sobie myślę, że pewnie Kierownik zapomniał zapłacić rachunku. Szczęśliwie, wymyślił rozwiązanie problemu: zrobimy lekcję na trawniku przed szkołą. Wylegliśmy. Konkretnie ciemno. Zimno jak szlag.

– *Co ja mam z nimi tutaj robić?*

– *Och, pobawcie się.*

Zadumałem się i kombinowałem, w co też można się bawić, gdy się nie widzimy. Wyszło mi, że możemy spróbować jakąś wariację *Simon Says*, ale gdy myślałem, jak im zrobić do tego prezentację, to rodzice zaczęli zabierać swoje pociechy. Byłem im wielce wdzięczny i sam też pojechałem do domu. A raczej do baru z przystankiem w domu. Cudów tam może nie było, ale posiedzieliśmy sobie w kilku obcokrajowców i Chinek. Odrabiam tutaj czasy, gdy jako nastolatek nie miałem przesadnych sukcesów w dosiadananiu się do stolików ładnych dziewczyn, tu wałą do nas tłumami.

Niestety komunikacja bywa ograniczona, ale akurat miałem dzień, że z przyjemnością robiłem sobie z jedną sto zdjęć w objęciach, a potem próbowałem się nauczyć kilku chińskich znaków. Próbowałem też jednej wyjaśnić, że moje ulubione zwierzę to *limao*, jenot, i niech mnie nauczy dobrze to wymawiać. Niestety sam tak źle to wymawiałem, że nie wiedziała, co autor ma na myśli.

Weekend jakoś dalej zdarzał mnie z sytuacjami, które powodowały, że lepiej myślałem o ludności lokalnej. Ruszyła mnie dziewczyna z jakąś straszną alergią-wysypką-diabli wiedzą czym. Jakies osiem lat, płatami skóra odchodziła jej z twarzy i rąk. Wyglądało to nieco jak oparzenie drugiego lub trzeciego stopnia. Miałem zawias w myśleniu w trakcie lekcji, zacząłem rozważać, że zapewne ją grupa rówieśników stygmatyzuje, nie chcą się z nią bawić, bo się boją zarażenia, więc pewnie jest samotna. Z drugiej strony, siedziała i gadała z koleżanką, więc może z dziećmi jest lepiej niż z dorosłymi. Ale czy gdyby nie ten chory przemyśl i stopień zarażenia atmosfery, wody i jedzenia chemikaliami, to czy ona musiałaby tak mieć? Tak jak się napisze, że ileś tam tysięcy osób cierpi na choroby skórne z powodu zanieczyszczenia wód gruntowych, to jest bzdura, ale zobaczenie, jak wygląda jeden człowiek, którego to dotknęło, to drugie. No i jeszcze jak ten człowiek jest cholernie małą Chinką, to trzecie. Tak mnie to rozkojarzyło, że pogubiłem się w lekcji na kilka minut.

Tego samego dnia miałem wybitnie denny temat, przybory szkolne. Miałem to milion razy, rzygam tym, robię automatem. To ołówek, a to linijka, to zaś długopis. Dobra, teraz wy, pokażcie mi ołówek, linijkę, cudownie. A teraz pióro lub długopis. Zajebiście. Nie zwracałem jakoś przesadnie uwagi na to, że ołówek mam połamany, bo sobie kiedyś tam zastrugam. Skończyłem lekcję, przyszła dziewczynka i prowadzi za sobą moją coteacherkę. W rękę dzierży jakiś kawałek grafitu osadzony w pogryzionym plastiku, jakaś dziwaczna wariacja na temat ołówka, którą nie da się za bardzo pisać. Okazało się, że zobaczyła, że mam złamany ołówek i że ja przecież takim nie dam rady niczego napisać, więc wzięła grafit ze swojego, wkład do długopisu i zrobiła mi ołówek, żebyśmy miał czym pisać, bo jak to tak, bez ołówka?

Wyjaśnienie: w chińskich szkołach używa się głównie ołówek, pióra i długopisy przychodzą później, a dla wielu w ogóle. Słaby uczeń ma przynajmniej trzy zatemperowane ołówki, przeciętny koło dziesięciu, a prymusi potrafią mieć pod dwadzieścia – rekordzista 23, od 10 do 20 to norma. Wiem, bo się z racji tej lekcji pytamy, co mamy w piórniku – w moim są kredki, długopisy i dwa ołówki. W ichnich są ołówki i gumki do mazania, rzadko cokolwiek innego. Wydaje mi się to powiązane z pisanem chińskich znaków – sprawa tak trudna, że się wszyscy mylą, więc dlatego piszą ołówkami, by łatwiej było poprawić. O dziwo, przy tym wszystkim nie dbają o ich twardość i gdy pytałem o preferowane, nie wiedzieli w ogóle co mam na myśli.

Podziękowałem, wziąłem ten para-ołówek, wyszedłem zapalić i stwierdziłem, że to chyba najlepszy prezent jaki w życiu dostałem. Leży tu koło mnie, absolutnie nie da się nim pisać, ale chyba dołączy do rzeczy, które zawsze noszę ze sobą, żeby poprawiać sobie humor, gdy mi źle.

[16.12.2013]

W tym tygodniu tradycyjnie najciekawszy był Kierownik. W czwartkowy wieczór, tuż przed rozpoczęciem wieczornych lekcji, przyszedł do mnie i zabełkotał.

– *Dzisiaj nie poprowadzę z tobą lekcji...*

Tak, to dobra decyzja – pomyślałem słysząc go. Niech cię lepiej rodzice w tym stanie nie widzą, jesteś napierdolony w sześcian. Idź chłopie do domu, wyśpij się, zjedz coś kwaśnego...

– *... bo idę ze znajomymi do restauracji naprzeciwko. Przyjdź do nas, jak tylko skończysz lekcję.*

Hurra, marzyłem o tym, zwłaszcza, że czwartek to mój zwyczajowy dzień na spotkania z Harrisonem (Amerykaninem) przy piwie i whisky w pobliskim barze. Wziąłem jednak rower, dyrektorskiego syna i przytachałem gnoja do lokalu. Oczywiście mam siadać z nimi. Trzech kumpli naprawiło mu lodówkę i teraz to celebrują. W sumie nie wiem, po co mu działająca lodówka, chińskie domy w tej części kraju nie mają ogrzewania, sam trzymam napoje i piwo przy oknie, są idealnie schłodzone. Znając ceny usług, to normalnie by zapłacił ze dwadzieścia kuai za naprawę, a tu cały obiad i dwie butle bai jiu (trzecia już leżała pokonana pod stołem). Dołączyłem więc do wesołej gromadki i dołożono starań, żebym nie odstawał od nich w kwestii promili. Było tradycyjnie nudno, językiem głównym był chiński. Udało mi się wrzucić im jeden temat: czy pędzili kiedyś bai jiu w domu? Jeden tak, ale nie chwalił się, jak mu poszło. Z drugiej strony, bai jiu potrafi być tak tanie, że nie ma sensu się bawić w samogon.

Gdzieś w trakcie tej posiadówki padło pytanie, czy zdecydowałem już w temacie mego zostania jeszcze semestru w mej wspaniałej szkole. Zdecydowaliśmy już bardzo dawno. Powiedziałem, że było wspaniale, ale mi już wystarczy, że wracamy do domu. To akurat nie jest prawda, ale lepiej brzmi niż „idziemy do innej szkoły, bo już widzieliśmy piekło, więc podejrzewamy, że gdziekolwiek indziej będzie lepiej, a na pewno nie gorzej”. Radości nie było, zastanawiam się, czy wpłynie to jakoś na nasz komfort życia i grafik pracy w szkole. Ten znacznie się poprawił, odkąd Shirley przestała przychodzić i truć nam dupę. Gadałem z Vivian i dowiedziałem się, że również i pozostali nauczyciele odetchnęli z ulgą.

Jeszcze o ofercie Kierownika: powiedzieć, że jest ona zła, to powiedzieć mało, to jest istna kpina z człowieka. Że ja mam pracować na wizie turystycznej, ale on łaskawie się zgodzi zapłacić mi za przelot do Hongkongu co trzy miesiące. Ostatnimi czasy gruchnęły newsy, że HK lubi obecnie dawać wizy turystyczne na 15 dni, więc 90 dni wcale nie jest takie pewne. Jaki idiota w ambasadzie uwierzy, że po roku mieszkania w Chinach postanowiłem sobie, że chcę odwiedzić ten kraj turystycznie, akurat tuż po zakończeniu wizy pracowniczej? Marzę też o tym, żeby musieć tam

jeździć, znaczy kocham Hongkong, ale to jest kawał drogi stąd, a i tanio tam nie jest. Kto mi zapłaci za noclegi, jedzenie, przejazdy? A co z drugą połową naszego duetu? Co z pracą dla niej? Za ile? Zresztą miała być od września, a nie ma, i co? Ktoś nam coś wyjaśnił? Tak właśnie wygląda robienie złotych deali na nielegalu. Kierownik oferował też podwyżkę, ale tak żenująco, że nie można tego rozpatrywać w innych kategoriach niż jako dowcip. Gdy powiedziałem Davidowi, to odparł, że mogę negocjować. Spytałem: co kurwa mam negocjować? Cały deal jest tak fatalny, że nie wiem nawet, z której strony mogę go negocjować. Może Kierownik liczył, że rzucę pięć uwag, on zaakceptuje trzy i zrobimy deal.

Miałem takie cenne przemyślenie w czerwcu, gdy musieliśmy jechać do HK, żeby zresetować wizę. Kierownik wcześniej zarzekał się, że załatwi pracowniczą, ale nie załatwił. Za podróż nie zapłacił, ba, musieliśmy nawet oboje odpracować te dni z podróży, a nawet dwa więcej. I wtedy sobie pomyślałem: dzisiaj jesteś mądry i niby wyszedłeś do przodu, ale zobaczysz, że na dłuższą metę to ci się nie opłaci, cwaniaczku. I to jest właśnie ta dłuższa meta, której Chińczycy nie są w stanie zrozumieć. Nie wiem, skąd sobie moja szkoła wytrzymała innego nauczyciela, nikt z naszych znajomych nie chce dla nich pracować, bo znają moje opowieści, które jeszcze są wspierane przez Harrisona. Harrison przepracował tam miesiąc i powiedział, że nigdy więcej, bo chociaż lubi pieniądze, to jednak nie aż tak. Jak szkoła weźmie sobie kolejnego nauczyciela z organizacji rekruterskiej, to ten człowiek zapewne po miesiącu wyjedzie. Jak zostanie, to będzie się wdrażał przynajmniej dwa kolejne. Szczęśliwie, problemy szkoły nie są moimi, ja tylko mam nadzieję, że uda się względnie miło przepracować ostatnie pięć tygodni, potem zaś bezboleśnie transferować do kolejnej destynacji.

No cóż, gdy potem poszedłem do knajpy, to już było jasne, że będzie dobrze. Jeszcze Harrison wymyślił picie whisky na toasty, więc najpierw zwałem się z krzesła w lokalu, a potem mówiłem taksiarzowi po chińsku, że kocham Mao Zedonga i jenoty. Facet płakał ze śmiechu, specjalnie mu się nie dziwię.

W piątek dyrektor przeprowadzał lekcje dla nauczycieli. Oczywiście typowo po chińsku, w ciągu godziny przerobił sześć czasów, walił przykładowe zdanie, przy tym rzucając, że „since three years ago” to typowy znacznik dla Present Perfect. Gdy przerabiał tak zaawansowane zagadnienie jak Past Simple, napisał przykład na tablicy i poprosił jedną z nauczycielek, żeby zrobiła. Nie potrafiła. Musiałem się trzymać, żeby nie dostać ataku śmiechu. To jest właśnie poziom nauczycielek w Chinach. NAUCZYCIELKA ANGIELSKIEGO NIE UMIE ZADAĆ PYTANIA W PAST SIMPLE. Przypomniało mi się też, że kiedyś chcieli testować znajomość angielskiego nauczycieli, ale mnie z tego wspaniałomyślnie zwolniono. Pośmiałem się, bo nikt w całej szkole nie byłby mnie w stanie przetestować, no mogliby mi dać do pisania CPE, tam bym się w paru miejscach na pewno wyłożył, ale kto to potem sprawdzi? Ciekaw też bardzo jestem, co byłoby potem, bo że niemal nikt nic nie umie, to więcej niż jasne, ale co dalej? Pozwalać ich? A skąd weźmiecie innych ludzi? A raczej ludzi o lepszych kwalifikacjach? Testów w końcu nie przeprowadzono.

[23.12.2013]

Moja szkoła wydała gazetkę. Sprawa grubsza, bo czterostronicowa. Błędów jest... W cholerę, delikatnie mówiąc. Literówek hektary (to po angielsku, po chińsku nie wiem nawet). Graficznie im się tabelki rozjechały, więc czwarta strona zachodzi na pierwszą.





贝恩特教育集团
青少年英语专修学校
ENGLISH TRAINING SCHOOL FOR TEENAGERS

■ 主 办：青少年英语专修学校
■ 2013圣诞节纪念版
■ 办学许可：教民134040370000571号
■ 机构代码：59574654-8
■ 网 址：www.qsnenglish.com
■ 主 编：胡晓宋
■ 编 者：张燕、兰小平、孔婉、孙岩岩



"Jingle bells jingle bells jingle all the way----" 听，圣诞节的气氛已经起来了！还有白胡子的Father Christmas，红鼻子驯鹿鲁道夫，... 每年的12月25日，是基督教徒纪念耶稣诞生的日子，称为圣诞节。从12月24日于世界各国基督教徒都举行隆重的纪念仪式。由于人们格外重视，它便成为一个全民性的节日，国家一年中最盛大的节日，可以和New Year相提并论，在西方类似我国Spring Festival。西方人以red、green、white三色为圣诞色，圣诞节来临时家家户户都要用圣诞色来装饰。红色的有花和蜡烛，绿色的是圣诞树，它是圣诞节的主要装饰品，用砍伐来的杉、柏一类呈塔形的树装饰而成。有五颜六色的灯和花，还点燃着蜡烛。红色与白色相映成趣的是戴着scarf的雪man，西方children在圣诞夜临睡之前，要在壁炉前或枕头旁放上一只袜子，等候圣诞老人在他们入睡后把礼物放在袜内。

一、孩子变笨三大原因

- 1、永远也赢不了的游戏
如果我们让孩子玩一个游戏，这个游戏的难度超出孩子现有的理解能力，但我们又不向他做任何讲解，结果孩子总是不知道该怎么玩，每次尝试都失败，那么孩子的感觉会越来越糟糕，不用别人说，他也会觉得自己很笨。
若是在孩子的生活里，他很少得到“赢”的感觉，最终，他可能就会变成一个看起来笨头笨脑又畏手畏脚的孩子。
- 2、过早的知识传授
一些热衷于所谓“智力开发”的父母，积极地对幼小的孩子进行读写算训练。那些学业知识不符合幼儿的认知特点，说孩子“真笨”是一些父母的口头禅，说起时甚至带着爱意，其实传递的就是“笨”的信息。有时，望子成龙的父母有意无意地给孩子贴上“笨”的标签。比如阿娜的女儿就常用英语和爸爸对话：“爸爸你太笨了。”“我儿子不行，很笨的。”
- 3、大量的负面暗示

家校共育

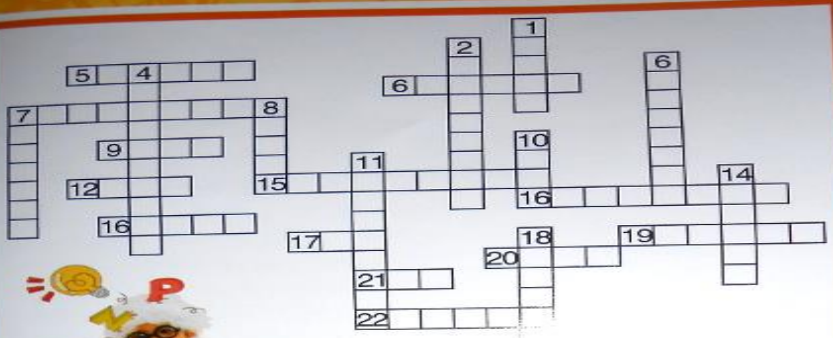
cat, and
is in the
middle now
many cats
are there in
all?

2. Where
does afternoon
always come
before morning
in the world?
(答案在英语书)

笑话

笑话一、
英语老师问一
个学生，
“How are
you? 是什么意思?”
学生想how是
怎么，you是
你，于是回答
“How are
you? 是什么意思?”
同学想了
“怎么
意思?”
“你
好
old
你

5. My good! 天哪!
6. No way! 不行!
7. Come on. 来吧(赶快)
8. Hold on. 等一等。
9. I agree. 我同意。
10. Not bad. 还不错。
11. All right. 让我来。
12. Be quiet! 安静点!
13. Cheer up! 振作起来!
14. Good job! 做得好!
15. Have fun! 玩得开心!



Across

3. Draw a _____ (圆) on a piece of paper.
6. 香蕉
7. 圣诞节
9. Yesterday, his father _____ home. (回到家)
12. There _____ lots of pears in the bag that day.
13. 昂贵的
15. 星期六
16. My _____ (叔叔) is cleaning the car.
17. This planet is big. It's _____ their rings.

Down

1. You are _____ (撒谎) !
2. WO! Our English newspaper is _____ ! (极好的, 极妙的)
4. 餐馆
5. Let's buy a _____ (电脑)
7. 烟肉
8. 分享
10. Jeff _____ (撒谎) to me.
11. This planet _____ (美丽的)
14. 家庭
18. It's time to _____ (选择) one. DO you like this one?

人秘

1. _____ is
2. _____ (H
3. Pleas
4. Do yo
5. He lo
6. Pleas
7. I teac
8. _____
9. _____
10. _____
11. Wha
12. How
13. _____
14. Tha
15. _____
16. There
17. _____
18. Wha
19. Whe
20. _____
21. My w
22. Can
23. Ple
24. Th
25. W
26. Ji
27. T
28. _____
29. _____
30. _____

热烈庆祝我起 衔接部

我校幼小衔接引进国际性教育理念，致力于为学生提供适合其认知、情感、包括语音意识、口语技能、拼音规则、汉字发展、语言理解、书写发展在内的他们积极参与语言活动的兴趣和愿望，以最大限度来提高其交流沟通的技能。

我校幼小衔接采用优质的课程模式，力求从幼儿体、智、德、美各方面

W krzyżówce jest taki chaos, że nawet nie przeszkadza kretyńskie popisanie numerów, bo niektórych haseł nie ma w ogóle. Mamy np. wskazówkę do 3 across, a tu 3 across ni ma.

Sekcja użyteczne zwroty w języku wroga:

- *I quit.*
- *Shut up!*

Sekcja humor, jest naprawdę ostro:

- *What's on your hand?*
- *Watch.*
- *How do you spell that?*
- *T-H-A-T*

Where does afternoon always come before morning in the world?
In the dictionary.

Grubiej być nie mogło... I myśl na końcu numeru: *Great hopes make great man.* (Z racji błędów jest to właściwie nieprzetłumaczalne...)

Dostaliśmy to oczywiście do poskładania, mieliśmy takie nadwyżki ludzi bez niczego do roboty, że poszło nam w miarę szybko. Żeby było lepiej, asystentka Eleven nie zrozumiała tego, która strona jest pierwsza i poskładała wszystko na odwrót, czyli w imię „ostatni będą pierwszymi”, strona trzecia została pierwszą. I tak nie ma to znaczenia, można sobie poczytać w dowolnej kolejności.

Dzięki wysokiej jakości gazetce duża część spotkania organizacyjnego upłynęła na omawianiu błędów w tejże się znajdujących. Wszyscy nauczyciele dostali instrukcje, by poinformować dzieci, co jest do poprawy. To ważna sprawa, bo to pierwsza gazetka w historii szkoły. Coś mi mówi, że będzie to numer podwójny: pierwsza i ostatnia. Widziałem więc potem, że prowadzące piszą tym biednym dzieciom, że mają poprawić *rtee* na *tree*, a *dowm* na *down*, do tego pokreślić po krzyżówce, dorysować kratki, czy dokonać jeszcze czegoś innego. Cieszy mnie bardzo, że szkołę stać na takie kretyńskie inwestycje, bo to oznacza też, że będą mieli na bonus dla mnie. Taaa...

[10.01.2014]

Dzieci około dwunastego roku życia rozpoczynają naukę z JNCE, czyli *Junior New Concept English*, z którego po roku lub dwóch przeskakują na książki NCE, już bez J. Rysunki w JNCE są koszarne, ale pod względem zakresu poruszanych zagadnień jest nieco lepiej, więcej gramatyki, mniej litanii słów. Z przyczyn nieznanych np. stopniowania przymiotników nie ma w ogóle, a i samych przymiotników za wiele nie ma.

Jednak JNCE to zaledwie krok na drodze do NCE. Metodologia nauczania właściwa temu podejściu została wynaleziona w roku:

- a) 1994;
- b) 2001;
- c) 1967.

Tak właśnie, w 1967 roku! Pierwszy raz opublikowano te książki dokładnie 30 października 1967 roku. Jeżeli ktoś uczył się angielskiego w Polsce w latach 80. z książek zwanych Alexandrami, to właśnie było to. Nie sądzę, żeby w naszym kraju jeszcze ktoś tego używał po 1989. Jakimś dziwnym zrzędzeniem losu (jak to wszystko tutaj), książki z tej serii trafiły do Chin i wzbudziły furorę, aż taką, że w roku 2013 zapamiętałe się z nich korzysta. Każdego człowieka Zachodu, który ma z nimi kontakt, nachodzą myśli, że Chińczycy robią sobie z niego jaja.

Po pierwsze, lwią część nauki odbywa się przez słuchanie dialogów i odpowiadanie na pytania z listeningów. Taśm (bo przecież nie płyt) nie widziałem nigdy, ale może i lepiej, i tak wszystkie pytania da się odpowiedzieć z analizy obrazków, a w najgorszym razie dialogów. Te są trankstrybowane, dzięki temu uczniowie nie musieliby za wiele słuchać, bo mogą wszystko przeczytać. Może coś na tych kasetach jeszcze było, ale chyba nie. W sumie skoro i tak żadnych listeningów nie robimy, to nie ma znaczenia, że nie mamy i tych. Pod każdym dialogiem mamy litanię słówek z chińskimi przekładami i kilka ćwiczeń gramatycznych, oczywiście testujących tylko zjawisko występujące w dialogu. Wszystko jest czarno-białe, a ćwiczeń jest za mało.

O ile sama metoda jest prehistoryczna i raczej zarzucona wieki temu, o tyle wielkim problemem jest, że po pierwsze było to pisane w latach sześćdziesiątych, a po drugie, stworzono to dla Europejczyków. Uczniowie, którzy nie potrafią pokazać na mapie Kanady, USA lub Australii, muszą się uczyć, że German mieszka w Germany. No to jest jeszcze luz, trzeba powiedzieć, że to ojczyzna Mercedesa (a nie Chiny? – padło niegdyś), ale mają CAŁĄ Skandynawię. Przecież tu nikt nigdy nie słyszał o Danii ani Finlandii – a tam przymiotniki! Albo mają na obrazku ludzi w strojach bawarskich i pytanie, skąd oni są (drobiazg, że trochę to stereotypowe). Z księżycą by mogli być, tyle samo to znaczy dla moich pociech. Dobór słów jest również dość ekscentryczny, ludzie słuchają kaset, a panie pracują jako „keyboard operator” (czyli sekretarki

w sensie podanym w książce, nie operatorki prehistorycznych komputerów). Każdego poranka u drzwi staje mleczarz, a wieczorkami idzie się popijać drinki z wysokich szklanek. Ludzie jedzą ser, którego większość moich uczniów na oczy nie widziała. Dość ekscentrycznym pomysłem jest uczenie liczb do 1000 – kolejno. Przecież po co im podać zasadę, skoro można to wszystko wypisać?

Żaden rozsądny nauczyciel nie używałby tych książek w roku 2013, ale w Chinach to hit. Obstawiam, że gdy w latach 70. pozwolono uczyć się języka wroga, ktoś to przywiózł i już tak zostało. Miliony uczą się *cassette recorder*, a nie DVD, zresztą co ja pierdołę, tam o komputerze słowa nie ma. Lubię oglądać sprawdzanie zadania domowego, polega na recytacji dialogów z pamięci, oczywiście wszystko mówi jedna osoba. Jeszcze ciekawsze są prace pisane, polegają na przepisywaniu dialogów z książki. Po prostu, pacjent siedzi i przewala całe strony dialogów. Potem widzę, że wała z tego rozumie, bo np. coś się przesunęło i przepisał połowę z czego innego. Drobiazg, w końcu i tak cała sprawa nie ma sensu, więc nieważne, co tam popiszą.

To jest zaledwie wstęp do problemu „czas spędzany na nauce”. Chińskie dzieci spędzają absurdalną liczbę godzin w szkole i na nauce. Typowy dzień dzieciaka wygląda tak, że idzie do szkoły na jakąś 8, do 12 siedzi, potem ma przerwę do 14 i wraca jeszcze pokiblować do 16:30. Wieczór spędza na zadaniach domowych. W weekendy łążą do prywatnych szkół. Dobrzy rodzice (w tutejszym rozumieniu, bo przecież nie rozsądnym) wysyłają pociechę na angielski, kaligrafię i fortepian. O, jeszcze taniec, balet najlepiej. Nie wiem, ile istnieje osób, które miałyby talenty w tak różnych dziedzinach, ale wychodzi na to, że w Chinach zamieszkują miliony Michałów Aniołów. Miałem dwunastoletniego ucznia, który musiał zrezygnować z angielskiego, bo rodzice uznali, że w Huainan nie ma dobrych nauczycieli fortepianu i ciągnął się co weekend do Nankinu, dwie godziny szybkim pociągiem w jedną stronę. Pytałem, czy to jakiś utytułowany mistrz, geniusz samorodny? Nie, w życiu żadnego konkursu nie wygrał, ale musi mieć najlepszych nauczycieli. Jak musi, to musi, problem, że chłopak wielkiej pasji do gry nie miał, mówił, że kazali, to gra.

Chińczycy bardzo się dziwią, gdy informuję ich, że w Europie młodzież ma wolne weekendy i nawet mimo tak strasznego marnotrawstwa czasu coś tam w życiu ludzie osiągną. Dowalam do pieca, mówiąc, że chodziłem przez jakiś czas na teatr w sobotnie poranki, ale to dlatego, że chciałem, nikt mi nie kazał. W sumie na angielski od jakiegoś wieku też chodziłem z własnej woli. Chińczykom w pale się nie mieści, że można mieć jakieś rozwijające zainteresowania, a już absolutnie nie mogą uwierzyć, że da się samemu nauczyć czegoś. Jak siedziałem po nocach i słuchałem Slayera, Mansona czy Toola, to czegoś się tam nauczyłem, ba, takiego słówka jak np. *pageant* to się z NCE nie nauczysz, a słuchając Slayera jak najbardziej. Że się oglądnę czasem jakiś film i coś on człowiekowi da, być może pozwoli mu więcej zrozumieć lub też skłoni go do jakichś własnych poszukiwań, to już myślenie tu niedostępne. Nauka to jest właśnie rypanie dialogów na pamięć.

Efekty tego są straszne: na dobrze ponad dwadzieścia osób, jakie znamy, pogadać naprawdę da się z jednym Davidem. Jeżeli trochę rozciągniemy definicję sensownej rozmowy, to jeszcze ze dwie się załapią. Studenci to jest katastrofa na całego, jedynych naprawdę fajnych ludzi spotkałem w Guangzhou. Dało się rozmawiać, znali się na kinie chińskim, mieli pojęcie o świecie, ale to amen. Gdy pewnego dnia poszedłem na spacer z huainańskim studentem (spotkał mnie i chciał sobie poćwiczyć angielski), to zapoznał mnie ze swoimi licznymi gastrycznymi historiami, które oddawały dość dobrze poziom jego samoświadomości – skarżył się, że często trzy razy w ciągu nocy musi wstawać i korzystać z toalety. Okazało się, że codziennie przed snem jada kurczaka na ostro, bo bardzo lubi. Do tego mamy na koncie pełno przygodnych rozmów z pociągów, które zawsze wyglądają tak samo, są nudne i do niczego nie prowadzą.

Bywają dni, że myślimy sobie, że Chiny prześcignęły świat i że Zachód zmierza właśnie do takiego modelu, produkowania cymbałów, którzy koncentrują się jedynie na żarciu i telewizji. Mają certyfikaty ukończenia różnych szkół, mają stabilne życie i pracę, ale są idiotami. Miłymi, kurtuazyjnymi baranami, którzy nigdy nie wykazują żadnej inicjatywy. Którzy w kryzysowej sytuacji chowają głowę w piasek i powtarzają dialog, a nie robią nic, by problem rozwiązać. Ależ łatwy i piękny świat będzie, gdy wszyscy dopasują się do modelu przepisywania tekstów. Chce się zapytać: a kto napisze te teksty do kopiowania? Skoro wszyscy są powielającymi kopiarkami, skąd wezmą się nowe teksty? Jak to kto je napisze? Jak to skąd będą? Odpowiedź jest jedna i jedyna możliwa! Jest przecież taka mądra Partia...

[12.01.2014]

Dowiedzieliśmy się przypadkiem, że nasza szkoła otworzy kolejną filię, w Ningbo. Plany wielkie, problem, że Ningbo to nie Huainan, a prowincja Zhejiang (w wersji polskiej to... Czeciang) to nie Anhui. Po pierwsze, miasto jest znacznie większe i o niebo lepiej uporządkowane, po drugie trzeba tam więcej płacić ludziom, po trzecie konkurencja jest większa, po czwarte to 10h stąd. Na poziomie prowincji: ludzie z Zhejiang mają opinię porównywalną z Żydami w czasie zaborów: gescheft robią wszędzie i ze wszystkiego. Ludzie z Anhui mają opinię rolników, którzy zajądą nawet najlepszy biznes.

Niemniej róbcie sobie, nie mój burdel, nie moje dziwki, jak mógłby mawiać ksiądz Wojciech Gil. Podobno poszło już 100 tysięcy RMB na czynsz i remont budynku. Aż żałuję, że nie zobaczę, jakie tam kible robią. Przynajmniej wyjaśniło się, czemu obecnie szkoła oszczędza na wszystkim: to w imię nowej inwestycji! Dyrekcja wierzy, że uczeń w Ningbo płaci za lekcję 180 RMB (obecnie w naszej szkole to około 35 RMB wychodzi – liczę dość pi razy oko, ale ten rząd wielkości). Już widzę jak ich Human Resources z Ningbo przekonało, że muszą tam zainwestować, to im się zwróci pięciokrotnie. Tylko najpierw wynajmijcie nasz budynek za 100 tysia!!! A potem złote żniwa będą. Nie znam się na robieniu biznesu w Chinach, ale jeżeli lokalizacja nie będzie świetna, jeżeli warunki nie będą cywilizowane, a kadra nieco wyższej próby niż w Huainan, to sukcesu nie wróżę.

Jak już przy warunkach łazienkowych: chcę do toalety, widzę, że Kierownik tam żywiołowo defekuje. Myślę sobie: poczekam. A ten woła: ależ wchodź, wchodź! Powinni to dopisać do szkoleń korporacyjnych: lejesz do pisuaru, a za tobą przełożony opróżnia kiszki. Działanie team buildingowe. Aż mi szkoda, że wkrótce wybywam, może by nas wszystkich zaprosił do sracza.

Praca z autochtonami, odcinek kolejny. Powiedziałem asystentce Eleven, że następna sekcja w książce to kolory. Trzeba będzie kolorować obrazki. Potrzebne są do tego cztery kredki. Mówi, że ma. Mówię, że nie jakiegolwiek, bo żółta, czerwona, niebieska i zielona. Uczniów mamy dziesiątkę, więc musimy mieć po dyszce koloru, ewentualnie mogą trochę sobie pożyczać, ale poniżej pięciu to nie ma opcji.

– *Tak, tak, będzie* – zapewniła mnie.

Cały dzień siedziała i oglądała filmy na tablecie. Serce rosło, skoro opierdala się z takim łoskotem, to znaczy, że dawno wszystko przygotowała. Tak jeszcze nieśmiało przypomniałem z godzinę przed lekcją. Wszystko jest, wszystko będzie. Nadeszła godzina W.

– *Rzucicie chrześcijan lwom na pożarcie, rozdajcie kredki* – rzekłem.

Asystentka Eleven sięgnęła po kredki i... Odkryła, że większość jest połamana. Pyta mnie z przerażeniem osaczonej gęsi, co robić. Kusiło powiedzieć, żeby się nie

martwiła, bo gdy oglądała filmy na tablecie, to ja sobie wsadziłem w dupę strugaczkę i zaraz jej wszystko zatemperuję. Nic, kurwa, za późno, rozdaj, co masz. Nie, różowy nie będzie robił za czerwony w ćwiczeniu z kolorów. Gdy zobaczyłem ten dramat na sali, przerwałem ćwiczenie i pośpiewaliśmy sobie. Nie będzie dziesiątka uczniów spędzała połowy lekcji na czekaniu na kredki.

Poziom szkolnych posiłków osiągnął chyba rejestry 1 RMB. Nie wiem, kto przy zdrowych zmysłach za to płaci. Za 5 RMB można zjeść tyle dobrych rzeczy na bazarze, a tu cały tydzień ryż z kapustą, w której są kawałki kości. Chyba pierwszy raz w czasie mego pobytu w Chinach przy wręczaniu lunchu pozostałej części redakcji powiedziałem:

– *Nie chcesz, to nie jedz, możesz to wyrzucić.*

Shirley powróciła z wojaży biznesowych. Nie było jej grubo ponad miesiąc. Musiały to być bardzo trudne spotkania, bo przybyła w nowiutkim komplecie w kolorze bordo. Tak na oko pod 10 tysięcy kuai. Wparowała na zakład, powitała mnie, a potem wszystkie nauczycielki, ciągle poprawiając kapelusz. U Emila Zoli byłoby, że kapitalista przechadza się, spoglądając na pracę wyzyskiwanych. Tutaj Chinki wyjęły aparaty i zaczęły robić zdjęcia kochanej pani dyrektor.

Skreślałam powoli kolejne grupy, już nawet skreślałam nauczycieli. Nigdy więcej tej, tamtej, chwała niebiosom! Jeden z uczniów wykazał się debilizmem niespotykanym nawet tutaj. Przy ćwiczeniach z części ciała znalazł ucho węża.

Kierownik negatywnie ocenia obecnego prezydenta ChRL:

– *Chce, żeby wszystko było jasne i przejrzyste! Jak tak w ogóle można jakiś biznes zrobić??? Już przez niego ludzie nie chodzą do restauracji i nie chcą dawać luksusowych prezentów. Zajedzie nam ekonomię!*

Pocztówki znad krawędzi

[22.03.2014]

W ramach bycia bardzo przyjaznymi i otwartymi wobec naszych uczniów założyliśmy skrzynkę pocztową (czyli pudło), do którego mogą wrzucać pomysły na lekcje, pisać do nas listy albo też nabluzgać nam. Podaliśmy im również nasze maile, w myśl tego, że i tak pewnie nikt nie napisze. Myliliśmy się. Obrodziło, oto więc zbiórka najciekawszych cytatów z pierwszego miesiąca korespondencji z Mandarynami i (w przeważającej większości) Mandarynkami:

I'm sorry, over the past few days I can't read your e-mail, please leave a message, or eat again! Worship!

Przekład na ludzki: przez następnych kilka dni nie będę mogła odbierać maila, więc zostaw mi wiadomość, lub porozmawiamy podczas przerwy obiadowej. Pozdrawiam!

I think we only exchanged a language exchange will be no obstacle. If no accident, next weekend. I won't go home, do you have the time?

Czyli: jeżeli spotkamy się jedynie, by wspólnie uczyć się języków, nasza szkoła nie powinna widzieć w tym nic złego.

Don't always alone in the office to smoking and keyboard! As for your health is not very good!

Czyli: nie przesiaduj samotnie w biurze, paląc pety i pisząc brednie. Coś z tego jest bardzo niezdrowe.

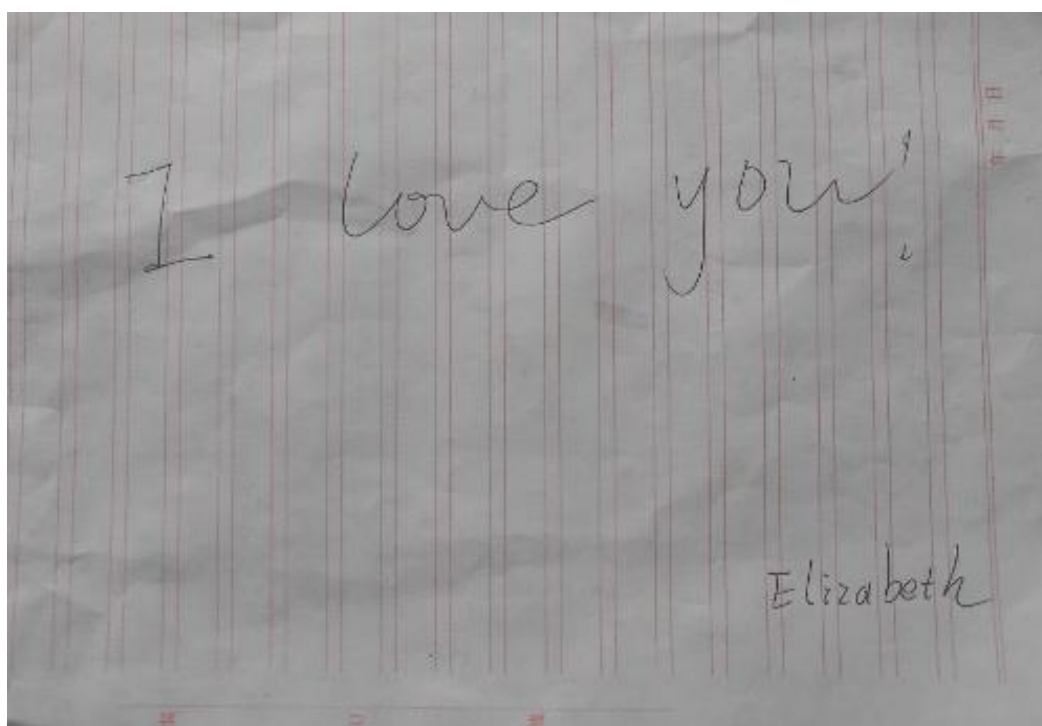
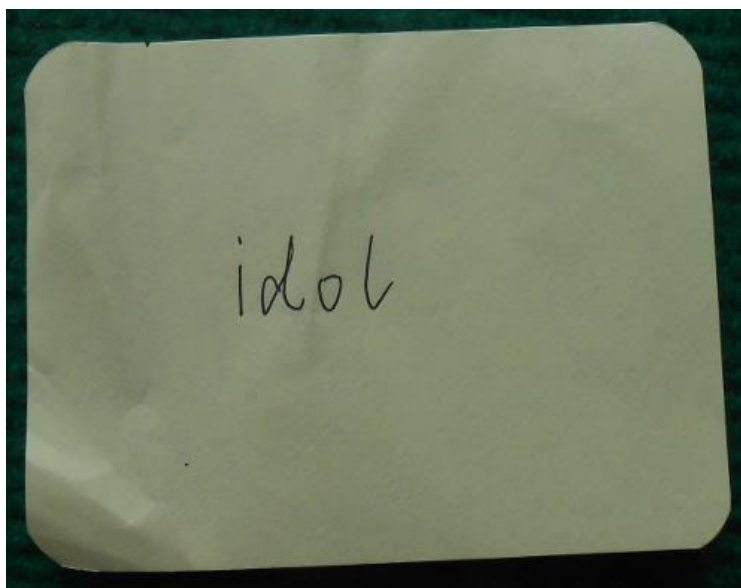
And I wonder how Poland look like badly, is it as beautiful as

what Andersen described in his fairytales?



Polska (źródło: Thomas Kinkade na Wikipaintings)

Powoli biorą nas na celownik, na razie trafili w Danię, ale zbliżają się!
Korespondencja papierowa:



Tu chyba koledzy zrobili dowcip dziewczynce. Panna jest cicha, spokojna, średnio urodziwa według obowiązujących kanonów piękności i marzy o tym, żeby służyć w chińskiej armii

Czy w Polsce każdego dnia śpiewacie i tańczycie?

Nie, to przypada głównie na piątki i soboty wieczorem, gdy wszyscy są nawaleni jak stodoły, jak również na dzień, w którym składamy zeznania podatkowe, a także na Boże Narodzenie, urlop, urodziny, imieniny...

Muszę wyznać, że pisałam ten list w trakcie lekcji i zostałam na tym złapana przez nauczyciela, który za karę uderzył mnie w głowę i teraz płaczę.

Odpisałem jej, że według mojej wiedzy nikt nigdy nie musiał przejść przez kary cielesne, żeby do mnie napisać, więc czuję się zaszczycony.

Istnieje cały trend informujący mnie o tym, że palenie jest złe, przykład ekstremalny:

Chciałem Cię poinformować, że palenie w szkole jest zabronione.

Chciałem Cię poinformować, że dla was owszem, dla nauczycieli nie. Ewentualnie możesz iść o tym pogadać z tym starym chłopem od matematyki, on cię na pewno wysłucha ze zrozumieniem i przestanie palić.

Teraz to już nasza przyjaciółka na całego, początki były zastanawiające:

Dear beautiful lady and handsome man (tutaj serce)

I think the university is my goddess.

I love your eyes, golden hair and stature.

My handsome man, I love your height too!

Padło pytanie, skąd wziąć ludzi do wymiany maili. Znalazła się fajna strona, „Napisz do więźnia”, ale niestety trzeba mieć osiemnaście lat. Piękne by były jaja, gdyby sobie uczeń popisał z jakimś Trynkiewiczem albo Breivikiem, byśmy się mogli spakować przed końcem kontraktu.

Pełno jest takich, którzy dziękują nam za przyjazd i wyrażają radość z poznania obcokrajowca, czy też tego, że jest się pierwszym nie-Chińczykiem, jakiego widzieli w życiu. Odpisywanie na to chwilę zajmuje, siadło im też wrażenie z tego, że każdy na każdą bzdurę dostaje odpowiedź, więc nie wiem, czy trend się utrzyma.

Zdarza nam się nazywać te listy premią niewpisaną w kontrakt. Obawiamy się, że dla większości uczniów będzie to jedyny spontaniczny kontakt z językiem wroga, a przy tym stworzenie czegoś od siebie, a nie wypełnienie zdurniałej tabelki w książce czy urodzenie wypracowania na temat „Chiński sukces”.

[22.03.2014]

Nasza organizacja o nas myśli. Przysłali nam podręczniki do nauki oralnego angielskiego. No, to koniec z przerabianiem lekcji ze świata zachodniego, koniec z wymyślaniem im pierdół i czytania artykułów na necie, by dobrać najlepszą metodologię do lekcji. W końcu mam książki napisane przez fachowców, którzy świetnie znają się na problematyce nauczania angielskiego w Chinach. Dostałem podręczniki, które są specjalnie dopasowane do specyficznych warunków pracy, rozmiarów klas i które pozwolą uczniom pokazać się z jak najlepszej strony, przy tym dając im możliwość nauczania się nowych, ważnych i potrzebnych, tak słów, jak i konstrukcji.

Dobrze, to był taki humorystyczny wtřet. Książki przysłano nam, bo udało się sprawić, że szkoła je wszystkim kupiła. Mówimy o jakichś trzech tysiącach egzemplarzy. Jeżeli nasza organizacja zarabia na jednej sztuce choćby 5 RMB (a podejrzewam, że ma z nich o wiele więcej), to mamy tu ładne przytulenie 15000 RMB właściwie za nic. Znaczą, przepraszam, za podręczniki, w końcu jest coś takiego jak własność intelektualna, ktoś to przygotował, złożył do druku, zrobił rysunki, umęczył się po nocach.

Są to materiały naukowe jedyne w swoim rodzaju, dlatego pozwolę sobie poświęcić cały cykl na omówienie ich wszelakich zalet. Rozpocznijmy od wstępu. Pierwszy jest po chińsku, potem następuje bibliografia. Wyjątki z tejże:

- Wikipedia – Main Page;
- Simple Wikipedia – Main Page;
- Cartoon Stock;
- Google;
- Yahoo.

Wstęp angielski zaczyna się po chińsku i wyjaśnieniem, że skoro ty nie rozumiesz tego, to co się dziwisz, że uczniowie nie rozumieją angielskiego. Rzeczywiście, bo ja przecież spędziłem ostatnie 12 lat mojego życia, ucząc się chińskiego w środowisku szkolnym, z nauczycielami, w wymiarze około sześciu godzin w tygodniu, i dlatego można ode mnie oczekiwać, że będę umiał czytać po chińsku. A „ni hao” i tak z tego umiem przeczytać.

Jak na książkę do konwersacji, podręcznik ma dość ciekawą strukturę, bo lekcje zaczynają się od mówienia, potem jest część do słuchania, pytania do teŹe (prymitywny *gap fill*). Potem pytania nawiązujące do tekstu. Następnie wyjaśnione frazy i idiomy z tekstu. Potem ramka z gramatyką, która zazwyczaj wymyka się memu rozumieniu gramatyki. Następnie mają listę słów, a potem grę/zabawę. Tak skonstruowane są wszystkie lekcje, każda rozbija się na dwa rozdziały. Pewną

ciekawostką jest to, że nie dostałem żadnej płyty ani plików dźwiękowych, chociaż z tyłu książki jest transkrypcja wszystkiego. Sugestia ze wstępu mówi, że można kazać uczniom nauczyć się tego na pamięć, a potem będą odgrywać dialogi. Powtórzona jest nieśmiertelna dyrektywa: ty mówisz 20%, uczniowie pozostałe 80. No, gdyby mi 70 osób miało recytować minutowy dialog, to mam dwie lekcje z głowy, a sam nawet 5% nie będę musiał mówić.

Mam jednak wątpliwości (poparte znajomością zdolności językowych moich uczniów), czy nauka dialogów na blachę do czegoś prowadzi. Zakładając, że każdą klasę widzę przez 40 minut tygodniowo, jedną lekcję robiłbym około miesiąca. Wdrożyłbym im w tym czasie jakieś kilkadziesiąt słów i fraz, większość na poziomie o przynajmniej o dwa za wysokim. Chińczycy w ogóle zdają się nie przejmować tym drobiazgiem, że słowa dzielą się na te rzadziej i częściej używane, więc sens ma nauka w pewnej kolejności. Moi uczniowie mogą nie znać słowa *bridge* (w sensie mostu, nie gry), ale za to potrafią wystrzelić jakimś *handicraft* albo *efficient*.

Lekcja pierwsza (niestety, nie ostatnia). Dialog dotyczy tego, że pani Ping (czyli kierowniczka mojego burdelu, znaczy organizacji) rozmawia ze swoim kolegą z Ameryki o tym, że chce założyć szkołę angielskiego, która pomogłaby chińskim uczniom odnosić sukcesy w życiu. Pyta tego obcokrajowca o poradę w temacie, bo czasy ekonomicznie są ciężkie. Ten mówi, że genialnie i tak się przypadkiem składa, że temu się akurat skończył kontrakt i bardzo chce pracować u pani Ping. Ona na to mówi, żeby jej wysłał CV i że na pewno osiągną porozumienie.

Jak to powinno wyglądać: pani Ping pracować za bardzo nie lubi, ale lubi pieniądze. Można powiedzieć, że jej awersja do pracy jest proporcjonalna do pasji skierowanej ku pieniądзом. Pyta więc jelenia z Zachodu, czy może nie zna innych takich pojebów, co by tu chcieli przyjechać i zarobić dla niej trochę kasy, męcząc się z chińskimi, bezstresowo wychowanymi dzieciakami. Zasadniczo wystarczy, żeby byli biali, bo Chińczyków głównie to kręci, jakiś tam poziom i umiejętności są drugorzędne. Tematy do rozmowy: czy uważasz, że wspomniane zalety znajomości angielskiego są zgodne z prawdą? Czy pomógłbyś pani Ping, czy też nie? Co powinni odpowiedzieć:

Uważam, że znaczenie znajomości angielskiego we współczesnym świecie jest nie do przecenienia. Otwiera ona niesamowite możliwości, tak biznesowe, jak i dla własnego rozwoju osobistego. Szkoły języka angielskiego są największym błogosławieństwem w historii Chin od czasów Mao Zedonga, zwłaszcza te prywatne, za hajs rodziców.

Co odpowiedzą: „Tak”. Ewentualnie: „Nie rozumiem/Nie umiem angielskiego/Nie wiem”.

Pytanie numer dwa:

– *Masz 0,5 miliona dolarów. Jaki biznes otworzysz? Czy będziesz decydował się na coś ryzykownego, czy też raczej bezpiecznego?*

Co mają odpowiedzieć: że w tydzień postawią drugie Apple, a obok Google. Co odpowiedzą: „Tak/Nie rozumiem/Nie umiem angielskiego/Nie wiem”.

Zrobiłem to z nimi. Moi uczniowie nie rozumieją, co to wydatki, więc dominowały wizje: „Otworzę fabrykę, zatrudnię 300 osób i każdemu będę płacił 5000 RMB miesięcznie. Będziemy robili makaron. Oczywiście, że odniosę sukces”.

Blok drugi, o przedsiębiorczości. Najpierw mamy reading. Dotyczy pana z Tajwanu, który założył Yahoo! Wyjechał do USA, gdy miał tylko dwa lata i umiał powiedzieć „shoe”. Bo zazwyczaj dwulatki napierniczają Norwidem. Już na studiach założył Yahoo!, został kierownikiem tegoż, potem zrezygnował. Ma żonę Akiko (oj, ja się obawiam, że wiem, z jakiego pochodzi). Udziela się w fundacjach... – tekst urywa się z końcem strony, więc nie dowiemy się w jakich.

Tematy do rozmowy:

– *Dlaczego Chińczycy odnoszą tak wiele sukcesów na świecie? Co decyduje o odniesieniu sukcesu?*

Co mają powiedzieć: „Chińczycy nawykli do ciężkiej pracy, świetnie wykształceni i oddani ciągłemu doskonaleniu się są urodzonymi rekinami biznesu, co wyjaśnia multum ich sukcesów”.

Co powiedzą: „Tak”.

Co ja bym powiedział: nie pierdolicie mi, że Tajwan to Chiny, bo już mi się to nudzi. Gdyby facet urodził się w Chinach i tu został, to pewnie wiele by nie osiągnął, a na pewno nie Yahoo! (które ostatnio cudownie nie przędzie). Gdyby w tryby waszej edukacji wrzucić Jobsa, Gatesa, Teslę i Einsteina, to by w nich utonęli. Miał szczęście, że wyjechał, gdy miał dwa lata (gdy większość dzieci mówi niewiele więcej niż „but”) i jego rodzina osiedliła się w Kalifornii, bo gdyby wybrali Nebraskę, to by sobie kukurydzę uprawiał albo popadł w alkoholizm. Chińczycy osiągają w USA mniej więcej tyle, co Polacy, czyli tak zwane pęku, chyba że sklepik z makaronem albo tanią restaurację zaliczymy do działu „nowatorski biznes”. Nam też tak mówią, że jak Brzeziński, to każdy tam to Brzeziński, a azbest z dachów sam się zrywał.

Temat do konwersacji:

– *Co sprawia, że ktoś odnosi sukces? Czy świadczy o tym kolor skóry, osobowość, ciężka praca, znajomości, czy też coś innego?*

Co mają odpowiedzieć: że ciężka praca. I bycie z narodu wybranego, w sensie Chińczyków, nie biblijnego.

Zrobiłem im to, ale tylko na dwie-trzy minuty, bo wiedziałem, jak to będzie wyglądało. Dostałem litanie przymiotników, bez możliwości podania żadnego uzasadnienia dlaczego to. Miarą sukcesu są pieniądze i władza, co w sumie świadczy o tym, że ze swojej rzeczywistości wyciągnęli słuszne wnioski. Temat biznesu nudził niemal wszystkie grupy. Przyznam, że i ja miałem go wkrótce dosyć i w paru grupach pozwoliłem im zdecydować, czy to chcą, czy może wolą coś innego. Ku mej radości, wszyscy wybierali coś innego.

[3.05.2014]

Podczas nieco bardziej prywatnych rozmów z moim uczniem, usłyszałem magiczne słowo:

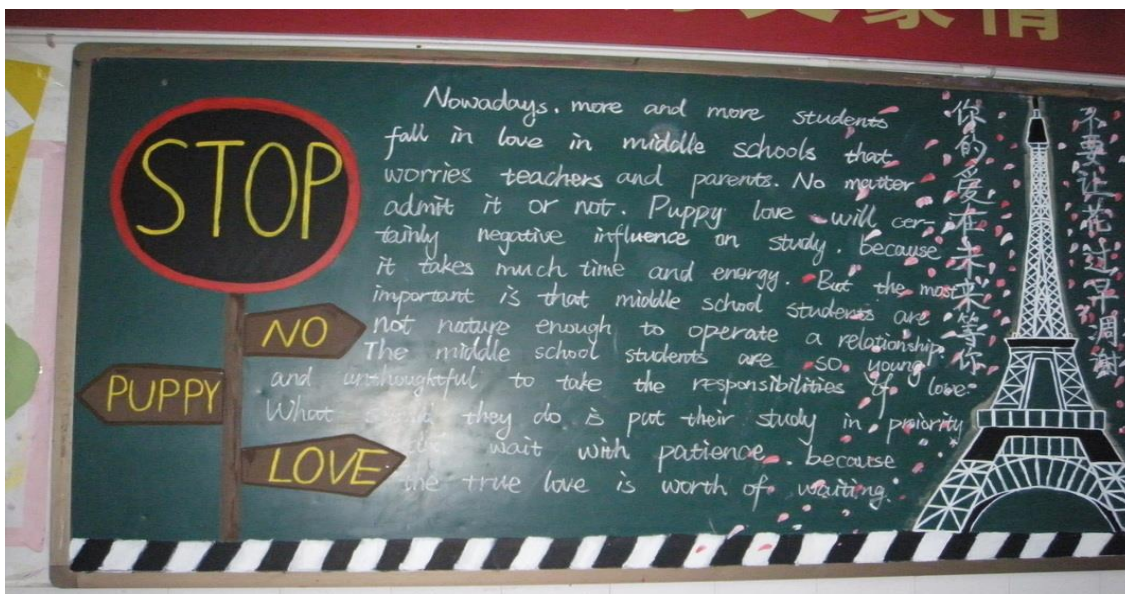
– *Zaolian*.

Wspólnymi siłami ustaliliśmy, że to oznacza miłość między nastolatkami. W każdej klasie na ścianie znajdującej się na przeciwko nauczycielskiego biurka zamontowane są tablice, na których uczniowie mogą wyżywać się artystycznie. Zazwyczaj dostają jakiś temat od dyrekcji albo wychowawcy. Widzieliśmy już malunki na rozpoczęcie semestru (ton zachęcający do nauki) i przeciwko paleniu (papierosów i opium). Estetycznie wychodzi to różnie, niektóre klasy mają rewelacyjne pomysły i robią to naprawdę świetnie, inne wypisują tylko jakieś hasła i malują schematyczne obrazki.

Gdy szkoła skończyła akcję przeciwko paleniu, rozpoczęli akcję przeciwko nastoletniej miłości. Nowe obrazy pojawiły się głównie w salach pierwszego rocznika, toteż jedno z nas – Aligator – próbowało dowiedzieć się od uczniów, dlaczego akurat *Zaolian*. Przy okazji zdobyło wielokrotnie oklaski od uczniów, którzy byli pod wrażeniem, że znamy akurat to słowo.



Serce jako krwiożerczy owoc (tak, uczniowie zawsze mają tyle książek na ławkach, chyba nigdy z nich nie korzystają)



Esej na temat szczenięcej miłości. Polecamy liczne błędy. I to jest napisane w jednej z najlepszych klas...



Nie wiemy, co ma The Smiths do miłości

Zaolian jest oczywiście bardzo zakazany. Uczniowie przyłapani na żywieniu do siebie uczuć muszą przyznać się do błędu i obiecać, że przestaną się miłować. Większe kary to relegacja ze szkoły do domu – tutaj uczniowie mieli ubaw, kiedy Aligator pytał, czy to aby na pewno kara, a nie nagroda. W ostateczności mogą zostać wyrzuceni ze szkoły. Nie udało się dowiedzieć, która kara dotyczy jakich konkretnie przewinień, więc

zgadujemy, że relegacja to za jakieś publiczne całowanie, a wyrzucenie za ciężę lub złapanie in flagranti.

Z jednej strony należy szanować obce kultury, ale bogowie wszelacy, jak można spokojnie patrzeć na zakazywanie uczuć między uczniami? Znając ich trochę i widząc, co wypisują na QQ, wiemy dobrze, jak wygląda ich wiek emocjonalny – chociaż mają po 15-17 lat, mają mentalność 12-13-latków. Ich wyobrażenia o miłości to chodzenie za rękę, całusy w nosek, wspólne picie mlecznej herbaty i dawanie sobie pociesznych prezentów. Może 10% z nich jest fizycznie i emocjonalnie trochę bardziej dojrzała, ale i tak śmiemy wątpić, czy ta grupa od razu pobiegłaby ze sobą do łóżka. Chociażby dlatego, że śpią w 20-osobowych salach.

Można domyślić się, jak uczniowie zareagowali na informację, że w krajach Zachodu nikt nie interesuje się tym, co nastolatki robią po szkole. W każdej klasie ze dwie osoby wołały, że to źle, bo miłość przeszkadza w nauce. Reszcie wyraźnie zapalała się w głowie lampka z myślą: „Dlaczego żyję w chorym kraju?”.

Powoli zbieramy sekretne wyznania dotyczące tego ohydneho procederu, dziwnym trafem uczniowie wolą się zwierzać z tego nam, a nie chińskim nauczycielom. Raczej nas to bawi, ale czasem też przeraża, jak wtedy, gdy dowiedzieliśmy się od uczennicy, że matka dała jej w twarz, gdy się dowiedziała, że spotyka się ona z chłopakiem.

Travel broadens the mind

[3.05.2014]

Myślałem sobie, że zrobię lekcje o podróżowaniu. Coś tam w książce jest o tym, ale takie to ciekawe, że na wiele się nie zdało. Zrobiłem tak, że uczniowie najpierw mówią o różnych miejscach, uczą się słów w stylu pamiątki i zwiedzanie, a potem uczą się, jak kupić bilet samolotowy po angielsku – tak se wymyśliłem, że jeżeli kiedyś by ich rzuciło poza granice Chin, to może im się przydać ta wiedza do czegoś. Oczywiście nie spodziewałem się tego, ileż to ja się nauczę i dowiem. Dwie zdobycze naprawdę mnie powaliły.

Jeżeli chodzi o pamiątki, najlepszą z Chin jest zdjęcie Mao Zedonga. Muszę pamiętać, żeby znajomym przywieźć tego dobra. Jeżeli chodzi o bilety lotnicze...

– *Gdzie się kupuje bilety?*

– *Wsiadając do samolotu.*

Ech, ale by było fajnie wtedy...

Czego nie można wnieść na pokład samolotu? Pokazuję standardowy lotniskowy obrazek. W niektórych klasach nie są w stanie zrozumieć połowy zakazów, w tym dotyczących ostrych przedmiotów i bomb. Moja książka sugeruje, żeby zapytać grupę o to, dlaczego kontrole bezpieczeństwa są obecnie tak restrykcyjne. Oni nawet nie wiedzą co to! Ba, jedna grupa wyraziła wielkie zdziwienie, że w samolocie są jakieś pasy bezpieczeństwa.

Moi uczniowie mają 16-17 lat i wielu z nich nie wie, jaka jest różnica między kilogramem a kilometrem („na tym locie można mieć dwadzieścia kilometrów bagażu”). Temat różnic 13-30, 15-50 itp., to chyba do końca świata mogę z nimi robić, i tak się nie nauczą. Pisałem, mówiłem, dla nich to dalej jedno i to samo. Tłuką jakieś readingi na poziomie czasem nawet pod C1, ale pieprzy im się 12 z 20. Tłuką im też do głów pierdoły o Zaolanie, ale nie są w stanie ich olśnić, że np. lotniska nie są w centrach miast, że są jakieś kontrole lotniskowe, a w samolotach nie można palić. Potem człowiek widzi na lotniskach, że rozgrywają się dzikie dramaty z paszportem chińskim w roli głównej. Bo dorosły człowiek, po latach pilnie pobieranych nauk, nie wie rzeczy oczywistych dla przedstawiciela krajów rozwiniętych.

Kaganiec oświaty, odcinek kolejny

[20.05.2014]

Część męska redakcji na ten tydzień przygotowała lekcję o sporcie. Wiele klas o to prosiło, więc pomyślałem, że to i to ich zainteresuje, a to im wprowadzę, nawet jak patrzyłem na tę lekcję, to mi się widziało, że to tak jak mniej więcej kiedyś uczyli, żeby robić. Na co nie wpadłem?

Pytanie: co robicie na lekcjach WF-u? Odpowiedzi: śpimy, słuchamy muzyki, jemy zupy, uciekamy ze szkoły, gadamy, oglądamy filmy. Czego nie lubicie w lekcjach WF-u? Biegania, nauczyciela – to standard. Jednak w pewnej klasie uczennica próbowała mi opowiedzieć, że nie lubi pana, bo pan przychodzi i ona nie wie, jak powiedzieć... Nie chcę wiedzieć. Naprawdę, nie chcę wiedzieć. Bo jak mi powie, że mają nauczyciela pedofila, to ja będę chciał coś z tym zrobić, a skończy się na tym, że nie zmienię nic, za to ona i ja będziemy mieli przesrane. Niech was dalej maca czy co tam. Taki stworzyliście system, że nie da się z tym nic zrobić. I róbcie tak dalej, jak będziesz miała córkę, to ją też będzie ten sam pan macał albo i gorzej. Ale jak pójdę z tym tematem, to skończy się tak, że nic się nie zmieni, a ja będę miał pod górkę. W końcu biały nauczyciel jest idiotą i nie rozumie naszej cudownej chińskiej tradycji. Macał babkę, pomaca i wnuczkę.

Wyszło nam w rozmowie o sporcie Makau, więc pytam: skąd, gdzie, jak, kiedy? Według moich uczniów (czyli programu nauczania) Makau było zawsze chińskie.

– 1999 wam się jakoś nie czai?

– Nie, nie czai.

Wariacja z innej grupy: było to terytorium okupowane przez Brytyjczyków (pomylili z Hongkongiem, drobiazg). W jednej z lepszych grup pozwoliłem sobie podać nieco mniej mainstreamową wersję historii. Oczy im wyszły z orbit: PORTUGALIA??? WOW!!! PORTUGALIA??? Jeszcze chwila i będę musiał sobie zacząć pluć w lustro podczas golenia, że jestem częścią tego systemu edukacyjnego.

Rzadko już bywam pod wrażeniem życia szkolnego, ale tym razem byłem: moja szkoła zabrania uczniom czytania romansów. *Dama kameliowa*, *Wichrowe wzgórza* i *Wielki Gatsby* są na czarnej liście. Jeden z mych ulubionych chińskich pisarzy, Yu Hua, również napotkał na pewne problemy przy czytaniu *Damy kameliowej* (opisał je w *Chinach w dziesięciu słowach*). Jemu to w jakimś sensie wyszło na zdrowie, został wybitnym pisarzem. Tu jednak dochodzi do głosu kwestia Beethovena: jeżeli jesteś kolejnym dzieckiem w rodzinie poważnie obciążonej genetycznie, to większa szansa istnieje na to, że będziesz upośledzony, a nie wybitnym kompozytorem. Obawiam się też, że w odróżnieniu od rodaka uczniowie też pozostaną upośledzeni intelektualnie, a nie wybitnymi pisarzami, chociaż tak samo im *Damy kameliowej* jak Yu Hua zabraniano.

Część żeńska redakcji postanowiła zrobić lekcję nieco bardziej rozrywkową – quiz *Jeopardy* (w polskiej wersji – *Va banque*), czyli uczniowie dostają odpowiedzi i muszą do nich ułożyć pytania. Jedna z przyjemniejszych lekcji, zgłaszali się do mówienia uczniowie, o których istnieniu nawet nie wiedziałam. Niektóre tematy wywołały jednak pewną konsternację...

Kto według uczniów wynalazł bombę atomową? Chińczycy w 1964 roku.

Czym jest Ottawa? Stolicą Australii.

Kim był George Washington? Prezydentem Afryki.

Kiedy żyła królowa Wiktorja? W latach 1847-1953. Na dodatek daty te wyczytano ze słownika.

Skąd jest Hayao Miyazaki (wszyscy uczniowie znają jego filmy animowane)? Z USA.

Co gorsza, większość tych kwestii była poruszana na wcześniejszych lekcjach. Jednak nikt z uczniów nie wpadł na to, że może warto sobie od czasu do czasu coś zanotować.

[16.06.2014]

7 i 8 czerwca miało miejsce Gaokao. Napisał o tym chyba każdy, kto zajmuje się Chinami, gdyż jest to obsesja narodowa, do której to szkoła średnia stanowi preludium. Właściwie całe życie Chińczyka jest do tego preludium. Już na porodówce mu pewnie kładą, że będzie musiał zdać Gaokao.

Gaokao jest dość zbliżone do matury, gdzieś w pół drogi między naszą starą maturę a nową. Dokładnie tłumaczy się je jako: *National Higher Education Entrance Examination*. Jest to jeden z największych sekretów chińskiego szkolnictwa. W skrócie: uczniowie siadają i piszą egzaminy. Teraz zaczynają się schody, od moich uczniów (czyli prowincja Hunan) dowiedziałem się, że z każdego dostaje się od 0 do 150 punktów, czyli łącznie można ich zdobyć 750 – część do wyboru jest za 300. Siada się i pisze dwa jednego dnia, dwa drugiego. Pierwsza sekcja to chiński i matematyka. Druga to język obcy (czyli angielski, bo żadnego innego w szkołach nie uczą, chociaż teoretycznie można wybrać inny) i pakiet do wyboru: humanistyczny – geografia, historia, polityka, lub ścisły – chemia, fizyka, biologia. Pakiety są warte po 300 punktów, test jest zbiorczy, bez rozbicia na przedmioty. Jak na egzamin, od którego co roku zależy przyszłość milionów, to naprawdę trudno znaleźć jakieś super pewne dane.

W całym kraju zatrzymują się budowy, jest zakaz odpalania fajerwerków i przeszkadzania Mandarynom w najważniejszym dniu ich życia. Kilka lat temu woźnego z jednej ze szkół wtrącono do więzienia za to, że ustawił szkolny dzwonek na błędną godzinę, czym zakłócił egzamin.

Słyszałem sprzeczne dane, najczęściej pojawiają się takie liczby: aby dostać się na Tsinghua lub Peking (dwa najlepsze uniwersytety w kraju), trzeba mieć gdzieś pomiędzy 500 a 600 punktów. Gaokao powyżej 400 podobno jest uznawane za bardzo dobre i daje miejsce na jakimś solidnym uniwersytecie, prawdopodobnie jednym z 35 tzw. kluczowych (łącznie uniwersytetów jest podobno 211). Inni mówili mi, że należy mieć ponad 700. Tyle zebrałem z rozmów, moich ostatnio ćwiczyli jednak na 900 punktów, a nie na 750. Angielski był za 150, w tym roku (chyba) 120, za rok 100, a od 2017 won z Gaokao. Tym samym kolejne pokolenia nie będą narażone na wrogą propagandę Zachodu i będzie im można opowiadać, co tylko się chce.

Niższe wyniki pozwalają na studia na uczelniach lokalnych lub prywatnych, czyli mniej więcej to samo, co w Polsce, tylko na kilkadziesiąt razy większą skalę. Po tych szkołach otrzymujemy dyplom, którym można wprawić pracodawców w Szanghaju w niezły humor. Tu jednak na papiery z poważnych uniwersytetów da się dostać sensowną pracę. Przeważająca większość zadeklarowana jest jako ścisłowcy, bo wierzą, że dzięki temu będą mogli mieć lepszą karierę. Zależnie od wyniku Gaokao zdecyduje się ich przyszłość: niektórzy pojedą studiować, inni do Guangdongu, składać telefony i szyć jeansy. Pierwsza opcja daje szansę na dobrą pracę, pieniądze pozwalające na założenie

i utrzymanie rodziny. Druga nie bardzo. Są przypadki sukcesów ludzi, którzy mieli fatalne GK albo w ogóle go nie zdawali, ale to trochę przypadki imienia Kulczyka.

Jeżeli ktoś w ciągu swej edukacji wykazał się w tzw. olimpiadzie przedmiotowej, nie musi podchodzić do GK. Nie ma jednego standardu GK, szczegóły pozostają w gestii prowincji. Jeżeli komuś nie poszło, może powtórzyć ostatnią klasę ogólniaka i spróbować jeszcze raz w następnym roku, aczkolwiek mało kto to robi. Krążą opowieści o takich, co próbowali i pięć razy, aż w końcu otrzymali potrzebną im ilość punktów.

Uniwersytety ustalają kwoty dla prowincji, czyli jak w niemal każdym przypadku, najlepiej mieszkać w Pekinie. Oczywiście już parę osób wpadło na pomysł relokacji tam, by dziecko miało łatwiej na uczelnię. A nawet nie trzeba się relokować, wystarczy mieć zameldowanie pekińskie, co spowodowało wynajem klitek ludziom, którym potrzebny jest tylko papier, a mieszkać wolą gdzie indziej.

Ostatnio „Gazeta Wyborcza” opublikowała materiał fotograficzny dotyczący – jak to nazwano – najtrudniejszego egzaminu świata. Gdy się na niego popatrzy, to nie wygląda na łatwy. Gdy jednak trochę się popracuje z uczniami, to odkrywa się, że wszystko, co robią, jest przygotowaniem do Gaokao. Cała edukacja to Gaokao, nic innego nie ma znaczenia. Właściwie trzy lata ogólniaka tłuką testy pod Gaokao. Cała trzecia klasa to powtórki, nie wprowadza się żadnego nowego materiału. Są też pewne skróty i ułatwienia: w angielskim nie ma części mówionej, listening wprowadzono stosunkowo niedawno (jeżeli to, co słyszałem, to poziom egzaminu, to jest to banał, wpisz ze słuchu brakujące słowa, tekst monodeklamowany), dominuje gramatyka, jest krótkie wypracowanie. W efekcie nie brakuje ludzi, którzy mieli wybitny wynik w GK, ale słowa powiedzieć nie potrafią. Za mówienie nie ma punktów, więc po co mieliby się męczyć nauką tegoż?

Wybrane tegoroczne tematy eseju z chińskiego, przetłumaczone przez portal Shanghaiist:

- Pekin – „W dawnych czasach istniało wiele zasad i wzorów zachowania, jak mówienie spokojnym głosem, pozdrawianie starszych ludzi, stanie lub siedzenie wyprostowanym. W ostatnim czasie jacyś ludzie podzielili się online tymi starymi zasadami, których wymagali od nich rodzice i temat ten wywołał dyskusję wśród chińskich internautów. Zaplanuj i napisz własną interpretację tego fenomenu”.
- Szanghaj – „Możesz wybrać własną drogę i przejść ją przez pustynię, co oznacza, że jesteś wolny; nie masz wyboru i musisz podążać drogą przez pustynię, co czyni cię zniewolonym. Wybierz własny punkt widzenia i napisz artykuł na co najmniej 800 słów”.
- Hunan – „Było sobie miejsce, w którym wszyscy byli biedni. Większość pracujących tam ludzi opuszczało je po dwóch latach. Jednak ktoś pozostał na lata i zmienił je wraz z innymi w najpiękniejszą wieś. Napisz rozprawkę lub reportaż na ten temat”.

Przecież to dowcip, nawet moi uczniowie (którzy GK mają za rok) uznali, że to banał. Inne składowe chińskiego to dokończ cytaty (czyli miejmy nadzieję, że nauczyłeś się ich na pamięć) i rozumienie tekstu w klasycznym i uproszczonym chińskim. Tu trudno ocenić, ale nie wydaje się to przesadną rzeźnią. Matematyka podobno była trudna, ale to dlatego,

że pchają się na nią ludzie, którzy nie powinni nawet zabłąkać się w okolice szkoły.

Gaokao to w pewnym sensie koniec edukacji Chińczyków. Podobno jeżeli już się dostałeś na uniwersytet, to go skończysz, chyba że uda ci się zrobić coś gigantycznie głupiego lub też zaangażować politycznie. Znani mi studenci spędzali czas głównie na grach komputerowych i nieudolnych próbach poderwania studentek. Szkołę średnią niemal wszyscy opuszczają, mając wpojona awersję do czytania i samorozwoju. Absolutnie tylko jednostki są w stanie kojarzyć fakty i wyciągać wnioski. Nawyków w stylu „sprawdzę sobie sam” brak. „Coś mnie interesuje, więc o tym więcej poczytam” nie występuje. Dziwnym nie jest, skoro należy nauczyć się tak wielu cytatów, a w szkole siedzi się po kilkanaście godzin dziennie. Za to potem praca będzie wydawała się całkiem w porządku, godziny nawet jakies takie krótkie, a i jeszcze kasę dają, zakazów jakby mniej, ale się miło klei te telefony!

Mówi się, że ludziom rządzącym każdym krajem zależy na tym, żeby mieć społeczeństwo możliwie mało rozgarnięte. Obserwując, co zrobiono z edukacją w Polsce w ciągu ostatnich kilkunastu lat, trudno się z tym nie zgodzić. Jednak w kraju nad Wisłą jest jeszcze jakaś grupa osób, która czyta, uczy się dla siebie, ma jakieś zainteresowania. W Chinach system działa o wiele lepiej i produkuje ludzi o wiele lepiej sformatowanych.

[2.07.2014]

W Chinach są takie hektary osób uczące angielskiego, że wydawałoby się, że materiały do lekcji leżą na każdej stronie internetowej i problemu wielkiego z ich przygotowywaniem nie będzie. Nic bardziej mylnego. O ile ludzi i blogów jest pełno, o tyle o samej pracy nie pisze niemal nikt lub też w kontekście, że go wścieka, nie podoba mu się, ewentualnie podoba, ale czego też uczy i w jaki sposób, to próżno szukać. Z okazji końca współpracy z chińskim ogólniakiem, postanowiliśmy zebrać naszą wiedzę i doświadczenia.

Specyfika roboty – oczekiwania

Problemem bycia obcokrajowcem uczącym w Chinach jest to, że wszyscy oczekują od człowieka lekcji raczej zabawnych. Chińscy nauczyciele to są prawdziwi nauczyciele, a ciebie to mają tak dla jaj, bo czego ty byś mógł ich nauczyć? Sprawę utrudnia fakt, że nie brakuje osób, które się temu poddają. Uczniowie często oczekują, że obcy nauczyciel będzie im puszczał filmy, piosenki i tyle. Ewentualnie bawił ich swoimi próbami mówienia po chińsku, opowiadał jakieś bajki, czytał teksty, kazał im czytać i poprawiał. Tą drogą nie poszliśmy. Wykorzystywaliśmy materiały audio i video, ale jednak coś z nimi kazaliśmy robić. Przełożeni oczekują, że uczniowie będą z tobą ćwiczili mówienie, ale jak sobie trochę powalisz w jajo od czasu do czasu, to też raczej nie będą się ciskali. Tu dochodzimy do zasadniczego problemu, a raczej całej kolekcji tychże.

Większość szkół chce mieć zagranicznych nauczycieli, bo świadczy to o ich prestiżu i że są bogate. Najchętniej by chcieli Amerykanina, ale ponieważ Amerykanin zazwyczaj jest w stanie zarobić więcej w McDonalddie, a grupa Amerykanów pragnących przygód jest ograniczona, więc muszą się, o nieszczęsne, zadowolić nauczycielami z innych krajów. Dla wielu to, czy jesteś w stanie dać sensowną lekcję ma znaczenie drugorzędne, najważniejsze, żebyś wyglądał, najlepiej był młody i biały. Jeżeli jesteś wysoki, masz niebieskie oczy i blond włosy, to fantastycznie! Cały proces jest solidnie rasistowski, właściwie nie ma po co aplikować bez zdjęcia. Koszmar przeżywają czarni, jeszcze więksi tak zwani ABC – American Born Chinese. Chociaż nierzadko mówią perfekty w obu językach, szkoły jakoś na nich nie polują.

To, że masz jakieś pojęcie o uczeniu, może być wręcz problemem. W prywatnej szkole przerobiłem to milion razy, większość chińskich nauczycieli kopiuje metody uczenia chińskiego na angielski (powtarzanie i przepisywanie, niekoniecznie ze zrozumieniem) i jest gigantycznie odporna na to, że ty nie masz zamiaru uczyć w ten sposób. Szczęśliwie, w ogólniaku nie mieli żadnych problemów z tym, co przynosiliśmy na lekcje, nawet z tym, że nie powtarzaliśmy każdego słowa po pięć razy i że po jakimś miesiącu przestaliśmy nawet próbować korzystać z cudownych podręczników.

Specyfika roboty, część techniczna

W klasach ma się od 50 do 70 osób. Początkowo nasi opiekunowie bali się, czy będzie nas słyszać, dali nam nawet systemy nagłośnienia. Nie używaliśmy ich, bo zniekształcają głos i brzmi się jak Terminator. Ja się z natury wydzieram, więc w miarę mnie zawsze słyszeli. Problemem okazało się usłyszenie informacji zwrotnej – usłysz sobie malutką Chinę, która piszczy z ósmego rzędu, może nawet dobrze, ale skąd masz to wiedzieć? Zazwyczaj podchodziliśmy, ale czasem też trochę kładliśmy na to łagę i bardziej gadaliśmy z pierwszymi rzędami. Nawet nie przez to, że nam się nie chciało, ale często po klasie chodzi się diabelnie ciężko, ławki ściśnięte, między nimi rozpostarty jakiś chlew, nierzadko wystające nogi. Co mądrzejsi zrozumieli to i przesiadali się do pierwszych rzędów, ostatnie pozostawiając tym, którzy akurat woleli sobie pospać.

Przy tych rozmiarach grup wydawałoby się, że przeprowadzenie 40-minutowej lekcji to banał. Rzucasz temat, każdy powie po dwa zdania i po lekcji. Nic bardziej mylnego. Przeważająca większość naszych uczniów nigdy nie rozmawiała z nikim w obcym języku – w ramach nauki nie ma tego segmentu. Mimo pisania dość zaawansowanych testów, wielu uczniów nie potrafiła odpowiedzieć na trywialne pytania. Jakakolwiek kultura konwersacji nie jest rozwijana, lekcje zawsze wyglądają tak, że przychodzi nauczyciel i wygłasza wykład, ewentualnie piszą lub czasem coś oglądają. Zwłaszcza początkowo nie bardzo mogli zrozumieć, że naprawdę muszą odpowiadać na nasze pytania i że „Yes/No” nie wystarczą. Ba, po całym semestrze wielu z nich nie dało się przekonać, że w angielskim mówi się pełnymi zdaniami. Niektórzy (średnio 5-10%, zależnie od klasy) jednak chcieli ćwiczyć mówienie i próbowali mieć jakiś wkład w nasze spotkania, i to nawet inny niż marnowanie tlenu w pomieszczeniu.

Nawet mimo godnego podziwu zapału jednostek, wyniki są... rozczarowujące. Najlepiej podsumował to ktoś na stronie Eflbase, w sekcji profile krajów:

The students will want you to tell them the question, then write it for them, then they will want you to tell them the answer and write it for them, they cannot think and are very lazy and are about as talkative as a fish. What did you do last weekend? Nothing. Where did you go? I stayed at home. What did you do at home? Nothing. Nothing? Yer nothing I slept? What are your dreams? I have none? If you could visit any place in the world where would you go? I would go home and sleep.

They will suck the life out of you they are so rude, ignorant and boring.

Niestety to wszystko jest prawda. Dopóki pracowaliśmy z dziećmi, irytował nas jedynie poziom chińskich nauczycieli i kwestie organizacyjne. Praca w ogólniaku pomogła nam ustalić, że ten poziom nie wziął się z niczego, a jest efektem wspaniałego systemu edukacji. Uczniowie nie mają żadnych zainteresowań poza nauką, bo nie mają na nic czasu. Jedyne o czym myślą i marzą, to sen, ewentualnie żarcie. Szkoła redukuje ich egzystencję do walki o przeżycie. W efekcie naprawdę trudno z większością o cokolwiek rozmawiać.

Na początku założyliśmy pudełko na korespondencję i powiedzieliśmy im, żeby nas informowali, o czym chcą dyskutować, jakie tematy są dla nich ciekawe, ewentualnie jakie

nie, to im przygotowujemy o tym lekcje. Nie mogli uwierzyć, że ktoś może ich pytać o zdanie. Przez semestr łącznie zasugerowano nam TRZY tematy (wesele, szkoła, Justin Bieber), chociaż przypominaliśmy, że czekamy na więcej sugestii. Na jakieś trzy tysiące osób, to nie jest wynik zachwycający. Nasza skrzynka pocztowa stała się miejscem wymiany listów, też zawsze coś, chociaż nie sądziliśmy, że tak się to potoczy. Okazało się, że ludzie będący cicho w klasie, nagle odczuwają potrzebę napisania nam epistoły o sobie i zwierzenia się z czegoś. Nierzadko potem uczestniczyli aktywniej, pewnie trochę na zasadzie wdzięczności.

O czym więc robiliśmy lekcje? Otóż przydatny okazał się tępy nacjonalizm wbijany uczniom do głowy od lat najmłodszych. Wynajdywaliśmy rzeczy, w których Chiny odnoszą sukcesy (olimpiada, chińskie firmy, którym się powiodło), jak również rozmawialiśmy o świętach narodowych, chińskich osiągnięciach naukowych, telewizji, trochę o ogólnej historii regionu. To w miarę szło. Kilka z naszych lekcji miało formułę porównywania Chin z Zachodem, np. „Wesele w Polsce zaczyna się popołudniu i trwa do nocy, często w niedzielę jest dogrywka, a teraz powiedzcie, jak jest w Chinach?”. To też w miarę działało. Super bawiły ich absurdalne pytania, w stylu: „czy możecie palić papierosy w trakcie lekcji?”. Japonia nieco ratowała sprawę, pytanie „czy wolisz pojechać do USA, czy do Japonii?” potrafiło nieźle rozkręcić wielu zebranych. Trochę nam durnie chwilami było jechać po tej Japonii, no ale skoro działało, to była Japonia.

Aspekt trzeci, czyli nie idźcie tą drogą!

Całkowicie nie działały role playe – wyobraź sobie, że jesteś tym a tym, on jest tamtym, ona zaś oną, więc opowiedz, czemu coś tam chcecie zrobić. Poddaliśmy się z tym szybko, w najlepszych klasach dało się przeczołgać, ale w innych absolutny dramat.

Chińscy uczniowie całkowicie nie znają koncepcji pracy grupowej. Oto jak to często wyglądało:

– *Teraz w dwójkach, jedna osoba jest sprzedawcą, druga kupującym. Jedno potrzebuje prezentu na urodziny dla dziadka, drugie pomaga mu wybrać. Macie na to trzy minuty.*

Następuje dramat, nie potrafią dobrać się we dwójki. Mówiło się im więc: ty jeden, ty dwa. Ty jeden, ty dwa. Dzielenie 70 osób na pary zajmuje kilka minut.

– *Dobra! Możemy zacząć?*

– *Ale co my w tych parach mamy robić?*

Mówimy ponownie, już bardzo powoli: jedyński sprzedawca, dwójki kupujący. Dwójka chce kupić prezent dla dziadka. Jedyńska jest sprzedawcą i pomaga wybrać.

– *Ale mój dziadek nie żyje!*

– *Kurwa... To dla taty...*

– *A czy ja jestem jedyńska, czy dwójka? Bo zapomniałem!*

Może jednak oglądniemy jakiś film...

Przyznanie jakiegoś czasu na przygotowanie wypowiedzi owocowało tym, że nic nie robili. Wywołani potem z rozbrajającą szczerością mówili, że niczego nie przygotowali. Rozmiary klas uczą cwaniactwa i braku odpowiedzialności za cokolwiek – przecież jak jest sześć dycha ludu na sali, a wiadomo, że zapyta się góra dziesiątkę, to matematyczne szanse, że na nich padnie, są niskie, lepiej przecież nie robić nic. Kolejnym problemem jest to, że nie da się pałować. Nie, że mam wielką potrzebę utrudniania ludziom życia i znęcania się nad każdym, ale jednak jakieś środki przymusu by się przydały. Jak bez nich mam zareagować na to, że uczeń krzyczy w środku lekcji do drugiego „jebać ci matkę” (po chińsku) i próbują się bić? Raz poszedłem coś podobnego zgłosić (jeden drugiego zaczął tłuc ledwo zabrzmiał dzwonek) i chińscy nauczyciele żywcem nie mogli zrozumieć, o co też mi chodzi, nawet nikt nie wstał. W efekcie zwracaliśmy uczniom uwagę, że przeginają dopiero wtedy, kiedy cała klasa postanawiała absolutnie nic nie robić na lekcji. Zdarzyło się to parę razy – uczniowie dostali jakieś zadanie do wykonania i nikt nic nie przygotował, 10 minut bezowocnego czekania, aż ktoś łaskawie się zgłosi zakończony więc było pogadanką z naszej strony, że mają nie kłamać, że zadanie było dla nich za trudne, bo dobrze wiemy, na jakim poziomie są z chińskimi nauczycielami. Kiedy widzieli, że jesteśmy poważnie zirytowani ich zachowaniem, zaczęli przeproszać i na kolejnych lekcjach pracowali niczym na taśmie w Foxconnie. Pod koniec roku Aligator parę razy zapowiedziała wybitnie leniwym grupom, że jak w ciągu 10 sekund nie odpowiedzą na zadane pytanie, to mają opuścić salę – zadziało.

Wiedza ogólna chińskiego ucznia jest żadna – lekko licząc 95% naszych podopiecznych nie widziało żadnego filmu o Potterze, książkę przeczytało u mnie dwóch uczniów, jeden nawet wszystkie tomy. *Władca Pierścieni* – jedna osoba widziała serię. Filmy, które wszyscy znali, to *Avatar* i *Titanic*. Czemu ten drugi – nie do końca rozumiem, bo dzieło starsze od nich, ale jakoś w Chinach każdy je kocha, podobnie wiadomą piosenkę Celine Dion. Wypadli z butów, gdy im powiedziałem, że oba zrobił ten sam facet i że nazywa się James Cameron. A gdy poprawilem jeszcze, że pochodzi z Kanady, a nie z USA, to mi nie uwierzyli. Już oszczędziłem im mówienia, że zrobił parę innych filmów, które też nie są złe. Tematu książek nie poruszaliśmy w ogóle, bo wiedzieliśmy, że prawie nikt niczego nie czyta. Łącznie namierzyłem trzy osoby, które czytały coś innego niż podręczniki, jedna o dziwo Alice Munroe. Po tym, jak ją o to zapytałem, to niemal zemdląła z wrażenia, że znam tę jakże ostatnio mało popularną autorkę. O dziwo, *Dama kameliowa* to tu nadal dość popularna książka pośród młodzieży, podobnie *Wielki Gatsby*. Co najdziwniejsze, uczniowie mają w szkole... ZAKAZ CZYTANIA. Za czytanie karano. Nasza szkoła miała wielką bibliotekę, z której uczniowie nie mogli korzystać. Dowiedziałem się przypadkiem, pytałem, co by zmienili, gdyby byli dyrektorem naszej szkoły. Wcale niemało osób powiedziało, że chciałoby otwarcia biblioteki. Jakikolwiek książki nie będące podręcznikami były w naszej szkole zakazane. Im więcej takich kwiatów wynajdywaliśmy, tym bardziej współczuliśmy uczniom i mniej się na nich wściekaliśmy. Tak na marginesie, pytanie co byś zrobił, gdybyś był dyrektorem wygrał jeden z uczniów, odpowiadając, że zdefraudowałby wszystkie pieniądze przeznaczone na szkołę,

wybudował sobie dom, kupił samochód, a mi dał wielką kopertę pieniędzy, żebym już więcej nie przychodził i go nie męczył.

Uważa się, że w trakcie lekcji uczniowie powinni mówić 70-80% czasu, nauczyciel 20-30%. U nas częściej wychodziło 50-50, w lepszych grupach bywało nawet jeszcze grubiej, w gorszych odwrotnie. Poziom uczniów jest dość losowy, w jednej klasie mogą siedzieć wodzowie, którzy walą wypowiedź na pięć zdań i każde ma sens, a obok nich ktoś, kto nie potrafi sklecić jednego. Nie są to wymarzone warunki do nauki, to nie działa tak, że lepsi będą ciągnęli gorszych i im pomagać. Kończy się tak, że albo gada się z najlepszymi i resztę zlewa, albo zanudza najlepszych, gdy wydusza się z najsłabszego ucznia jakieś chaotyczne słowa. Nigdy nie próbujcie przetrzymać Chińczyka, nasza brytyjska koleżanka wzięła chłopca na środek i powiedziała, że nie wróci na miejsce, dopóki nie odpowie. No i stał 15 minut, nawet się popłakał, ale nie odpowiedział. Przyznam, że gdy widywałem, że nie ma szans, to mówiłem, żeby sobie siedli – jak nie wie, to nie wie, jeżeli nie wymyślił w minutę, to już pewnie nie wymyśli. Takie traktowanie niestety sprawia, że myślą, że człowiek jest miękki jak przyrodzenie po stosunku, w klasach bardziej bucowatych nie przyniosło to wiele dobrego. Problemem jest to, że uczniów nie ocenialiśmy (tylko testy ich oceniają), więc nie mieliśmy żadnego bata nawet na arcydebila i arcychama. Nie sądzę, że skończyłbym moje liceum, gdybym zapytał nauczyciela angielskiego, czy ma duże jądra. Od biedy można wywalić za drzwi i muszą stać na baczność, ale miałem jedną taką klasę, że każdego tygodnia mogłem wystawić spokojnie z dziesięć osób.

Innym problemem jest aspekt cywilizacyjny. W wielu klasach słyszałem plucie, na podłogach często taki chlew, że przejść się nie da. Organizacja pracy jest fatalna, tyczy się to zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Co do pierwszych: dobrze prowadzonego zeszytu nie widziałem, jedni nie piszą w ogóle, inni mają zapiski w formie azjatyckiego burdelu, angielski wymieszany z matematyką. Nikt ich nigdy nie uczył sztuki notowania, początkowo jeszcze im mówiłem (trochę się dziwiąc, że kieruję te słowa do 16-17 latków): piszcie se w słupku, piszcie se no tłumaczenia!

– *Ależ zapamiętamy!*

Tak zapamiętywała większość, że słowa „Antarktyda” i „krokodyl” wprowadzałem trzy razy i dalej ich nikt nie używał. To inny problem chińskiego szkolnictwa:

– *Znacie to słowo?*

– *Znamy!*

– *To powiedzcie mi z nim zdanie.*

– *Nie no, nie da się.*

Uczą się słów litaniami, ale prawie nigdy w kontekście. Są w stanie podać przekład 1:1, ale już nie używać wyrazów w wypowiedziach. Do tego dochodzi tendencja do nadużywania kilkudziesięciu magicznych słów. Torsji dostawałem, gdy dowiadywałem się, że coś jest *beautiful*, *convenient* lub *interesting*.

Pokutuje przekonanie, że Chińczycy (jak również Japończycy) nie chcą mówić, bo boją się, że zrobią błąd i stracą twarz. Szczerze, to podobnie jest w innych krajach, nikt się nie cieszy, że się piernicznął. Modelowo uczyli niegdyś, że należy zbierać błędy i na końcu lekcji omówić je grupowo. Prawie nigdy nie poprawialiśmy im błędów w trakcie mówienia (jedynie *many money* i *much people*, to mnie przesadnie irytowało, żeby zdzierżyć). Żeby zminimalizować prawdopodobieństwo identyfikacji osoby, która popełniła błąd, początkowo spisywałem je sobie i omawiałem na następnych lekcjach. Taktyka okazała się zła, bo jedni twierdzili, że oni tak na pewno nie powiedzieli, inni, że to jakieś bzdury i że oczywiście, że wiedzą, jak być powinno. Po trzech lekcjach przestałem to robić, bo nie widziałem w tym sensu. Jednak wieszaliśmy na drzwiach naszego gabinetu odezwy do narodu: jakie były błędy, jakie słowa są lepsze do używania od tego cholernego *beautiful*, co im polecamy robić, żeby im się lepiej mówiło. Mogłem sobie równie dobrze wydrukować to, wykorzystać w toalecie i spuścić. Wprawdzie widywałem wielokrotnie ludzi czytających nasze złote myśli, jednak nie przekonały ich one i *beautiful* ciągle królowało w wielu salach lekcyjnych.

Aspekt wierzeń lokalnych

Uczniowie przekonani są o dwóch rzeczach związanych z nauką języka wroga. Pierwsza, to że istnieje jakaś lista słów, której opanowanie gwarantuje dwieście procent sukcesu. Ciągłe pytano, ile słów trzeba się nauczyć, żeby móc się dogadać. Nie dawali się przekonać, że nie ma takiej listy, że co innego jest potrzebne do egzaminu, co innego do sprzedawania rur, a nawet znajomość tysięcy słów nie gwarantuje, że będą dobrze mówili, bo jest jeszcze gramatyka, słowa w kontekście (nie, w klasie macie *desks*, nie *benches*). Raz już miałem dosyć i jednemu powiedziałem, że zna tyle słów po angielsku, ile chce, niech sobie policzy do miliona, a jak chce to nawet i do dziesięciu.

Pytano nas też około tysiąca razy, co zrobić, żeby poprawić sobie poziom angielskiego. Odpowiedź zawsze brzmiała:

– *Czytać. Najlepiej coś, co was interesuje, mogą być teksty z netu, jeżeli czujecie się na siłach, to wiadomości i literatura, jeżeli nie, to biografia ulubionego aktora, piłkarza, muzyka.*

W to nam też nie mogli uwierzyć, przecież czytanie do niczego nie jest potrzebne, czego się można nauczyć z lektur? Bo oni myślą, że najwięcej nauczą się z filmów i muzyki. Dobrze, uczcie się z filmów i muzyki, ale filmy z angielskimi podpisami, nie z chińskimi.

– *Ale wtedy nie rozumiemy, musimy mieć chińskie podpisy.*

– *To się nie nauczycie wiele w ten sposób, więc trzeba czytać.*

– *Ale czytać? Neeeeee...*

Niektórzy uczniowie odkryli, że istnieją języki inne niż chiński i angielski. Bywało to dla nich szokiem i padały wówczas pytania: a czy niemiecki jest odmienny od angielskiego? A czy w rosyjskim jest dużo słów?

Czy ktoś ma pomysł, jak można odpowiedzieć na takie pytania? Cisnęło nam się na usta:

1. Nie, angielski jest taki sam jak niemiecki, mają tylko różne nazwy dla żartu.
2. W rosyjskim są tylko 2 słowa, *vodka* i *da*.
3. A czy chiński jest odmienny od japońskiego?
4. A czy myślisz, że może istnieć język, w którym jest mało słów?

To nie to, że uważamy, że młodzi Chińczycy powinni mieć wiedzę na temat języków europejskich, ale oni niewiele wiedzieli też o japońskim, koreańskim czy jakimkolwiek innym języku tej części świata. W paru klasach mieliśmy uczennice, które wybrały sobie imię Sakura, więc dwa razy Aligator zapytał, czy wiedzą, co to imię znaczy po japońsku. Nie wiedziały. Nawet nie wiedziały, że to z japońskiego.

[10.07.2014]

Aspekt prywatny

Mniej związany z uczeniem, czyli pozalekcyjne rozmowy z uczniami. Niektórzy z nich mówili dobrze po angielsku (paru nawet bardzo dobrze). Jeżeli trafiała się kombinacja osoby myślącej z mówiącą, wówczas dowiadaliśmy się w cholerę rzeczy. Każdy wie, że oficjalny obraz Chin to malowanie trawy na zielono, zaś życie to wspaniała przygoda i ścieżka kariery. W rozmowach ogólnych dominuje nuta radości, zadowolenia i pozytywnego nastawienia do życia. Gdy jednak przebijemy się przez to, wówczas trafiamy na hektary frustracji, depresji i smutku. W prywatnych rozmowach – przy obiedzie, w naszym mieszkaniu – z naszych uczniów wylewał się wkurw na cały ten system kładzenia im do głów poczucia misji osiągnięcia dobrych wyników w nauce, żeby mogli zostać żywicielami rodziny. Nie będąc pełnoletnimi, mówili, że zawiedli rodziców i dziadków, bo mają słabe wyniki z czegoś tam. Dziewczyna niemal ryczała, bo była druga w klasie, a nie pierwsza – nie, że taka ambitna, ale dziadek będzie bił (rodzice pracują w Guangdong, widzi ich raz na rok, dziadka nienawidzi). Że muszą rodzicom powiedzieć, że nie dostaną się na kluczowe uniwersytety i wpędzą całe familie w nędzę. W życiu nie widzieliśmy ludzi poddanych takiej presji jak przeciętny chiński uczeń. Większości nie przychodzi do głowy, że tak być nie musi, ale niektórzy nabierają podejrzeń, że robi się ich w konkretnego Jana i kradnie im życie.

Próbowaliśmy im delikatnie wyjaśniać, że to nie ich wina, że to system jest chory. Nie, nie powinniście siedzieć w szkole po szesnaście godzin dziennie. Nie, to nie wasza wina, że czasem dostaniecie gałkę z testu. Tak, nam się też zdarzało dostać pałę z wykrzyknikiem z przedmiotów ścisłych, a naszym znajomym z humanów. Nie można oczekiwać od człowieka, że będzie wybitny z chińskiego, angielskiego, matematyki, fizyki, nauk politycznych, chemii, biologii, historii i geografii. Takich ludzi jest na świecie bardzo mało. Totalnie opadały im szczęki, gdy mówiliśmy, żeby sobie poszli pograć w ping-ponga, poczytali gazetę albo (jeżeli ich stać) do kina. „Ale przecież mamy tyle nauki, przecież muszą się nauczyć słów z naszej ostatniej lekcji”. Nie, nie musisz. Chrzań to, odpocznij sobie, porządnie się wyśpij, wstaniesz i wypoczęty nauczysz się w dziesięć minut, a teraz zmęczony będziesz siedział dwie godziny i nic z tego nie będzie. Niestety i tak nam nie wierzyli, przesiadywali nocami nad zadaniami i byli śmiertelnie zmęczeni następnego dnia. A nas po prostu trafiało na oglądanie paru tysięcy umęczonych zombie.

Co gorsza, chińska szkoła jest głównie męcząca, bo uczą się tak naprawdę mało, pełno jest jakichś godzin nauki własnej (wtedy śpią albo łążą po kiblach – teoretycznie im nie wolno, ale mało któremu wychowawcy chce się ganiać uczniów po korytarzach), przerw, posiłków, apeli, sprzątanía, innych bzdur. Gdyby pozwolono mi zmienić rozkład zajęć, to bym im zrobił lekcje od 8 do 15 i amen, idźcie do domu albo do dormitorium. U nas

dziewięć lekcji 40-minutowych ciągnęło się do 17:20, w tym chyba wszyscy mieli po dwie lekcje pracy własnej. Siedem lekcji to 280 minut, dając im średnią przerwę w wymiarze 10 minut, mamy 350 minut. Zaczynając o 8, wychodzimy ze szkoły o 13:50. I to był ich prawdziwy wymiar nauki, właśnie mniej więcej taki, jaki ma przeciętny uczeń w krajach cywilizowanych. No ale siedzą od 6:50 do 22:20, przynajmniej rodzice lub dziadkowie nie muszą ich oglądać, a przy okazji urabia się ich, żeby potem grzecznie stali przy taśmie w jakiejś fabryce i sklejali trampki po czternaście godzin na dobę – są już przyzwyczajeni do takiego rytmu życia przez szkołę średnią.

Jeszcze o życiu chińskich uczniów w większym detalu, bo to usiane jest różami niczym egzystencja galernika. Każdego dnia nasi Mandaryni wstawali o 6:50, żeby zdążyć na śniadanie o 7:20. Potem mogli spokojnie udać się do klas. Jeżeli pogoda pozwalała, na jednej z przerw szli czasem biegać wokół budynku szkoły. Jest to pomysł mniej więcej tak dobry jak zrobienie portalu Empatia dla bezdomnych, chociaż to przynajmniej taniej wychodziło. Czterema klatkami schodowymi schodziło ponad trzy tysiące osób, ustawiało się swoimi klasami i przez może pięć minut biegało w kółko przy żywiołowej, wojskowej nucie. Potem wracali do klas, cali spoceni, zziębnięci, nie było mowy o punktualnym rozpoczęciu lekcji o 11, raczej o 11:10. Jeżeli pogoda nie pozwalała, wówczas siedzieli w ławkach, uszu wszystkich dobiegała nastrojowa muzyka i ćwiczyli oczy. Zarówno pierwszego, jak i drugiego nienawidzili. Nie sądzę, żeby miało to jakiś przesadnie pozytywny wpływ na zdrowie, ale kogo tam obchodzi, co se biali myśleć, od wieków tak było i tak ma być. Od mniej więcej maja częstotliwość ćwiczeń znacznie spadła, ludzie się nie popłakali, my też to znieśliśmy z godnością.

Kolejna dłuższa przerwa była na lunch. Na tenże mieli 40 minut, a potem do 14 czas na sen, spali więc na ławkach, w pozycjach zdecydowanie niewygodnych. Od 14 do 17:20 były lekcje, po drodze jedna przerwa na ćwiczenia oczu, niezależnie od pogody, ale z czasem też jakoś im przeszedł do tego ogień. Potem obiad i spanie. Od 19 do 22:05 lub 22:20 kolejna nauka własna. Jeżeli uczeń mieszkał poza szkołą, to wtedy szedł do domu (już o 22!), inni do dormitorium. Wszyscy się skarżyli, że potem muszą do jakiejś północy siedzieć nad zadaniami domowymi, więc trafia im się jakieś solidne sześć godzin ciągłego snu na dobę. Rewelacyjne dla nastolatka, cudownie służące rozwojowi. Dlatego też przeważająca większość naszych uczniów miała wady wzroku (w wieku lat 13-17!), które są kombinacją blisko- i dalekowzroczności – raz patrzą normalnie przez okulary, kiedy indziej je odwracają. Jeżeli ktoś ma pecha, to jeszcze może mieć stanowisko nauki w miejscu, gdzie dociera mało światła. Jednak gdy swego czasu pojawił się pan w TV, który zaczął poddawać w wątpliwość, czy młodzież naprawdę musi spędzać tyle czasu na nauce, to od razu go zajeżdżał chiński internet, że leń, bumelant i że pewnie sam w życiu niczego nie osiągnął, i żeby się nie podlizywał gnojom, bo potem przez niego nie osiągną sukcesu. Problem polega na tym, że obawiam się, że we współczesnym świecie mniej mogą im się przydać wiersze Mao Zedonga, a więcej dałoby kilka godzin informatyki. Tej niestety większość z naszych klas miała dokładnie okrągłe jak księżyc w pełni zero.

Aspekt pt. „Stracony weekend”

Dwa weekendy w miesiącu uczniowie mieli wolne, dwa pracujące (dla nas szczęśliwie wszystkie były wolne). Tym samym pytać w poniedziałek o to, jak minął odpoczynek, należało z wyczuciem, bo w połowie przypadków nie minął. Dawali im jednak trochę luzu w niedzielę, wtedy kończyli lekcje już o 17:20.

Jak już wspomniano, wszyscy mają być świetni ze wszystkiego, co w klasach sześćdziesięcioosobowych jest bardzo pobożnym życzeniem. Jeżeli ktoś ma talent, to będzie dobry, jeżeli nie, to szkoła mu raczej wiele nie pomoże, a tak szczerze, to chyba nic. Jednak nawet jeżeli ze wszystkiego dostajesz same dorodne pały, to relegowany nie będziesz i skończysz szkołę, polecieć za to się nie da. Smutne jest to, że mimo tych warunków trochę osób osiąga poziom niemal wybitny. Pozostaje zastanowić się, co mogliby osiągnąć w szkołach uczących według zachodnich wzorców. Prawdopodobnie wtedy Chiny nie byłyby znane głównie z robienia upośledzonych podróbek towarów zachodnich.

Jakie są efekty spędzania całego życia w szkole? Właściwie żadne. Jeszcze rok temu wierzyłem, gdy mówili mi, że Chińczykom języki to nie idą, ale mają oni niesamowity dar do matematyki. Tak niesamowity, że mają problemy z dodawaniem cyfr, nawet nie liczb! Potrafią liczyć równania różniczkowe, ale zadane na szybko pytanie: „jeżeli urodziła się w 1976 roku, to ile ma obecnie lat?” powoduje popłoch na sali, sięganie po kalkulatory i po chwili udzielenie odpowiedzi 38 (a przecież może jeszcze mieć 37, więc wypadłoby powiedzieć 37 lub 38, zależnie, kiedy się urodziła). Wiedza geograficzna – tak o Chinach, jak i o świecie – jest żenująca. Nie wiem, czego uczą się na geografii (której niektóre klasy miały sześć godzin tygodniowo!), może jakiejś geologii? Uczniowie nie są w stanie zlokalizować chińskich prowincji ani chińskich miast na mapie. Kanada jest w Europie, Australia to nie wiadomo co, Niemcy we Francji – to standardowe wymioty intelektualne moich uczniów. O krajach azjatyckich nawet nie mówię, bo wiedzą tylko, że jest Japonia, czyli wróg, a już Korea Północna myli im się z Południową. Bardzo ich nie pytałem o takie cuda, to samo wychodziło w trakcie rozmów („Lubię piosenkarzy z Korei Północnej”). Biologia to podobny kanał, nie wiedzieli, gdzie mieszkają pingwiny, (które według nich nie są ptakami, krokodyl zaś jest rybą), niektórzy nie potrafili nawet rozpoznać krokodyla na zdjęciu, a że w Chinach mieszka aligator chiński (jeden z dwóch gatunków aligatora na całym świecie), nie słyszał nikt. Ich wiedza o fizjologii człowieka jest taka, że wiem, że tego też się nie uczą, więc czego, królestwa owadów? Biologii też mieli pod sześć godzin. Kombinacja biologii i geografii, w stylu: „a gdzie dokładnie mieszkają pandy?” prowadziła zazwyczaj do zgadywanki (choć oddają honor, niektórzy to wiedzieli).

Nie sądzę, żeby na chińskim tyrali, bo wszyscy bardzo chiński lubili. Na angielskim głównie testy i słupki wyrazów. Jedną z moich ulubionych nauczycielek angielskiego została pani, która wyświetlała swoim uczniom materiały do słuchania. Pewnego dnia przez bite czterdzieści minut oglądali przemowę Obamy o edukacji. Żadnych ćwiczeń, żadnych pytań, Obama gada, klasa śpi, dzwonek, koniec. Według Chińczyków na tym

polega osłuchiwanie się z językiem, należy wystawiać się na jego dźwięk i melodię. A jeżeli nie rozumiesz? To nie takie ważne, ważny jest dźwięk języka.

Zadziwiającą właściwością chińskich szkół jest to, że nie da się ich oblać naukowo. Powtórzmy: można wyfrunąć za picie, bicie się z innymi, całowanie się, ale choćbyś wszystko na pały napisał, to liceum skończysz. Zresztą, co do reguł, to mniej więcej standard krajowy: reguł jest od chuja i trochę, zakaz telefonu, fajek, miłości, książek, żarcia spoza szkoły, korzystania z biblioteki, nakaz strojów i diabli wiedzą czego. Oczywiście telefony ma większość, pali też niemało osób, a i związki wypatrzyć bez problemu. Od maja więcej osób nie nosiło stroju szkolnego, niż nosiło. Tak naprawdę nikt ich nie goni, wprowadzono milion debilnych przepisów, ale praktycznie się ich nie egzekwuje. Cały system prawny tego kraju tak wygląda, niby nie można, ale w sumie nie ma kar, za to jak będę ci chcieli dowalić, to wtedy nagle wszystkie przepisy zostaną wprowadzone z całą surowością. W pewnym sensie szkoła nie gorzej przygotowuje do życia.

Aspekt techniczny

Dość poważnie zdziwiliśmy się jakością szkoły: o ile kible były po chińsku odrażające, o tyle klasy okazały się całkiem solidnie wyposażone. W każdej mieliśmy pulpit multimedialny, w nim monitor ze wzmocnionym wyświetlaczem, głośniki, kontrolkę do ekranu i pilota do projektora. Wiele rzeczy się chrzało, sypało, było brudne, wieszało się, ale dało się robić, a w niektórych salach wręcz bez żadnych problemów. Używaliśmy tych zdobyczy technologii zapamiętałe. Pewną pułapką stało się to, że po jakimś czasie nasi uczniowie czekali na zmieniające się slajdy. Gdy chcieliśmy zrobić coś, do czego komputer nie był do końca potrzebny, to i tak wrzucało się ze dwa obrazki, bo inaczej rozczarowanie, i jak to – bez obrazków? Chińscy nauczyciele uważają technologię za bezpośrednie przedłużenie tablicy, więc widywaliśmy wyświetlane ekrany tekstu, bez żadnych obrazków, animacji, filmów (no poza tym z Obamą). Wobec mojej szkoły średniej to było o wiele lepiej, nam się mógł marzyć co najwyżej rzutnik do folii. Był nawet szkolny informatyk, czasem coś zostawało nawet naprawione. Wirusów zbieraliśmy po kilka każdego dnia, a przeglądarką na wszystkich komputerach był Internet Explorer. Ciekawe, czy nasza szkoła wykupiła Windowsa z licencją do używania na tylu komputerach. Na pewno!

Aspekt żywieniowy

Wspominaliśmy już kiedyś, że szkolna stołówka umilała nam życie, ale jak zbiorczo, to zbiorczo. O ile przez poprzedni rok dość dużo gotowaliśmy, to w tym sezonie zdaliśmy się na żywienie stadne. 80% dań dość dobrych, trochę monotennie (ryż i ostra marchewka, ryż i ostre tofu, ryż i ostry ogórek, ryż i ostre kielki bambusa), ale i finansowo, i pod względem czasowym rewelacja. Zdarzało nam się w weekendy i dni wolne łązić do szkoły, żeby zjeść. 4,5 RMB za posiłek, czyli trochę ponad 2 PLN. Zawsze ryż (darmowy, ile się chce) i trzy różne dodatki warzywne (bo mięsa nie jemy, ale nawet bardzo zdesperowany

mięsożerca mógłby się nie dać skusić na to, co dawali).

Prawdopodobnie żadne z nas do końca świata nie zje kapusty. O ile pierwszy miesiąc nam nie przeszkadzała, to po drugim zrozumieliśmy nienawiść naszych uczniów do tego warzywa. Są dwa chińskie słowa, których używamy, nawet zamiast polskich i angielskich: pierwsze z nich to *jazy* (*yazi* – 鴨子), czyli kaczka. Drugie to *bocai* (菠菜), czyli kapusta (słownik twierdzi, że *bocai* to szpinak, ale w Dongkou tak mówili na kapustę).

Wygląda to tak:

- *Co dzisiaj dają?*
- *Znowu jest bocai, trzeba będzie błagać kucharkę o podwójne tofu.*
- *Czemu wyrzucasz jedzenie do śmieci?*
- *To nie jedzenie, to bocai.*

Aspekt kaczy

Zaś co do kaczek... Życie w Dongkou pełne było kaczek. Nasi uczniowie kochali kaczki. Mimo pewnych kłopotów językowych, setki razy słyszeliśmy opowieści o tym, jak dobrze przyrządzić kaczkę. Jest specjalne miejsce w mieście, gdzie sprzedają kaczki, kaczy bazar. Wielokrotnie widzieliśmy ludzi niosących kaczki w rękach lub torbach. Kaczki wożone na motorach. Kaczki na sznurkach. Stada kaczek na krawężnikach. Kwaczące torby pań z klasy średniej. Kaczka to *yazi*. Spolszczone przez nas *jazy* stało się słowem kluczem do hunanńskiej rzeczywistości:

- *Spóźnia się...*
- *Pewnie dojada jazy.*

- *Miała mi oddzwonić dwie godziny temu.*
- *Gotuje jazy mężowi.*

- *Ale mają chlew w tym sklepie.*
- *Pewnie im jazy uciekły.*

- *Siedzi w tym kiblu od dwudziestu minut.*
- *Pewnie nieświeże jazy zjadł.*

I tak wszystko przez pryzmat *jazy*. Nasz chiński przyjaciel z Huainan, David, mówił nam pod koniec 2013, że ceny kaczek poszybowały pod niebiosa, koło 80 RMB za sztukę. Tu chyba nie, kaczki były wszechobecne, jedzą je wszyscy, chyba najczęściej na weekendowe obiady. W trakcie jednej z naszych lekcji roztrząsaliśmy kwestię, czy kaczka nadaje się na zwierzątko domowe. Był to jeden z tematów, który prowadził do ożywionych dyskusji w licznych klasach.

Aspekt organizacyjny

Co do organizacji pracy, to panował burdel. Nieco mniejszy niż w szkole prywatnej, jednak był to konkretny burdel. Trzy rekordy:

- 14:40 – poinformowano mnie, że lekcję z 14:50 przenieśli mi na 13. Przepadło, uczniowie chyba się nie powiesili, a i ja z godnością przyjąłem, że mogę sobie iść wcześniej do domu.
- 14:40 – Aligator dowiedział się, że miał mieć lekcję o 11:40. Zapomniano poinformować, że grafik się zmienił.
- 14:40, czyli tuż po skończeniu lekcji, która zaczęła się o 14 – Aligatora poinformowano, że lekcji o 14 miało nie być.

Pomniejsze osiągnięcia: info o 10 rano, że zamiast o 14, zacznę o 10:35 – dobiegłem, nawet mnie przeproszono, że tak późno zadzwonili. Nie no, luz, lubię prowadzić lekcje wytargany z łóżka i ogolony do połowy ryja.

Na trzy tygodnie przed końcem roku szkolnego nie byli nam w stanie powiedzieć, kiedy ten będzie. Musieliśmy kupić sobie bilety powrotne, więc dogadaliśmy się, że na pewno 7 lipca nas nie będą potrzebowali. Jednak ostateczną datę dostaliśmy 20 czerwca, a prawdziwą 26. Jest w tym pewna logika, uczniom nie można było powiedzieć, kiedy rok szkolny się skończy, bo by na to przesadnie czekali. W efekcie, wszyscy przesadnie czekali na tę magiczną datę. Wakacje to i tak pojęcie dość względne, bo dowiedzieliśmy, że nasi uczniowie będą musieli parę razy przyjść do szkoły. Chociaż wielu z ich rodziców wypruwa sobie żyły w jakichś fabrykach, to nie pojedą sobie z dziećmi na plażę – koncepcja urlopu tu nie dotarła, a i w szkołach wakacji pełnych nie będzie.

Ogólnie cały czerwiec był miesiącem bez sensu, zawsze niskie poziomy energii naszych uczniów zjechały do zera. Nawet w najlepszych klasach niemal klękaliśmy, żeby nam ktoś coś odpowiedział. Ciągłe coś przepadało, łącznie niemal połowa miesiąca. Niektóre dni były tak gorące, że więcej sensu miało pójście na basen (oj, w tej miejscinie nie ma) niż próby wykrzesania energii z siebie i podopiecznych.

Chociaż ostatecznie podano nam, że koniec roku będzie 4 lipca, Jenot skończył swe lekcje tydzień wcześniej, Aligator zaś 3 dni przed tą datą. Dzięki temu mogliśmy bezsensownie pokoczować w Dongkou kilka dni więcej, niż musieliśmy.

Aspekt podsumowawczy

Czy polecamy? Ocenę chińskiego ogólniaka można porównać do tej, jaką niegdyś wykonał Deng Xiaoping względem Mao Zedonga: 70% dobrze, 30% źle. W przypadku Mao nigdy nie udało nam się znaleźć tych 70% dobrego, ale musiały być gigantyczne, bo te 30% złego widać dość dobrze. Jeżeli chodzi o szkołę, to po stronie plusów można wpisać niemałą liczbę udanych lekcji, wynagrodzenie wpływające zawsze na czas, ogólną infrastrukturę sal. Po stronie minusów bajzel organizacyjny, toalety i paru chamowatych uczniów. Nie było to wymarzone miejsce do rozwijania skrzydeł, przygotowywania pokazowych lekcji, ale praca i tak szybko stała się naszym ulubionym zajęciem. Szkoła traktowała nas więcej niż dobrze, a od połowy semestru nauczyliśmy się, w których klasach idzie lepiej, a w których gorzej, więc mogliśmy sensowniej balansować poziom. Chiński ogólniak (każdy, o jakim słyszałem) cechuje wspomniana już dość daleko posunięta dezorganizacja, jak również dobrze nam już znana taktyka omijania problemów i chowania głowy w piasek wobec pytań mniej oczywistych. Jednak w porównaniu z chińską szkołą prywatną, państwowa placówka okazała się być w miarę poskładana, uporządkowana, zaś praca w niej miała o wiele więcej sensu niż w szkole prywatnej.

[19.09.2014]

Rozpocznijmy od bardzo trudnego pytania: *Czy Gary naprawił nam zlew?* Nagród za poprawne odpowiedzi nie przewidziano. Nie można jednak powiedzieć, że nie zrobił nic. Przyszedł, włączył, zalał pół kuchni wodą i stwierdził, że trzeba wymienić rurę. Nooooo, minęło już kilka dni, a my nadal jesteśmy pod wrażeniem tej zajełście cennej diagnozy: tak, stary, obawiam się, że skoro w rurze jest dziura wielkości przyrodzenia porno aktora, to istnieje ryzyko, że sama się nie zasklepi i będzie dalej działało w trybie fontanny z *La Dolce Vita*, a każdy potencjalny użytkownik skończy mokry jak Anita Ekberg. W sumie już się nawet na niego nie wściekamy, bo nam się nie chce. Okazało się, że piłka jest po stronie serwisantów naszego kampusu uniwersyteckiego. Świetnie, tylko co mnie to u licha obchodzi? MY CHCEMY MÓC UMYĆ NACZYNIA! Prawie, że zapomnieliśmy, że naczynia można myć nie tylko w umywalce, a wodę do czajnika łąć inaczej niż z prysznica. Zabawa trwa CZWARTY tydzień.

Druga odsłona dramatu pod tytułem AGD to pralka. Pogodziłem się, że jest parę rzeczy, których w życiu nie pojmę – losów kota Schroedingera, chemii organicznej, regulaminu przewozu osób krakowskiego MPK. Do tej pory jednak w miarę dawałem sobie radę z pralkami, nawet chińskimi. Jednak w tym sezonie nasza siedziba wyposażona jest w taką, która pozwala sobie wybrać program, leje trochę wody, a potem robi Error. Jest w tym nawet pewien czynnik losowo-hazardowy, bo raz wywala Error 2, kiedy indziej Error 8, a raz nawet otrzymaliśmy Error 0. Są też dni, kiedy działa bez problemu, wybiera się program, klik i robi swoje. Jeżeli jednak w ciągu najbliższych paru godzin nie da się przekonać do wyprania moich betów, to albo na zajęcia pójdę z ptakiem na wierzchu, albo w ofajdanych gaciach.

Rozpoczęliśmy w końcu zajęcia. Czekaliśmy w blokach startowych ponad dwa tygodnie, więc gdy w końcu można było, to do klas rzuciliśmy się niemal na wyścigi. Po swej pierwszej lekcji Aligator powrócił z raportem: gównu potrafią, gównu im się chce, do szamba to wszystko. Myślałem, że wnosząc mój bagaż doświadczenia i entuzjazm będę w stanie osiągnąć nieco więcej. Trudno powiedzieć, czy się udało, bo poniżej dna rozpoczyna się dłubanie w mule, a to trudno wartościować. Tak mniej więcej wyglądała moja pierwsza lekcja. Przygotowałem wybitnie ogólne, łatwe pytania, głównie po to, żeby usłyszeć, jak moi uczniowie mówią. Spędziłem wcześniej niemało czasu nad książkami, z których będę uczył, wychodziło mi, że powinni być w okolicach B2 (B2 to FCE, czyli raczej znamy całą gramatykę i nie sprawia nam ona większych problemów, musimy się nauczyć trochę słów i konstrukcji, żeby jeszcze ładniej mówić i pisać). Po dwóch minutach miałem śmierć przed oczyma, po dwudziestu zastanawiałem się, czyj wujek publikuje te książki, że im kazano je kupić.

Po pierwsze, bywają nawet takie okazy, że w wieku lat 19 są w okolicach poziomu drugiego roku nauki (a są przynajmniej po dziewięciu latach). Wielu z nich przerasta

podanie daty. Totalnie nie wiedzą, kiedy i jak się używa form ciągłych (*I can drawing*), a i zwykła liczba mnoga wielu z nich potrafi pokonać (*I like mouse* – po mej sugestii poprawiono na *I like mouses*, nikt z całej grupy słowa *mice* nie znał). Liczba mnoga nieregularnych stanowi dla nich zagadkę większą niż losy ww. kota Schroedingera dla mnie. Szczęśliwie, i jedno, i drugie z nas na dzień dobry dostało swoje najslabsze grupy. Potem było lepiej, mówienia więcej, błędów mniej. Ich celem jest zdobycie 6 z testu IELTS (o specyfice tej zabawy kiedyś więcej). Najlepsi są w stanie to zrobić, ale większość jest bardzo daleko. Czasem było nawet trochę śmiechu i niezgorszych odpowiedzi, ale trudno powiedzieć, że po lekcjach wracaliśmy w podskokach.

Głównym problemem jest to, że mało komu się chce, bo wiedzą, że wszyscy zdadzą – dostaliśmy wytyczne od uniwersytetu, które jasno mówią, że mają zdać. Znaczą, sorry, nie wszyscy: jeżeli ktoś opuści więcej niż pięć z siedemnastu zajęć, to go można nie dopuścić do egzaminu. Wróżę niesamowitą frekwencję od jakiejś połowy grudnia, bo jak ktoś machnie te 12 na 17 obecności, to położy łagę na resztę, a ja mu będę mógł naskoczyć z dystansu. Nie wolno nam oblać więcej niż 3% studentów, co z 33 osób oznacza dokładnie nikogo. Ponieważ większość grup mamy właśnie w okolicach trzydziestki studentów (kilka większych, jedną mniejszą), więc już na pierwszych zajęciach mógłbym dać zaliczenia z końcowego egzaminu.

Zdarzają się jednak i perły – jedna studentka podała Stendhala jako swego ulubionego pisarza, inna *Przeminęło z wiatrem* jako ulubioną książkę, bo jej imię po chińsku oznacza właśnie „przeminęło z wiatrem” – wyobraźmy sobie kogoś o takich personaliach w polskiej podstawówce. W innej grupie student wałnął długą wypowiedź nt. braku znajomości kultury zachodniej wśród Chińczyków i tego, że ma nadzieję, że ich pouczę o tym. Takie jaskółki naprawdę potrafią zrobić dzień i sprawić, że się chce bardziej i zaczyna mieć nadzieję, że jakoś to będzie. Bo tak ogólnie, to mamy lokalny standard: wiedza o świecie jest umiarkowana – trochę już przywykliśmy, ale nadal wzbudza nasze przerażenie, gdy odkrywamy, że nie ma takiego państwa jak Kanada, a inny uważa, że cała Afryka to jeden kraj. Mieliliśmy trochę większe nadzieje związane z uczeniem w szkolnictwie wyższym, ale już po pierwszym tygodniu widzimy, że wszystko zależy od klienta końcowego, czyli ucznia. Jeżeli będą się chcieli uczyć (bo są i tacy, pytanie, czy zrobią się takie całe grupy), to może coś osiągniemy. Jeżeli jednak postanowią położyć na to łagę, to nie mamy żadnego sposobu, żeby ich straszyć lub motywować. Zdroworozsądkowo powinniśmy stwierdzić „ołać to, byle regularnie płacili, w sumie nawet łatwiej tak”, ale jest nam po prostu w chuj żal, że to tak wygląda. Że jacyś rodzice tyrają przy taśmie produkcyjnej, żeby zapewnić swemu dziecku wykształcenie i świetlaną przyszłość, a tymczasem uniwersytet tylko zgarnia opłaty i pozwala pacholętom grać na mandolinie. A, sorry, nie tylko, bo w odróżnieniu od ogólniaka dziecięta mogą w końcu chodzić na randki, więc lata uniwersyteckie służą temu, żeby sobie znaleźć męża/żonę i nadrobić zaległości w temacie spożywania alkoholu i palenia papierosów. I jeżeli jednostka nie będzie miała większej determinacji, to może to być główny produkt tego oblicza chińskiego szkolnictwa.

Z akcentów pozytywnych: do października jedziemy na pół gwizdka, bo pierwsze lata mają najważniejszą rzecz świata, czyli szkolenie wojskowe. Biegają więc umundurowani po terenie szkoły i strasznie dużo krzyczą. Gdyby od ich krzyków cokolwiek zależało, to już by nam tu oddawali Tajwan i niezły kawałek Indii. Problem, że zaczynają te wrzaski w okolicach 6 rano, więc jeżeli akurat nie mamy lekcji na 8, to wstawiamy nieco wcześniej niż lubimy.

Gary nam sprzedał fajną historię o treningach: kiedyś dostawali po pięć naboju na studenta. Po jakimś czasie wyszło im, że za drogo to kosztuje, więc zredukowano liczbę do... JEDNEGO. Minęło trochę i doszli do wniosku, że na jednym naboju nie da się nauczyć strzelać, więc zrezygnowano i z tej części szkolenia. Biegają więc, krzyczą, nawet śpiewają i noszą wyposażenie klas. Dla nas o tyle dobrze, że najpierw poznamy starsze roczniki, a potem dopiero zabierzemy się za świeże.

Z akcentów negatywnych, czyli „a dlaczego to nie działa?”. Jeszcze przed rozpoczęciem zajęć zebrano nas wszystkich z laptopami i wzięto, żeby sprawdzić, czy uda się je podpiąć do projektorów. Osiągnięto skuteczność na poziomie 10% – akurat Asus mojego Aligatora okazał się w miarę kompatybilny z projektorem (jednym, bo drugim już nie). Cała reszta sprzętu nie – w wielu przypadkach była to magia posiadania sprzętu firmy Apple. Podobał nam się styl pracy lokalnych informatyków: podpinał, nie działało, więc zapraszał do następnej sali. W końcu w jednej na przejściówce na kilka minut zadziałał jeden iMac. Po chwili przestał, ale informatyk powiedział, że przecież OK jest.

– *Czyli rozumiem, że wszystkie lekcje będę miał w tej sali?*

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, robimy na razie raczej bez multimediiów (no ja mam od kogo pożyczać, jednak są i inne trudności – np. niedziałający projektor, brak ekranu), ale piszemy sylabusy, w których zaznaczamy, jak bardzo multimedialne nasze lekcje będą. W salach stoją komputery, więc władze uczelni zabroniły nam używania ich – uzasadnienia póki co brak. Oczywiście używamy ich (fajne wirusy się przynosi do domu), ale problem, że na razie większość nie działa.

Jeszcze o stronie bardziej technicznej roboty, czyli sylabusach, tabelkach, formatkach, wyliczeniach, listach i czymś tam jeszcze: mam imponujących rozmiarów kolekcję plików na dysku, które zawierają informacje dotyczące mojej wizji tego semestru. Me wizje dałyby sobie radę na 2-3 stronach A4, ale gdzie tam. Obecnie mam pod 20 stron do każdej grupy – powielone, przepisane częściowo, wpisane w tabelki, rozpisane na tekst, od myślników, uzupełnione raz na 16, raz na 17 tygodni (bo jeszcze nie wiadomo, ile potrwa semestr). Pierwszą część musimy złożyć przed końcem września, drugą jakoś do połowy października. Jeżeli będą chcieli to wydrukować, to cena papieru na pekińskiej giełdzie pójdzie do góry.

Z perspektywy mniejszości etnicznej, trochę tam sobie gadamy z innymi nauczycielami, z paroma kręcą się tematy, z innymi leci głównie kurtuazja. Po ostatniej prywatce mamy serię przemyśleń na temat Amerykanów i ich podejścia do świata. Daleki jestem od generalizowania całych narodów, ale im więcej mamy do czynienia z ludźmi z kraju od morza do morza, takowe nam się nasuwają. Amerykanie są przeświadczeni,

że mówią najwyższą i najlepszą odmianą angielskiego, a cała reszta świata coś tam duka. W tym utwierdzają ich Chińczycy, którzy są w stanie przyjąć na wiarę każdą bzdurę i każdy regionalizm, tylko dlatego, że wypowiedział go Amerykanin. Parę dni temu Amerykanka była łaskawa poprawić moją wymowę słowa router (mówię mniej więcej „rooter”, a ona „rauter”). Okazało się oczywiście, że to amerykańizm, Brytania mówi moje „rooter”, czyli obie formy OK, ale przecież na pewno tylko ich wersja obowiązuje. Amerykanie nie do końca rozumieją też Present Perfect, a o Past Perfect to może czytali w szkole (plus oczywiście formy ciągle tych czasów nie istnieją). Do tego naprawdę zastanawia mnie, czy skoro w luźnych rozmowach walą „There is many people”, to czy tak uczą na lekcjach? Aha, mówimy o ABSOLWENTACH filologii angielskiej. I albo sobie robili jaja, albo pojęcie czasownika jest dla nich tak abstrakcyjne jak dla dresiarza z okolic Radomia. Naprawdę, nierzadko się od nich uczę, ale chwilami to podejście Alf i Omegów wykańcza.

Przyjechała Ukrainka, Ira. Oczywiście kusilo nas zaznajomić ją z „Irasiad”, ale jakoś się pohamowaliśmy. Zdobyła nasze serca, bo ledwo się wprowadziła, to przeszła po całym budynku i zaprosiła wszystkich na libację. W sumie jest nas jedenaście osób, dycha od angielskiego i jeden Koreańczyk.

Przyszła nas trójka – my i Sheldon z Australii. Drugi Australijczyk przeprosił, że nie może, bo ma lekcję o 8 rano. Koreańczyk mówi tak se po angielsku, więc możemy zrozumieć, że nie chciał się męczyć. Cała reszta okazała się zbyt zajebista, żeby wpaść choćby na 20 minut. No cóż, wyszło ogólnie fajnie, nakupiliśmy żarcia, przynieśliśmy naszą litrową pamiątkę z krakowskiej bezcłówki, ona miała piwa, a Sheldon przytachał driny. Jak zaczęliśmy o 21, to siedzieliśmy do 4, a przez ostatnią godzinę gadaliśmy już tylko po rusku (bo Sheldon sobie poszedł koło 3... Chyba...). W sumie wpisuje mi się to w przemyślenia o świecie współczesnym, gdzie każdy oficjalnie jest zajebiście grzeczny („Witamy w infolinii Nestle Polska, w czym mogę pomóc?”), a tak naprawdę za każdym „życzę miłego dnia” kryje się „idź się jebać, chuju pierdolony”. Przyszło to właśnie zza oceanu, ale przez to, że często obcujemy z ludźmi z różnych kręgów kulturowych coraz bardziej doceniamy zwyczaje słowiańskie, gdzie „wał się” przewija się częściej niż „miłego dnia”. Nie, że bycie chamskim jest jakieś fantastyczne, ale przynajmniej człowiek wie, na czym stoi. Gdy słyszę te wszystkie amerykańskie „to wspaniale!”, gdy każdy widok jest „amazing!”, gdy każdy film jest wart oglądnięcia, a każdy uczeń jest oceniany jako „interesująca indywidualność”, to mam poczucie, że robi się ze mnie jaja. Jeżeli ktoś robi pierwszą imprezę w historii tego akademika, to może jednak wypadałoby wpaść na chwilę, a nie mówić, że to wspaniale, że zapraszasz i się na to wyszczać? Bo jakoś nie wydaje nam się, żeby inne rozrywki były w zasięgu rzutu bumerangiem. Naprawdę nie będziemy nikomu wlewać wódki do gardła, można sobie pić zajebistą, amerykańsko-chińską colę, herbatę, wodę, cokolwiek. Nie będziemy nikogo odpytywać z Iwana Franko. Naprawdę, nie trzeba siedzieć z nami do 4. Ale tak może przyjść, pierdyknąć z pięć słów, popłocić ogólnie i lecieć spać, czy co tam innego?

Gdy kilka dni wcześniej Australijczycy wymyślili wyjście na piwo, to historia była podobna: poszli oni i my. Amerykanie okazali się mieć coś zajebiście ważnego do roboty.

Nie byliśmy w stanie stwierdzić, co, bo akurat nie było jeszcze zajęć, a w poniedziałek wypadało święto narodowe, czyli laba. Skończyło się na tym, że machnęliśmy po dwa w jedynym barze w mieście (Baoding ma 2,5 miliona ludu i jeden bar, szczęśliwie całkiem fajny, dają nawet spirytus luksusowy), miło sobie pogadaliśmy o Chinach, życiu, Australii i sytuacji geopolitycznej. Niemniej nie mamy wątpliwości, że jeżeli przybysze z USA będą mieli problem, to wówczas bez trudu znajdą nas lub naszego australijskiego kolegę, który okazał się być specem od komputerów, kabli i kompatybilności Apple. Bo, jak już wspomniano, każdy Amerykanin musi mieć sprzęt Apple, złożony w Foxconnie, niekompatybilny z niczym poza samym sobą. Zdarzało mi się myśleć, że jak Manson, Reznor, Jourgensen albo Eminem nawijają o Ameryce, to nieco przeginają, ale po ostatnich dwóch tygodniach rozumiem ich więcej niż doskonale (*We don't believe in credibility/Because we know that we're fucking incredible*).

Wcześniej mieliśmy rozdanie raczej wiekowych ludzi ze średnich stanów społecznych, którzy mieli gitara nastawienie do życia, pracy i całej reszty. Teraz przyszło przedstawienie się na młodych, dynamicznych i wykształconych, którzy w sumie są wybitnie mili i grzeczni, ale potem nie ma niczego, jak zapowiadał pewien pan z Białegostoku. Z jednej strony mamy nadzieję, że się mylimy i że uda się zajebiście zaprzyjaźnić, piec razem ciastka i kopać w piłę po wspólnej wyprawie na basen. Z drugiej tak zwane doświadczenie życiowe mówi coś innego.

Mieliśmy parę fajnych pomysłów, żeby ożywić sytuację na kampusie. Większość uczniowskich akademików nie ma łazienek, więc przez cały wieczór można spotkać studentów, którzy łażą z mydłami i szamponami do umywalni, no a potem z powrotem (życzę im powodzenia w zimie). Oglądanie ich tak człapiących w tę i nazad ma na nas zły wpływ, tzn. stajemy się przesadnie kreatywni w temacie podnoszenia atrakcyjności życia na terenie uczelni. Czyli we wprowadzeniu nieco chaosu. I tak:

- Chaos obyczajowy:

Rozważałem podejście do jakiejś Chinki z mokrymi włosami i rzucenie:

– *A wagina umyta? To dobrze, bo pan Wang ze stołówki mówił, że przyjdzie dzisiaj wieczorem i że masz być czysta i gotowa, a nie tak jak ostatnio.*

- Chaos geopolityczny:

– *Tam koło stołówki wisi mapa i na niej Tajwan jest osobnym krajem, jak żyć?*

- Chaos hydrograficzny:

Wszyscy zostawiają termosy przed umywalnią, więc kuśilo pochować je w krzakach. Zapewniłoby to naszym uczniom przynajmniej kilkanaście minut zabawy.

Nasz kontrakt zobowiązuje nas do dania jednego wykładu na semestr. W przyszłym tygodniu mamy zadeklarować, co też będziemy prawić. Nasze pomysły:

- *Adolf Hitler – romantyk czy pozytywista?*;
- *Japonia jako modelowy przykład rozwoju kraju azjatyckiego;*
- *Tureckie więzienia i filmy o gladiatorach – wątki zbieżne;*
- *Funkcja przydawki w poematach Byrona*

Mamy jednak pewne obawy, iż nie rozumieją, swołocze...

Tajne komplety

[26.09.2014]

Spotkania z Amerykanami, którzy pracują tu już drugi rok, owocują niezłymi opowieściami. Mają one (i spotkania, i opowieści) pewne walory rozrywkowe, jednak tak naprawdę dają też dość smutny obraz systemu edukacyjnego w kraju chińskiego snu.

Jeden z naszych kolegów zwie się Ross. Ilekroć ma nową grupę, to spędza niezły kawałek pierwszej lekcji na tłumaczeniu swoim podopiecznym, że to nie jest dziewczęce imię i że jego Ross to nie to samo, co Rose z *Titanica*.

Poskarżyłem się na limit nieobecności: że 5 na 17 to naprawdę przesada, że przecież to 30% prawie jest. Okazało się, że w poprzednim sezonie mieli zawodników, których zobaczyli dopiero na egzaminie. Ponieważ jedna obecność przy 16 absencjach to średnio szalowy wynik, to nie pozwalali im zdawać. Zaproszono ich na dywanik do dyrektorki. Dywanik długi, bardziej jak perski niż chiński. Konkluzja jedyna możliwa: dopuścić trzeba, no co wy, nie wydurniajcie się, no dajcie im zdawać!

Wydawałoby się, że losów uczniów to nie zmieniło, bo przyszli, dostali pytania, napisali, odpowiedzieli i zdobyli okrągłe jak księżyc w pełni zero, więc notę otrzymali adekwatną do swej oszałamiającej wiedzy. Szczęśliwie, oceny wystawiane przez nas mogą być weryfikowane przez dyrekcję, więc krzywda się tam nikomu nie stała. A kwiatuszek jest taki: jak nie dopuścisz za frekwencję, to (przynajmniej oficjalnie) nie mogą ich puścić. Ale jak oblejesz, to nie ma sprawy, twoją ocenę z radością pani dyrektor zmieni na pozytywną, a ty będziesz mógł przez kolejny semestr nie oglądać wojownika o lepsze jutro, za to podczas kolejnej sesji odtworzyć tę samą procedurę.

Okazało się, że nasz uniwersytet jest dość mądrze zarządzany. Część grup jest „normalna”, musieli machnąć podobno około 500 (z 750) punktów w Gaokao, żeby się tu dostać. Oprócz tego jednak prowadzimy tajne komplety dla nieco mniej zdolnych, takich co dostali około 200 punktów na, powtórzmy, 750 – taka trochę sinoistyczna amnestia giertychowska w skali egzaminów wstępnych. Uczniowie z tych grup muszą płacić za uczestnictwo w zajęciach, a na koniec studiów otrzymują tylko jakiś umiarkowanie prestiżowy certyfikat, iż pobierali nauki, oceny żadnej tam nie ma (ja się mniej więcej domyślam, jaka by mogła być). Inni dostają normalny papier, który jakąś tam siłę przebicia ma – np. można sobie w nim zrobić lola i go spalić. Dzięki tej wiedzy zrozumieliśmy nieco lepiej fenomen niektórych uczniów i grup.

Trochę trudniej przychodzi nam zrozumienie tego, że na wymianę wysyłamy głównie uczniów z tych nieco mniej powalających grup. Mają obiecanie, że pojedą do Irlandii na rok lub dwa. No cóż, rodziców pewnie stać, skoro im kupili uczelnię, to i Irlandię mogą. Problem, że zanim wyjadą, muszą zdać egzamin IELTS na 6, co jest jakieś kilka kilometrów poza ich zasięgiem. Wiemy już jednak, że i te upragnione 6 jakoś dostają, chociaż są tak raczej bliżej 2-3.

No i kto śmie powiedzieć, że mariaż edukacji z pieniędzmi jest zły? Tu wszyscy są zadowoleni:

- uczniowie – bo mają status studenta;
- rodzice – bo ich dziecię pobiera nauki;
- uniwersytet – bo płacą;
- my – bo mamy robotę (ergo wypłatę);
- uniwersytet w (G)Irlandii – bo im też płacą (i nie jest to ten najlepszy w Dublinie, a płacą nie w RMB).

Jeszcze dalej: poziom dna ulejemy, więc sumienie czyste, a dyrektorka ich przepuści w imię jakichś tam swoich racji. Potem jakaś lokalna edycja IELTS da im to 6, oni pojedą do Irlandii, tam się pobawią i założą sobie konta na Fejsie, dostaną papier, że byli tak dobrzy, że wytypowano ich do pobierania nauk poza granicami ChRL, czym na pewno wprawia w zachwyt potencjalnych pracodawców. Istnieją pewne obawy co do jakości ich pracy, ale ja akurat nie spodziewam się zbyt wielu pytań na ten temat. A tak dla bezpieczeństwa i ogólnie rozumianego zdrowia planuję być wtedy bardzo, bardzo daleko od kraju chińskiego snu.

This is Halloween!

[31.10.2014]

Bądź „Holy Wins”, jak też celebrytą niektóre polskie szkoły. Najpierw w temat wpisali się nasi koledzy z USA: zorganizowali imprezę z okazji Halloween 24 października.

Przypominają się *Rozmowy kontrolowane*:

- *Gdyby towarzysz generał zechciał dać się zaprosić na tradycyjną wigilię.*
- *Bardzo chętnie. Kiedy urządzacie?*

Przebrali się w różne atrakcyjne stroje. Pikachu, mumia, banan. Zapewne z racji ujrzenia tej głupoty, naszym uczniom się bardzo poprawiło i niesamowicie wiele się nauczyli. W końcu jednak pracujemy z ludźmi w wieku 19-21 lat, więc jasne jest, że trzeba co jakiś czas pokazać im obcokrajowca w stroju banana, bo inaczej cała nauka pójdzie w las. Żałujemy tylko, że nas i kolegów z Australii wyłączono z zabawy, na pewno nie ma to związku z tym, że prezentowaliśmy średnio pozytywne nastawienie do tańczenia we wrześniu.

Udało nam się też odkryć, że przygotowywanie lekcji czy pisanie specjalnych ćwiczeń nie jest jakoś przesadnie ważne, bo jedna z naszych współpracowniczek spędza lekcje, zapoznając uczniów ze zdobyczami amerykańskiego przemysłu filmowego. A konkretniej z *Lilo i Stitch*. Film jest naprawdę fajny, mam w pamięci jego seans, który to związany był ze spożywaniem dużej ilości wina i ustaleniem podświadomego przekazu związanego z relacją tytułowych bohaterów, jak również freudowską analizą szczegółów twarzy Stitcha, ale coś mi mówi, że u nich to tak nie wyglądało.

Prawdziwą bombę zdetonowano podczas zebrania. Tak na marginesie: zebrania miały być co dwa tygodnie, ale nie są, bo kierowniczce nie chce się najbardziej ze wszystkich. Mieliśmy omówić kwestie egzaminów końcowych i to też zrobiliśmy. Zasugerowano nam, żeby egzaminy były proste. Wiedzieliśmy, że przesadnie poszaleć nie możemy, że to wszystko raczej w okolicach A2 powinno być, ale i tak okazało się, że mamy różne definicje słowa „proste”. Sugerowane ćwiczenia:

- Powiedzieć trzy słowa (przykład: *three, pen, pencil*), uczeń ma zakreślić, które z tych słów usłyszał. Podobno w zeszłym roku wiele osób nie dało sobie rady z tym ćwiczeniem, przeprowadzonym właśnie na ww. słowach.
- Przedstawić grupie trzy teksty z pytaniami i zasugerować, żeby nauczyli się ich dokładnie, bo jeden z nich będzie na egzaminie.
- Nie należy być skąpym w temacie odtwarzania tekstów. Właściwie to można zrobić słuchowisko pięć razy z rzędu.

Odradzono nam jednak przekazywanie uczniom całych egzaminów, jak również uczenia ich wszystkich odpowiedzi na pamięć. W zeszłym roku był taki problem, że niektórzy skończyli pisać, zanim włączono nagrania.

Pierdel, serdel, burdel

[25.11.2014]

Przeważającą większość naszego czasu poświęcamy naszym uczniom i sprawom z nimi związanym. Tam jest czasem słońce, czasem deszcz. Co jakiś czas (częściej niż byśmy chcieli) spotykamy się ze współpracownikami i przełożonymi. Tam rozrywek dostarcza nam głównie nasz ulubiony współpracownik, czyli Gary. Tak, to ten sam, na którego w pierwszy dzień naszego pobytu czekaliśmy na lotnisku 3 godziny.

Chciałem napisać, że ostatnio ma świetną passę, ale zaczynamy coraz bardziej obawiać się, że okaże się ona permanentna i trudno będzie to nawet nazywać passą, a raczej stanem normalnym. Zdobyć ostatnich dni:

- Pewnego dnia nasza koleżanka Ciara otworzyła drzwi swego mieszkania i oczom jej ukazało się stado uczniów koczujących na schodach z telefonami. Miała niezabezpieczone Wi-Fi, więc studenci przychodzili pod jej drzwi i korzystali. Pognęła do Gary'ego, żeby jej założył hasło (dla ułatwienia życia chiński router ma oprogramowanie tylko w jedynym słusznym języku). Gary przyszedł, zabrał router i zniknął na kilka dni. Gdy Ciara poszła zapytać, kiedy jej oddadzą internet, Gary powiedział, że internet to obecnie nie jego departament. Szczęśliwie, pracuje z nami Sheldon, który się na tym wszystkim zna, więc jej to wszystko zrobił, tyle tylko, że 200 RMB na nowy router wydała.
- Gary obraził się na mnie, bo byłem łaskaw go opierdolić mailowo, że od dwóch miesięcy załatwia nam obiecane laptopy i końca tego nie widać. W sumie miałem pecha z timingiem, bo dwa dni później laptopy się pojawiły, niemniej wierzymy, że częściowo dzięki moim zdolnościom perswazyjnym. Podpisaliśmy protokoły odbioru i każdy wziął nowąkę Lenovo, by mieć z czego korzystać w klasach. Gary zapewnił nas, że laptopy wystartują po chińsku, ale da się bez problemu zmienić na angielski. Wcześniej wprowadził tłumaczył, że czekamy tak długo, bo język jest właśnie zmieniany na angielski. Parę godzin później poszedłem zastukać do Sheldona, że nie bardzo mi bangła. Ten już siedział i dłużył. Okazało się, że jakiś rok temu Microsoft wprowadził blokadę na Windowsa 8 i 8.1 – jeżeli chcesz mieć chiński, to nie możesz mieć angielskiego i amen. Stanęliśmy przed kilkoma opcjami:
 1. Oddać laptopy Gary'emu, a tym samym przedłużyć całą sprawę o kilka tygodni.
 2. Nauczyć się chińskiego komputerowego.
 3. Korzystać dalej ze swojego sprzętu.
 4. Poinstalować sobie samemu inne systemy.

Problem jest taki, że legalnie zrobić się tego nie da – jak kupiłeś z 8.1, to masz siedzieć na 8.1. Dałoby się doinstalować Linuxa jako drugi system. Rozważaliśmy to rozwiązanie, ale gdy Matthew spytał nas, czy Linux to produkt Microsoft, to uznaliśmy, że jednak trzeba je zrobić na Win7. W końcu Sheldon złamał jakieś zabezpieczenia, podmienił pliki na partycji ratunkowej (tym samym już jej nie

mamy) i udało mu się postawić Windowsa 7. Zajęło mu to trzy dni, więc jasne jest, że nasz dział IT nie zrobiłby tego do końca świata. Gary do dzisiaj nie odpisał mi na maila, czy na pewno może to zrobić i czy nie będzie problemów, gdy oddamy laptopy z innym systemem niż być powinny. Napisał tylko, że chyba nie będzie dymu, ale w sumie to nie wie. Przez kolejne dni nie napisał już nic. Zapewne w lipcu przeżyje rozczarowanie, że żaden z podarowanych nam komputerów nie ma gwarancji. I oby nic się do tego czasu nie zepsuło.

- Kolejnego dnia starcie z Garym miała nasza koleżanka Irasiad. Przez pięć dni nie działał jej internet, codziennie biegała do Gary'ego po dwa razy, że trochę się jej kiepsko tak żyje. W końcu go zjechała, on zjechał ją (bo to już nie jego departament, ale niestety, nie wie czyj jest to on teraz) i przyniósł nowy router. Nowy router okazał się tym, który zabrał Ciarze dwa tygodnie wcześniej.
- Sytuacja na linii Gary-Irasiad nie poprawiła się, gdy ta zachorowała. 19 listopada zadzwoniła do niego w okolicach 23, że obawia się, że musi iść do szpitala. Gary powiedział, żeby sobie poszukała jakiegoś studenta lub studentki, żeby poszedł z nią. Jest tylko taki problem, że nasi uczniowie mają zakaz opuszczania kampusu po 23. W końcu więc pojechał z nią, a ona tam mogła przejść procedurę dobrze znaną wszystkim, którzy zetknęli się z chińską służbą zdrowia (czyli kropłówka i ludzie palący w szpitalnej poczekalni).
- Tu mamy do czynienia z pewną wielowątkowością: we wtorek 18 listopada mieliśmy dostać wypłatę, jakoś tak w kontrakcie jest. W sprawie tej zgłosił się Matthew, informując, że ogólnie chciałby jakieś pieniądze, bo lubi widzieć taką zależność ze swoją pracą. We wtorek dowiedział się, że będą lada chwila. W czwartek zaś dowiedział się, że gdyby nie Irasiad, której zachciało się rozchorować, to pieniądze już dawno byłyby, ale zamiast iść do banku po nasze wypłaty, biedny Gary musi jeździć po nocach i wozić chore nauczycielki do szpitali.
- Jak już o pieniądzach: właśnie mijają dwa tygodnie, odkąd pokryłem koszty naprawy pralki. Chodzi o zwrot tych pieniędzy, który to miał nastąpić 18 listopada. Mamy dzisiaj 25, dowiedziałem się, że będzie w pierwszym tygodniu grudnia. Przy tym legendarne 48 godzin Tomasza Badyńskiego to termin wcale rozsądny.
- A jak już o godzinach: normalnie chińscy nauczyciele uczą 14 lekcji tygodniowo. Nasi opiekunowie mają jednak tych godzin 10. Pozostałe cztery właśnie na to, żeby zajmować się naszymi wypłatami, pralkami, routerami, szpitalami. Nikt raczej nie przegina, w ciągu trzech miesięcy pobytu tutaj trudno powiedzieć, że zajęliśmy im jakieś nieziemskie ilości czasu, może raz na 3 tygodnie każdy wysłał maila z jakimś pytaniem, na które da się odpowiedzieć w minutę. Tym bardziej cieszy, że ilekroć po coś się zgłaszamy, wówczas zawsze możemy odczuć, jak wielka łaska jest nam robiona.

- Problemy komputerowe to nie tylko Gary. Mamy w końcu, wspomniany już niegdyś, dział IT, który dostarcza nam rozrywek niemal każdego dnia. Delikatnie mówiąc, jest to dział IT made in China, chociaż nawet na chińskie standardy bylejakości i braku zdolności do zrobienia czegokolwiek są wysoko.
- Niedawno dowiedziałem się, że projektor nie może wyświetlać obrazu z Windowsa 8. Zapewniłem, że mam Windowsa 7. Nie chcieli uwierzyć.

Próbujemy ustalić, kto i w imię czego wpadł na pomysł, że na koniec każdego dnia odpinane są wszystkie kable we wszystkich salach. WSZYSTKIE! Także głośniki, rzutniki, nawet bywa, że klawiatury. Ponieważ dostęp do większości gniazdek i portów jest na zamek, więc często musimy dzwonić po dział IT, oni przychodzą (nie zawsze od razu), podpinają (chyba że nie wiedzą jak – w końcu mówimy o podpięciu głośników, czegoż to ja wymagam od działu IT?) i nie działa. Jeszcze na początku myślałem sobie, że muszą się wdrożyć, więc czekając na nich, robiłem jakieś zastępcze rzeczy z uczniami i tylko pokazywałem, gdzie mam w laptopie wejście HDMI (bo im się z USB myliło – i ja się nie wydurniam), ale ostatnio widzę, że wdrożenie nie następuje. W efekcie postanowiliśmy to wszyscy olewać. Dzięki temu jedną lekcję zacząłem dziesięć minut później, drugą 25. Uczniowie się nie popłakali, a i ja na brak kontaktu z żywym materiałem uczniowskim nie narzekam.

Wspominałem kiedyś nieco na marginesie o wirusach – że po każdej lekcji w jednej z dwóch sal przynoszę do domu wirusy i żeby ktoś to posprzątał. Do tej pory naszej kierownicze sprawę zgłosiłem SZEŚĆ razy. Najpierw dowiedziałem się, że komputerów przeskanować się nie da, bo nie ma internetu, a kto to słyszał, żeby mieć antywirusa bez internetu? Ponieważ nie przekonali mnie tym, dalej się po chamsku wydzierałem. Ostatecznie sprawę rozwiązano tak, że dział IT zabronił mi korzystać z komputerów w salach, bo się awanturuję i jak się nie podoba, to masz bucu kredę, tablicę i sobie rób!

To jest nawet trochę śmieszne, mając salę z komputerem, rzutnikiem i wielkim ekranem, będę używał tablicy, kredy, może flashcardów nawet. Może się uda i mi jeszcze prąd zabiorą, wtedy to dosłownie poniosę kaganek oświaty moim orłom.

Zgłosiłem pewnego dnia (zaledwie trzy tygodnie temu), że jedna z moich klas przegina pałę, niczego nie robi, odpowiada po chińsku, nie przynoszą książek, odmawiają notowania, wiele osób gra na telefonach, no ogólnie atmosfera na lekcjach jest koszmarna z mego punktu widzenia i nie sądzę, że się czegokolwiek nauczą. Mego maila zignorowano, ale dzięki zawodom sportowym spotkałem przełożoną, adresatkę mej skargi. Miała dla mnie kilka radosnych słów:

– Nie przejmuj się, że grają na telefonach i przeszkadzają. Na moich lekcjach też to robią, to nie jest tak, że tylko przy tobie się tak zachowują. Powiem ci co ja zawsze robię: udaję, że tego nie widzę, udaję, że nie słyszę, że gadają i prowadzę lekcję, tak jakby uważali.

Do tej rozmowy myślałem, że Bollywood jest najwyższą możliwą formą eskapizmu. Jak mało o życiu wiedziałem...

Powtórę: to jest rada od mojej przełożonej. Rada dotycząca uczenia dwudziestoletnich ludzi. Na uniwersytecie.

Poprzedni tydzień wyznacza też pewien przełom w mojej karierze nauczycielskiej: pierwszy raz wysłałem ucznia z lekcji do domu. Trzy razy zwróciłem mu uwagę, że ma przestać gadać. W końcu mu podziękowałem. Ucieszył się, bo przecież w świecie tego debila, to największa nagroda. Inni chyba uznali, że to trochę nieuczciwe – oni nie przeszkadzali, a kolega tak, czemu jego w nagrodę wysłałem do domu, a oni muszą siedzieć i się męczyć?

Telefon możesz dostać!

[25.11.2014]

Po ponad dwóch miesiącach współpracy z naszymi uczniami (nazwanie ich studentami byłoby dość solidnym nadużyciem) wiemy już w miarę, czego się spodziewać (niczego dobrego) i co też ich interesuje (niewiele). Staramy się robić lekcje, które, chociaż są oparte o dane nam podręczniki, to jednak odbiegają nieco od losu, który autorzy zgotowali uczniom.

Największy ubaw przeżyłem podczas lekcji o cechach ludzkich. Poprzerabialiśmy sobie przymiotniki, a następnie rozdałem im różnych znanych ludzi na karteczkach. Pytanie:

– *Jaką XXX jest osobą? Czy XXX byłby dobrym przyjacielem?*

Robiłem to z moją ulubioną grupą, więc trochę poszalałem, dałem im Mandelę, Gandhiego, Xi Jinpinga, Obamę, Biebera, a także Adolfa Hitlera i Osamę bin Ladena. Już trochę się zdziwiłem i uśmiełem, gdy opowiedziano mi, że Xi Jinping byłby kiepskim przyjacielem, bo jest markotny, leniwy i nudny. To były jednak kwiatuszki, owoce czekały dopiero później. Okazało się, że Adolf Hitler byłby świetnym kumplem – nie bał się prowadzić wojny z wieloma krajami jednocześnie, był odważny i bardzo dobry dla swoich przyjaciół. Osama bin Laden też nie byłby taki zły, bo odważył się rzucić wyzwanie całemu światu i nie bał się zginąć za swoje przekonania. Musiałem się trzymać biurka, żeby nie upaść na głowę i nie wyć ze śmiechu. Tak, tak, Adolf by z miejsca został waszym kolegą! Super byście się zaprzyjaźnili.

Inna lekcja, inna grupa. Temat dotyczący przyrody i zanieczyszczenia skupia się w podręczniku na problemie budowania domów na plażach. Poważnie. W najbardziej zasyfiałym kraju, w którym zazwyczaj plasuje się 7 z 10 najbrudniejszych miast świata, postanowiono omówić problem niszczenia brzegów morskich przez budowanie tam domów. W domyśle jeszcze, że przecież nie w Chinach, bo wiadomo, że w USA. Nad morze trochę stąd jest, obstawiam, że większość moich uczniów w życiu nie widziała domku na plaży, więc troszkę zmieniłem zawartość tej lekcji. Co też moi uczniowie znają bardzo dobrze? To przecież jasne, doskonale znają zanieczyszczenie powietrza, nierzadko największe w całym kraju. Wziąłem trochę wykresów z ostatniego tygodnia, dołożyłem zdjęcia z naszego kampusu i proszę, lekcja jak marzenie. Jednym z jej etapów było ocenienie różnych zagrożeń – wojny nuklearnej, wycinki lasów równikowych, efektu cieplarnianego, zanieczyszczenia oceanów, a także przeludnienia i globalizacji. Ogólnie wszystko złe, tylko kwestia dokonania gradacji tego zła i pomyślenia nad uzasadnieniem tejże.

Dla większości wygrała wojna nuklearna, zaś za najmniejsze problemy ludzkości uznano przeludnienie i globalizację. O ile miejsce pierwsze nie dziwi, spytałem, czy nie widzą zagrożeń związanych z pozostałymi tematami. Tym samym udało mi się dowiedzieć, jaka jest oficjalna linia:

- Przeludnienie jest w porządku, bo zwiększa konkurencyjność gospodarki i pozwala na wytwarzanie większej liczby produktów w niższych cenach. To dzięki największej populacji świata chińska gospodarka może być tak wydolna i tak dobrze funkcjonować.
- Globalizacja umożliwia tworzenie nowych rynków zbytu i nie wiąże się z nią żadne efekty uboczne. Pozwala na poprawę warunków bytowych ludzi w różnych częściach świata.

Ja tu jestem od nauki języka, nie od nauczania myślenia przeciwko wszystkiemu, co im tu kładą do głów. Podziękowałem za głosy w dyskusji, coś tam poprawiłem, co innego pochwaliłem i tyle.

Przypomniała mi się chwilę potem historia poety z Foxconnu, 24-latka, który zabił się 30 września. Chłop napisał trochę wierszy, aż powodowany radością związaną z życiem w tej rzeczywistości skoczył z okna. Wszystko to w Shenzhen, symbolu chińskiego rozwoju, niesamowitych perspektyw i szczęścia. Po śmierci nagle stwierdzono, że no cholera, to nie są złe wiersze, ba, nawet je opublikowali – oczywiście nie w Chinach, tylko w „The London Review of Books”. Tylko jak mam o tym opowiedzieć grupie rodaków tego pana, młodszych ledwie o kilka lat? Pomyśleliby, że to bajki, bo urodzili się w nieco bardziej zamożnych rodzinach i chodzą sobie na płatny uniwersytet, a być może w życiu nie skalają rąk prawdziwą pracą. Gdybym jednak postanowił zaryzykować swą karierę i o tym opowiedział, to wiem, co usłyszałbym z sali:

– *My robimy wszystko, co tylko możemy, żeby tym biedakom z Foxconnu pomóc. Kupujemy najnowsze iPhone'y, iPady i co tylko możemy. Dzięki nam mają pracę, ale w każdym społeczeństwie są jednostki chore psychiczne, które tego nie doceniają.*

Jeżeli będzie kiedyś jakiś konkurs na symbol to XXI wieku, to mam nadzieję, że wygra iPhone – kombinacja niesamowitego rozwoju technologicznego, ludzkiej myśli i rozwoju – z popychającymi do samobójstwa warunkami pracy.

[9.12.2014]

Swego czasu Jan Himilsbach miał propozycję zagrania w zachodnim filmie. Był jednak pewien warunek angażu: aktor musiał opanować język angielski. Ponieważ początek zdjęć był jeszcze sprawą bardzo odległą, nauczanie się języka w przynajmniej podstawowym zakresie było całkiem realne. Po długim namyśle Jasiu jednakże odmówił. Kiedy znajomi pytali go o powody tak niecodziennej decyzji (w końcu rola w filmie na Zachodzie to nie było za komuny w kij dmuchał), aktor wypalił szczerze:

– *Pomyślcie sami – ja się nauczę angielskiego, a oni jeszcze gotowi odwołać produkcję filmu. I co wtedy? Zostanę jak głupi z tym angielskim...*

Podobną serię przemyśleń do Himilsbacha prezentuje wielu z naszych podopiecznych. Wprawdzie angaż do filmów im nie grozi, ale jednak... Gdyby tylko tak się zdarzyło, że oni nauczyliby się tego języka, a potem by się nie przydał, to przecież o wiele lepiej nie mieć o nim zielonego pojęcia.

Natomiast moje serie przemyśleń o sensowności pracy na uniwersytecie są bardzo uzależnione od czasoprzestrzeni. W piątkowe wieczory w sali 501 zazwyczaj jestem najszczęśliwszą osobą na świecie. Od 16 do 17:50 uczą grupę osiemnastoosobową, która ma wkrótce zdawać egzamin i wybiera się na studia zagraniczne. Bywają potknięcia, ale i tak jest to jedna z najwdzięczniejszych sytuacji zawodowych, w jakich w życiu byłem. Jednak jeżeli zapytacie mnie w sali 203 o 17:50 w poniedziałek o życie, wszechświat, całą resztę i moje przemyślenia nt. chińskich studentów...

Moja ostatnia grupa w poniedziałki to spady. Ludzie, którzy chcieli jechać na studia zagraniczne, ale im się nie udało. Ku memu zaskoczeniu, niektórym z powodów formalnych (np. czekają na wydanie paszportów) i finansowych, a niestety większości z powodu wrodzonej i nabytej mądrości. Przez jakiś czas dręczył nas wszystkich (mam tu na myśli nauczycieli z importu) temat, jak oni sobie poradzą na zachodnim uniwersytecie. Bo to ichnie upragnione 6 z IELTS to dopiero wstęp, poważne uniwersytety wymagają siódemki, co i tak mogłoby nie wystarczyć. Prawda okazała się lepsza niż marzenia.

Podczas wymiany i studiów za granicą tworzone są specjalne grupy dla takich orłów jak nasi, złożone jedynie ze studentów z Chin, czasem z jakimiś przypadkami z innych krajów azjatyckich. Multikulturalizm na całego, gender uszanowanko, mądrość taka wow! Czyli moi uczniowie zapłacą fortunę za to, żeby studiować nadal w takich warunkach, w jakich studiują tutaj. Tyle, że swoje dupy posadzą na sali w Irlandii, Szkocji, Australii, czy gdzie tam uniwersytet będzie miał rektora, który uzna, że pieniądze są ważniejsze niż jakikolwiek standard. Długo nie będą musieli szukać. Pograją na telefonach jakiś rok, potem wrócą do cyrku zwanego Chinami i będą opowiadali znajomym, jak to zaznali życia, nauk i mają nawet papier na to, że są światowcami. Trudno jednak było nam uwierzyć, że jakikolwiek uniwersytet poza Chinami mógłby mieć programy dopasowane do ich potrzeb. *The Chinese Way*, odcinek milionowy: system edukacyjny nie jest kompatybilny

z żadnym innym w cywilizowanym świecie, bo kompatybilny być nie może. Ciekawe tylko, czy im dopasowują te kursy do tego, czego wcześniej nakładzono im do głów tutaj, bo jak nie, to albo się załamia, odkrywając np. status Tajwanu, albo uznają, że tam wszyscy przeciwko Chinom i tylko kłamstwa wykładają!

Jeżeli zaś chodzi o lekcje w poniedziałkowej grupie... Gdyby wydano mi doniczki z kaktusami i nakazano ich uczyć, to miałoby więcej sensu niż robienie z nimi. W oparciu o tę grupę jestem w stanie sformułować każdą możliwą rasistowską teorię. Dzięki nim rozważam złożenie CV do jakiejkolwiek korporacji, choćby darcia pierza, byle by mi tylko gwarantowała, że już ich więcej nie zobaczę.

Orzeł tygodnia, tym razem z najlepszej grupy, tematem są problemy planety. Jeden z przodowników oświaty mówi, że ogólnie ma gdzieś to, że zwierzęta wymierają, bo przecież człowiek jest w stanie przetrwać, jedząc rośliny. Zemdlałem. Wyginięcie życia na planecie jest w sumie OK, bo przecież człowiek zawsze się wyżywi. Urban, edycja chińska na skalę globalną.

W najlepszej grupie konfiskacie uległy prace domowe pisane w trakcie przeznaczonym na coś innego, tzn. na moje wygłupy. Aż sobie przeczytałem, jakaś analiza wykresu zanieczyszczenia powietrza. Niestety urywa się na 1999 roku, za to konkluzją, że powietrze w krajach zachodnich jest o wiele bardziej zanieczyszczone niż w krajach wschodnich. Biorę drugą pracę, niby domową. Analiza tego samego grafu, więc można zrozumieć pewne podobieństwa, ale że zdania są słowo w słowo te same, konkluzje też, to już mało prawdopodobne. Poprawiłem parę typowych błędów – literówki, złe formy czasowników w czasie przeszłym, przymiotniki tam, gdzie powinny być przysłówki. Nie makabra, ale też nie cycuś. Wzywam obie Cesarzowe po zajęciach. W sumie nawet dziko wściekły nie byłem, ale postanowiłem poszaleć, więc jadę, że skandal, że brak szacunku, że czy moje lekcje mają służyć im do pisania zadań na inne, że ja was wszystkich zapierdołę, kurwa (głosem Bogusia Lindy), i takie tam, ale że akurat był piątek i 17:50, to ogólnie nie chciało mi się. Gdzieś tam pytam, czemu mają niemal dokładnie to samo. Wyjaśnia mi więc dziewczę, że to ich zadanie z writingu i że mają do napisania analizę wykresu.

– *Aha, i nie dostaniecie obie po galce, że oddajecie dokładnie to samo?*

– *Nie, nasza pani prowadząca kazała nam przepisać to wypracowanie...*

– *Czekaj, czekaj... Pani w ramach zadania kazała wam wszystkim przepisać to samo? Jaja sobie raczysz ze mnie robić?*

– *No więc to tak było, że zadała nam dwa wypracowania, ale powiedziała, że to pierwsze mamy wszyscy przepisać z książki, więc w sumie to go nie musimy pisać sami, ale musimy je oddać. Jednak to drugie to już naprawdę musimy napisać sami...*

– *Czy wy robicie te błędy, czy one są w książce?*

– *Że jak?*

– *Nieważne.*

Jestem tu już prawie dwa lata, ale jeszcze czasem bywam zdziwiony. Wiśnią na torcie jest jednak analizowany graf: ilustruje on emisje gazów w różnych krajach, z naciskiem na dwutlenek węgla. Ciągnie się dość szczegółowo od 1980 do 1999 roku,

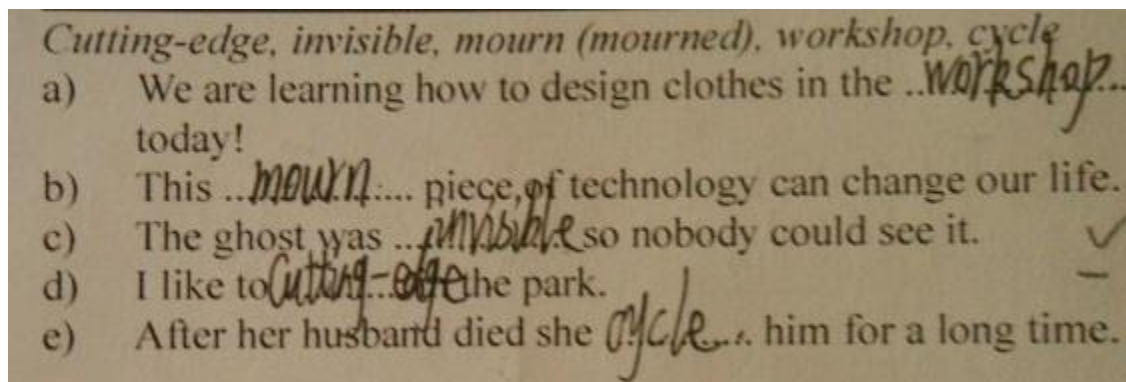
by nagle się urwać. Analiza w książce kończy się słowami, że emisje zawsze były wyższe w krajach zachodnich niż w Chinach. Kusiło mnie popytać, czy skoro mieszkamy w mieście nierzadko będącym na szczycie listy najbardziej zanieczyszczonych w Chinach – kraju, który ma zaszczyt posiadania większości najgorszych miast świata – to czy oni w to wierzą, że w takiej Szkocji jest gorzej? Czy skoro dane są wybitnie szczegółowe do 1999, a potem nie ma już żadnych, to czy nie wzbudza to ich pewnego zaniepokojenia i nie rodzi w nich poczucia tego, że być może ich oszukują? Ale nie zadałem żadnego z tych pytań, bo i po co? Przecież mi niczego nie powiedzą, a potem jeszcze się okaże, że straciłem twarz albo zrobiłem z nauczycielki Chinki kretynekę, czego mi robić nie wypada, więc ostatecznie życzyłem miłego weekendu i poszedłem w swoją stronę, a Cesarzowe w swoją.

Ostatni rozdział tej opowieści dopisał się dzień później: dowiedziałem się, że chińskie uniwersytety często mają „prawdziwy” internet, żeby mogli szukać wśród rzeczywistych danych z całego świata. W pewnym momencie jednym z problemów nauki chińskiej (cudowny oksymoron) okazało się to, że wszyscy przepisują dane w stylu z tego grafu do 1999 roku i dochodzą do jedynie słusznych wniosków.

Praca domowa (nie mylić z umysłową)

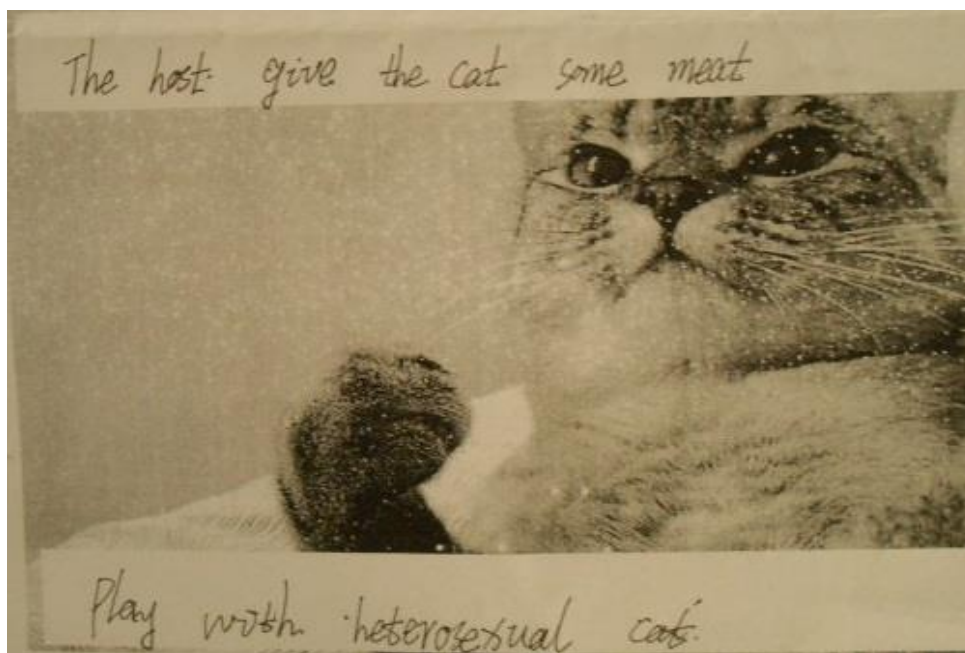
[21/12/2014]

Z cyklu humor z zeszytów szkolnych, osiągnięcia tygodnia, po pierwsze test:



*Mam wspaniałe wizje jak to pani jeździła panem po jego śmierci.
Lub na panu. Historia kina zna takie przypadki*

Po drugie, zadanie domowe. Wcześniejsza lekcja była o sukcesie, więc dostali obrazek z dzieckiem i z kotem, mieli napisać czym jest sukces dla dziecka, a czym dla kota.



Jeżeli dobrze nie widać: „Play with heterosexual cat”

Cieszy precyzją odpowiedzi. Gyby tego nie napisano, to pomyślałbym, że chce biedne kocię sprowadzić na ścieżki homoseksualne.

[24.12.2014]

Po wielkim sukcesie turnieju badmintonu, wymyślono turniej szachowy. Oczywiście chińskich szachów. Wiem o tej dyscyplinie raczej niewiele, grałem trzy razy w życiu, wiem jak plus minus wszystko się przemieszcza i jaki jest cel gry. Uznałem, że to raczej za mało, żeby się pakować na turniej i pozwoliłem sobie podziękować za zaproszenie. O dziwo, wcale niemało osób zgodziło się wziąć udział. Okazało się, że oni w ogóle nie mają pojęcia, jak się w to gra, ale przecież będą musieli ich nauczyć. Termin wyznaczono na piątkowy wieczór. W czwartkowe południe wszyscy otrzymali smsy o treści, że za 30 minut grają. Rozsądni odpisali, że nie, nie grają, bo np. są na zakupach albo mają umówiony lunch albo że nie planowali tego dnia siedzenia nad szachownicą. W efekcie poszli tylko Amerykanie, szybciotko wszystko przegrali (nie znając nawet zasad, bo jakoś znowu nie było czasu, żeby te wyłożyć) i na tym zakończyło się kolejne wspaniałe wydarzenie sportowe.

Średnio raz na miesiąc nasza administracja daje nam prezenty. Z racji Mid-Autumn Festival dostaliśmy pudła mooncake'ów. Super, tradycyjnie, chińsko, na miejscu, miało to sens. Po Złotym Tygodniu dostaliśmy szampony i odżywki. Fajnie, dobre, jakościowe, chociaż trochę dziwne, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w paszczę, więc dobrze, mamy szamponu na jakieś dwa miesiące, bo moje czasy noszenia długich włosów odeszły w przeszłość koło 2009. Za niezwykle udany uznany został turniej badmintonu. W nagrodę dostaliśmy... szampony i odżywki. Zastanawiamy się, czy aby nie odeszli od standardu RMB na rzecz płacenia szamponem.

Zbliża się czas egzaminów. Najbardziej zaskoczył naszą administrację, jeszcze niedawno prawili, że będziemy je organizować w pierwszych tygodniach stycznia. Okazało się, że jednak w ostatnim tygodniu grudnia. Dla mnie w sumie fajnie, tyle że wszyscy obiecaliśmy uczniom świąteczne niespodzianki. To będą, tylko obawiam się, że średnio się z nich ucieszą. Chociaż bardzo źle nie będzie. Początkowo mówiono, że każdy, kto będzie miał więcej niż pięć nieobecności, nie zostanie dopuszczony do egzaminu. Cieszyłem się, już w połowie listopada okazało się, że w niektórych grupach nie będę miał przesadnie dużo roboty. W połowie grudnia miewałem orłów, którzy na 12 zajęć mieli i po 9 nieobecności (rekord: 13 na 14). Oczywiście tak być nie może, więc okazało się, że obecności nie są podstawą, żeby ucznia nie dopuścić do egzaminu. Jest jeszcze dział „Aktywność na zajęciach”. Pytam:

– *Czy jeżeli uczeń był nieobecny jakieś dwa razy, ale poza tym był modelowym studentem, sam się zgłaszał, wszystko wiedział, nie robił chały, to czy mogę mu lub jej dać 100%?*

– *Nie, nie! Nikomu nie wolno dawać 100%! Właściwie nigdy nie dajemy 100%, czasem 95%, ale nie 100%*

– *Hm, no dobrze... To co w takim razie z takimi, co mają po kilka nieobecności, a nawet jeżeli już się zablakali na zajęcia, to ich obecność tam była czysto cielesna? A do tego przeszkadzali, włączali muzykę z telefonów, gadali sobie, spali, żarli, inne takie średnio naukowe nawyki?*

– *Takim uczniom należy dać 80–85%*

Nawet nie mieliśmy siły się wkurwić. Miałem na to siłę trochę wcześniej. Złapałem uczniów na poprawianiu listy obecności. W czasie przerwy zazwyczaj idę sobie zapalić, po wrzątek, do łazienki, jeżeli zajdzie potrzeba. Wracam i widzę, że są zmiany na liście. Potem to samo w innej grupie. Wygłosiłem mowę do narodu, znalazłem winnych, złożyłem raport. Kusiło mnie zadać pytanie retoryczne: czy da się coś z tym zrobić, czy może mam brać ze sobą wszystkie dokumenty, jak idę do kibla? Postanowiłem jednak nie poddawać tej odpowiedzi do wyboru, bo istniało ryzyko, że dowiem się, że tak, że właśnie tak mam robić. Powiedziano mi, że zostaną upomniani. Na pewno bardzo surowo, bo nie spytano mnie nawet któryś to.

Innego dnia przysłała do mnie znerwicowana Betty. Oficjalnie powinna chodzić na grupę poranną, ale przychodzi na wieczorną, bo chce siedzieć ze swoim chłopakiem. Poprosiła, zgodziłem się, tyle. No ale jasne, że nie, bo przecież jej chińska nauczycielka odkryła to, zadzwoniła do jej rodziców i zrobiła się chryja. Betty załamana, że jej każą chodzić nie z nim, żebym ratował. Polazłem więc do biura to wyjaśnić, że ja się zgodziłem, że ja wolę, żeby przychodziła później, bo grupa jest do dupy, a ona przynajmniej coś robi. Zgodzono się. Chciałbym jednak zrozumieć:

a) Po kiego wała dzwonią do rodziców dorosłej dziewczyny, że zmieniła GRUPĘ zajęć?

b) Dlaczego nie spytano mnie o całą sprawę?

c) Czemuż to urosło do rangi takiego dramatu, a stada baranów, którzy wszystko olewają i próbują fałszować listę obecności, są absolutnie bezkarne?

Czas egzaminów sprzyja też wzrostowi aktywności i zaangażowania naszych podopiecznych. Od mniej więcej początku grudnia zaczęli się pojawiać ludzie, których nigdy wcześniej na oczy nie widzieliśmy. A tu nagle latają za nami, pytają, co mogą zrobić, żeby lepiej wypaść na egzaminie, że może oni by jakieś ćwiczenia dodatkowe powypełniali. Iście wzruszające i tak samo sensowne.

Niektórych z naszych studentów może spotkać stypendium, pod warunkiem, że dostaną ponad 85 (najwyższe) lub 80% ze wszystkich przedmiotów. Zastanawia, czy można nie dostać aż tyle, ale mówią, że można. Przy czym jedna z mych najlepszych studentek potwierdziła: ludzkości nie jest znany przypadek, żeby ktoś został stąd wywalony za oszałamiające postępy w nauce. Za niepłacenie to tak, ale za naukę? Nie, takiej możliwości nie przewidziano. Pewnie jeżeli ktoś zapłodni córkę rektora albo pani Ming z administracji, to też ma taką szansę.

Udało nam się ustalić, że niektórzy uczniowie spadają z listy przyjaciół Amerykanów i nie przysługuje im dalsze prawo do poznawania nauk o Jezusie. A odkryliśmy to tak, że Betty powiedziała, że gdzieś tam w rozmowie wyszło, że współżyje

ze swoim chłopakiem, no a przecież nie mają ślubu, więc dramat. Obawiamy się, że jeżeli Amerykanie planują ewangelizować w ten sposób, to może się okazać, że powyżej drugiego roku nie znajdą nikogo kto nie żyje w odrażającym grzechu. Nie będzie to pierwszy przypadek w dziejach ludzkości, kiedy to fanatyzm religijny przegra z dupą i ptakiem. Kusi nas przejąć owieczki: wiecie, oni mają Jezusa i czystość przed ślubem. A u nas jest ruchanie na całego, słuchamy Black Sabbath i mamy wódkę. A jak się wspólnie zakręcimy, to może się znajdzie jakaś amfetamina.

Przyznam, że mimo upływu jakichś czterech miesięcy dalej nie do końca rozumiem system nieobecności na zajęciach. Bywa, że ucznia nie ma i wpisuję mu nieobecność, amen. Bywa też, że ucznia nie ma, a jego koledzy/koleżanki mówią, że np. chory, poprosił o zwolnienie, źle się czuje i że nie można pisać, że jest nieobecny. Zwalniano mi się z lekcji już z różnych powodów: egzamin na prawo jazdy, pociąg, potrzeba kupna biletu na pociąg, sranie, ból głowy, pogrzeb. Ogólnie podchodzę do tego ze zrozumieniem, a od jakiegoś czasu wiem, że i tak nie ma to przesadnego znaczenia. Skoro wszyscy zdają... Rekord padł, gdy do Ciary przyszła Caroline, uczennica, która to gwiazdą swej grupy nie jest. Pół mówiąc, pół na migi pokazała jej, że ma taki problem, że wpadła z kolegą i musi iść usunąć. Ciara prawie zemdląła. Spytała, czy ma pieniądze na zabieg, ta dziwnie popatrzyła, że proste. Ciekawe, czy nasza uniwersytecka klinika oferuje ten zabieg w ramach ubezpieczenia studenckiego.

Jakieś pięć dni później miałem lekcję w tej grupie. Mówią mi, że Caroline się spóźni, bo musi odebrać coś tam ze szpitala.

– *Plód w formalinie pewnie* – kusilo powiedzieć, ale wykazałem się zrozumieniem. Caroline przyszła spóźniona, za to ze stertą papierów pod pachą. Usiadła obok autora niedoszonego sukcesu i zaczęli je przeglądać. Myślałem, że to będzie ten dzień, kiedy nie dam rady i wybuchnę dzikim śmiechem, dostanę spazmów i zacznę się tarzać po podłodze, a potem mnie odwiozą.

Z rozmów z chińskim nauczycielem: po pierwsze, zazdrości nam kuchni, bo jej okna wychodzą na żeńskie dormitorium pierwszego roku. Tak, siedzę z binoklarami i oglądam te dzikie akty seksualne, jakim oddają się studentki 1 roku w ośmioosobowych pokojach. Po drugie, nie mogłem zrozumieć, że wszyscy obcokrajowcy tak bardzo narzekają na poziom studentów

– *Przecież gdyby oni cokolwiek potrafili, gdyby się uczyli, to byśmy nie mieli pracy. A tak można robić w kółko to samo, oni niczego się nie są w stanie nauczyć, za to płacą.*

Cóż, jest w tym pewna prawda. Coś mi jednak mówi, że Stanisława Bozowska nie jest idolką naszego kolegi. Opowiedział nam też, że młodzi Chińczycy mają niezły dramat: w ogólniaku tyrają jak dzicy, czasu na nic nie mają. Na studiach wielu z nich nie może się przełamać do kontaktów z płcią przeciwną albo im nie wychodzi. Potem się kończy ta przygoda i muszą iść do pracy. Zaraz mają 25 lat, więc presja ze strony rodziny, żeby się pobierać. Jak nie masz chaty, dobrej pracy i kapitału, to szanse masz średnie. Jak weźmiesz chłopca bez pracy i chaty, to rodzina się załamie. Kto ma głowę na karku,

ten próbuje chociaż tyle wynieść z uniwersytetu, że ma dziewczynę/chłopaka na poważnie. Odbiliśmy ostatnio panel dyskusyjny z innymi nauczycielami przy piwie. Ktoś czytał jakiś raport, że w Australii też edukacja ryje ryjem po ziemi. Ogólnie przyznaliśmy, że w Polsce cudów nie ma, a i w USA bywało lepiej. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy to możliwe, że ktoś siedzi w jakimś Rzeszowie, Arkansas lub Queensland, tyra w jakiejś Wyższej Szkole Profesjonalnej Bankowości i Biznesu i ma tam do czynienia z uczniami takiej jakości jak nasi. Jeszcze naście lat temu wydawało się, że edukacja i wykształcenie to coś, na czym nie da się oszukać – albo wiesz, albo nie. Jak bardzo się myliliśmy...

[23.01.2015]

Co Chińczycy lubią najbardziej? Kaczkę po pekińsku? Ostre jedzenie? Wrzątek? Pieniądże? Nie, Chińczycy najbardziej lubią burdel (w sensie bałaganu) i dezorganizację posuniętą do poziomu uniemożliwiającego działanie. Pierwszą linią frontu walki ze zdrowym rozsądkiem, organizacją czasu pracy, wolnego i planowaniem stanowi rząd centralny. W tym roku daty wolnego z okazji Nowego Roku ogłoszono już w grudniu, w drugiej połowie. Wymyślono, że pierwszy będzie ustawowo wolny, drugi i trzeci jako bonus, za to czwartego, w niedzielę, będzie to trzeba odpracować. Rozmawialiśmy o tym w trakcie zebrania i powiedziano, że prawdopodobnie podążymy za wytycznymi ogólnonarodowymi. Spowodowało to zadanie licznych pytań, w stylu: czy 3 będziemy odrabiać 1, czy może 2? Nikt nie wiedział, więc 24 grudnia okazało się, że będziemy mieli wolne tylko 1 stycznia. W sumie nawet lepiej, zwłaszcza przy tak wielu możliwościach spędzania czasu wolnego.

W życiu uniwersyteckim nadchodzi dzień egzaminów. W cywilizowanych krajach zazwyczaj wiadomo, kiedy się tego spodziewać, w moim wypadku zazwyczaj ogłaszano termin lub dwa terminy, podawano salę, a wszystko to robiono na parę tygodni przed sesją. Oczywiście nie tu.

Chociaż były miłe złego początku. Na etapie wczesnego grudnia dostaliśmy rozpisę terminów dla różnych grup – jedne mieliśmy egzaminować w piętnastym, drugie w szesnastym, a inne w siedemnastym tygodniu. Pojawił się problem, jak liczyć tygodnie – czy Złoty Tydzień był tygodniem, czy nie? W październiku nie był liczony, w styczniu już tak. Miałem kolejną rozmowę na temat terminów gdzieś koło 20 grudnia, dwójka uczniów chciała zdawać nieco wcześniej, bo – oficjalnie – będą mieli pełno egzaminów w sesji. Mniej oficjalnie, bo chcieli jechać do domu jak najwcześniej się da – do Anhui jest kawałek, a bilety na pociąg bywają trudniejsze do zdobycia niż wejściówki na koncerty grup rockowych. Kategorycznie zabroniono mi egzaminować ich wcześniej, bo przestaną chodzić na zajęcia. Tango rozpocząłem 25 grudnia, docelowo skończyć je miałem 8 stycznia. Dość poważnie się więc zdziwiłem, gdy 30 grudnia dostałem maila informującego mnie, że mam skończyć do 2 stycznia. Odpisuję, że przecież dwa tygodnie wcześniej mówiliśmy o całkiem innych datach, że to niemożliwe, że mam nadal kilkadziesiąt osób z różnych grup. Musisz skończyć, mam nadzieję, że to jasne. Musisz to ty się iść pierdolić. I nie, nie jest to jasne. Stawianie sprawy w ten sposób jest zwyczajnym chamstwem i świadczy o krańcowej nieudolności waszego systemu zarządzania. Chyba że macie na zapleczu chiński wehikuł czasu, cofniesz mnie w okolice 18 grudnia i anulujesz swoją decyzję o zakazie egzaminowania przed terminem. Inaczej się nie da, bo się fizycznie nie da. Ale może masz lepszy pomysł?

Moje pytania zignorowano. Wszyscy dostawaliśmy właśnie takie odpowiedzi. Wysyłali nam maila, potem nabierali wody w usta, chowali głowę w piasek i mieli nadzieję,

że sami wszystko ogarniemy. W sumie łatwiej nam to było załatwiać bezpośrednio ze studentami niż poprzez biuro, ale to poddaje w wątpliwość sensowność istnienia tegoż. Rozumiem, że administrowanie dwunastoma tysiącami studentów i setkami pracowników nie jest łatwe, ale skoro cały dział administracji jest po prostu do dupy, nie jest w stanie niczego zrobić, załatwić ani zorganizować, to po co on w ogóle istnieje? Zresztą większość chińskiej myśli zarządzania tak wygląda.

Bardzo podobną rozmowę odbyłem parę dni później. Że czemu egzaminy nie są skończone? Już ci, kurwa, idiotko mówiłem, że umawialiśmy się na coś całkiem innego. To ty zmieniasz zasady gry w trakcie, więc miej chociaż na tyle przyzwoitości, żeby nie udawać teraz, że to moja wina, bo to, kurwa, nie przejdzie. I nie, twoje powtarzanie „is that clear?” nie sprawia, że cokolwiek robi się *clear*, podobnie jak i ignorowanie moich maili i smsów. Domyślam się, że tobie też wycięli numer i wszystko postawili na głowie, ale nie licz na to, że ja teraz sam to wszystko wezmę na klatę i będę posypywał głowę popiołem.

Przez parę dni nasz ogół nauczycielski laził po kampusie, wymieniał przemyślenia, zastanawiał się, co będzie dalej. Studenci czasem wiedzieli więcej od administracji, czasem nie wiedzieli absolutnie nic i pytali nas, by konkretną odpowiedź otrzymać raczej rzadko. Smsów, maili i QQ wiadomości wymieniłem dosłownie setki – bo ta może wtedy, a ten kiedy indziej. Kombinacje były przeróżne:

- odwołane i przesunięte egzaminy;
- egzaminy ogłoszone godzinę przed terminem;
- okienko 100-minutowe mające wystarczyć na przepytanie 54 osób;
- zdublowane terminy egzaminów;
- lekcje powtórkowe sprzed egzaminów robione po egzaminach;
- zwykłe lekcje, które tam komuś zostały, a ponieważ grupa chce, to czemu nie;
- rozmowy indywidualne nad talerzem zupy i dawanie rad uczniom, jak zdać prawdziwe egzaminy międzynarodowe;
- maile o 19:30, że następnego dnia rano o 8 odbędą się wcześniej odwołane lekcje.

Potem jedna grupa stawia się w całości, druga w ogóle nie przychodzi. Istny pożar w burdelu, połączony z najazdem tatarów na dom wariatów. Dyrekcja chyba wiedziała, że nastroje są raczej takie sobie. Zapewne z tej okazji ciągle coś dostawaliśmy. Początkowo powiedzieli, że nie będzie wigilii, ale potem okazało się, że kłamali i że będzie. Wzruszyło nas zaproszenie na to wydarzenie:

– *Nasze spotkanie rozpoczniemy o 18 na trzecim piętrze. Jeżeli chodzi o tych, którzy mają zajęcia o 18:30: mamy nadzieję, że zdążycie zjeść kolację wigilijną w 20 minut.*

No cóż, my szczęśliwie nie mieliśmy, więc przez trzy godziny jedliśmy i gadaliśmy. Niektórzy zaś mieli wigilię w wersji light. Podejrzewaliśmy początkowo, że może się okazać, że będziemy im zazdrościć, że nie muszą siedzieć do końca. Szczęśliwie, ludzie z naszej administracji studiowali za granicą, więc żadnego bai jiu, przemów, tylko po piwie dla chętnych. I po kopercie dla każdego. Nie było tej płatności w kontraktach, więc miłe

zaskoczenie. Jedzenie standardowe, rozsądnych rozmiarów sekcja bezzmięsna, dość dużo słodczy, całość po stronie plusów.

31 grudnia dostaliśmy smsa. Że można przyjść po bonus wakacyjny. Ten mieli płacić w marcu, więc zdziwienie, że w grudniu. Tendencja groziła, że nawet jeżeli zejda do kopert z jednym banknotem 10 RMB za każde schrzanie sprawy, to dzięki mej bezpośredniej przełożonej zarobiłbym obłędną fortunę jeszcze przed końcem stycznia.

Jak też wyglądały egzaminy? Dość banalnie i standardowo. Prawdziwy IELTS, który im się marzy zdać, wymaga około piętnastu minut konwersacji, odpowiedzi na kilka pytań, rozmowy z prowadzącym. Część rzeczy słyszą, część dostają napisaną. O ile z biura dowiedzieliśmy się, że możemy robić, co chcemy, o tyle jednak postanowiliśmy zrobić łatwiejszą wersję ich celu. Pięć minut rozmowy. Z tego jedna minuta na przygotowanie odpowiedzi na pytanie. Otwierające pytania w stylu, co chciałbyś robić w życiu i czy lubisz swój uniwersytet. Pytań początkowo miałem czternaście, by w końcu zejść do dziesięciu – nikt nie był w stanie zrobić w miarę dobrze zestawu o reklamach, który zawierał takie mordercze pytania, jak to, czy reklamy mają wpływ na wybór towarów, czy czasem oszukują, gdzie się je najczęściej widzi, czy się lubi – jak widać poziom wysoki. Wszystkie pytania zostały przerobione w trakcie semestru, wszystkie są w książkach. Nierzadko egzaminacyjne pytanie jest uproszczeniem tego z książki.

Żeby nie osiągnąć poziomu katastrofy, niżej zejść się już po prostu nie dało. Pewnym problemem było przeprowadzanie egzaminów w trakcie zajęć – na sali 30-50 osób, ci, którzy już odpowiedzieli, mają wszystko w podogoni. Nie wiem, ile razy można mówić do grupy ludzi 20+, że mogą robić, co chcą, że mogą grać na telefonach, mogą spać, mogą słuchać muzyki, czytać książki (to pożartowałem), uczyć się na inne egzaminy, ale jest jeden warunek: mają być cicho. Każdego odpowiadającego musiałem nagrać, więc pokazywałem im, że mam dyktafon i że naprawdę nie mogą się drzeć, bo to się nagra i będą jaja. Mało kto uwierzył. Tym razem gorsze okazały się panienki, które po prostu nie są w stanie działać w innym trybie niż kura na grzędzie i nie mogą się zamknąć na jakieś 20 minut, one nawet 30 sekund nie wytrzymają bez trajkotania. Nie wszystkie, ale wyjątkowo samce podchodziły zdroworoządkowo, dziewczynki wydawały się nie być w stanie wysiedzieć w ciszy. Nawet grając w diamenty.

Co można było w tym wszystkim jeszcze schrzanić?

- Nauczyć się na pamięć odpowiedzi, ale nie być w stanie dopasować ich do pytań.

Na przykład:

- *Jakie masz plany na przyszłość?*
- *Jestem z Datong.*
- *Co-byś-chciał-robić-po-studiach?*
- *Datong to jedna z czterech starożytnych stolic Chin.*
- *Jaki masz numer legitymacji?*
- *50.*
- *Hm, nie mam takiego na liście... 50?*
- *Tak, 50.*

– *Nie ma... Znajdź proszę swoje imię.*

– *Tutaj!*

– *TO JEST PIĘTNAŚCIE!*

Jak również warianty na modłę „thirteen one”. A śmiały się zające, gdy mówiłem, żeby się upewnili, że znają swoje numery ID.

– *Jak spędzasz Spring Festival?*

– *Rodzina...My...Pam-pam-pa-ram-ram-ram* (chaotyczne ruchy dłońmi).

– *Cooooooo?*

– *Pam-pam-pa-ram-ram-ram.*

Dziewczyna myślała, że nie słucham zbyt uważnie i że czego nie powie, to będzie w porządku.

Oczywiście też serie występów nawiązujących do słynnego utworu 4'33" Johna Cage'a. Tych zebrałem bardzo wiele podczas egzaminów z pierwszym rokiem. Z nimi zabawa wyglądała nieco inaczej: wszyscy stawili się w laboratorium językowym, ubrali słuchawki wyłumiające i jednocześnie odpowiedzieli na pytania. Wszystko nagrało się w plikach .wav, my zaś mogliśmy odsłuchać sobie tego wszystkiego w domowym zaciszu.

Czy coś mogło pójść nie tak? Ależ oczywiście! Część mikrofonów nie działała (po co ktoś miałby to sprawdzić przed egzaminem?), więc po testach sprzętu część osób wysłano za drzwi. Mieli wrócić na koniec i nagrać się na działających. Wrócili, nagrali, wydawało się, że bólu i problemu nie będzie. Ten event prowadziłem z chińską nauczycielką. Nie znałem jej wcześniej, więc postanowiłem wykorzystać wspólnie spędzany czas na zapoznanie się. Rozmowa nie kleiła się, dopóki nie powiedziałem jej, że ma super telefon. Ogień w oczach, 10 minut opowieści o tym, że Apple to wspaniała firma. Byłem tak miły, że zacząłem chwalić ich krajowy produkt, Xiaomi. Jakoś jednak wolą swojego iPhone'a.

Listening przebiegł wielce cywilizowanie: dostali arkusze odpowiedzi, posłuchali, odpowiedzieli (albo i nie). Pytania uproszczone, ale i tak wiele osób osiągnęło raczej nikłe rezultaty.

Królem i królową wszystkiego był egzamin z Readingu. Wszystkie zajęcia z Readingu prowadzi Chińczycy. Książka składa się z zestawu tekstów i pytań, oczywiście wybranych z egzaminu. Czyli egzamin będzie wyglądał tak, że uczeń wylosuje tekst, a potem odpowie na pytania? Ależ gdzie tam! Uczeń musiał przeczytać na głos 1,5 strony A4 tekstu. Nieważne, czy cokolwiek z niego rozumiał. Naprawdę. Miał usiąść, przeczytać i na podstawie tego, jak czytał, dostawał adekwatną ocenę.

Wkrótce część druga: piekło formularzami jest wybrukowane.

Mała Apokalipsa

[3.02.2015]

Po odbyciu egzaminów należy je ocenić. Wydawałoby się, że to nie skomplikowanego. W rzeczy samej, procedura była całkiem prosta, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Dla większości grup semestralna ocena stanowiła wypadkową frekwencji (25%), aktywności w ciągu semestru (25%) i egzaminu (50%). Po odbyciu serii rozmów siadałem więc i liczyłem to sobie. Wszystkich miałem nagranych, więc w razie wątpliwości mogłem odtworzyć występ i zastanowić się, czy wyżej, czy jednak niżej. Do liczenia frekwencji przyjąłem założenie, że skoro miałem 14–15 zajęć z każdą grupą, to pełną liczbę punktów dostanie każdy, kto nie ma więcej niż trzech nieobecności. Za czwartą i piątą odejmowałem 5%, za każdą kolejną 10%. Problemem było, co robić z nieobecnościami usprawiedliwionymi – fizycznie nie był, ale ma papier, że był/-a chory/-a. Pytałem parę razy w biurze, ale zawsze dowiadywałem się, że „up to you”. W efekcie niektórym patrzyłem bardziej łaskawym okiem (np. nie odjąłem chłopakowi za to, że przed Złotym Tygodniem zwolnił się jechać po bilet kolejowy, uznałem, że to poważniejszy problem niż katar, który trwa cztery godziny, akurat w trakcie lekcji).

Przy aktywności miałem poważny zgryz, bo rozmiary grup mogą co bardziej nieśmiałym uniemożliwić udział w zajęciach. Potem okazywało się, że ktoś świetnie mówi i wszystko wie, ale zeznawał, że z racji tego, że klasa słucha, to się wstydził/-a mówić, ale w sumie to wiedział/-a. Tu dałem parę razy 100, ogólnie za robienie zadań i jakiś tam udział leciało 80–90%.

Nie bardzo chciałem używać współczynnika, który miał zapewnić wszystkim 80%, ale i tak otrzymanie poniżej 50% stanowiło pewien wyczyn. Paru orłów miało taką ilość nieobecności, że nawet gdyby dostali 100% z egzaminu, to by im nie wystarczyło. Zresztą nikt 100 nie dostał, bo nikt nie odpowiedział idealnie bezbłędnie, trzy osoby były bardzo blisko. Nie były to jednak te osoby, co miały po 20% za obecność. Ostatecznie parę osób wylądowało na 95–98, wcale nie ma na 85–95, 80–85 oznaczało, że dobra robota, średnio po prostu. Nie ma ludzi na 70–80, co było ostatnim wynikiem oznaczającym, że jakoś tam jest, ale bez cudów. Mniej niż 70 oznaczało poziom legwana. 61 było minimalną notą zdającą. Z jednej strony, nie chciałem nikomu robić kłopotów w życiu. Z drugiej, jeżeli ktoś zebrał osiem nieobecności, a na egzaminie nieśmiało chrumkał, to już naprawdę się nie dało. Powystawiałem to wszystko, jak najszybciej mogłem, bo wiedziałem, że 8 stycznia dostanę taki prezent, że rany.

5 stycznia mieliśmy zebranie. Okazało się, że na to wszystko są formularze. Dużo formularzy. Naprawdę bardzo dużo formularzy. Co do samych kursów, musieliśmy napisać sylabusy. Napisaliśmy je dawno temu, ale zapomnieli o tym. Problemu nie było, wysłałem po raz drugi to samo, co w październiku. Raport przebiegu kursu, czyli temat każdej lekcji i problemy z nią związane. Męczące, napisane w jakieś dwie godziny. Podsumowanie kursu i przemyślenia dotyczące przyszłości grupy, jak i własna ocena kursu.

Dobra, jedna kartka A4 z potężnym nagłówkiem, zrobione dość szybko. Plany wszystkich lekcji i wykorzystywane materiały multimedialne. Drugie miałem dawno gotowe, bo Amerykanie mówili, że będzie potrzebne, a pierwsze... Zasepiałem się. W sumie wszyscy się zasepiali i siedzieliśmy chwilę, niczym stado zadumanych sępów, bo nikt wcześniej nie mówił, że istnieje jakiś formularz do pisania planów lekcji. Szczęśliwie, okazało się, że nikt tego nie sprawdza i że jak się nie odda, to nie ma sprawy (albo sprawa wypłynie za pół roku). Listy obecności – prowadzone na bieżąco, więc bez problemu. Oceny uczniów. I to właśnie było tango.

Każdemu trzeba było wyliczyć frekwencję i aktywność. Proste. Zapisać wyliczenia w systemie od 0 do 50, co następnie zostanie przeliczone na 25% końcowej oceny. Da się. Wyliczyć sumę i wpisać w ostatnią kratkę. Jest.

Bierzemy formularz numer dwa (znany także jako Bardzo Ważny Dokument). Wszystkie są bardzo ważne, ale ten jest najważniejszy. Nigdzie nie wolno się pomylić ani kreślić, ale tutaj to już byłby koniec świata. Sumę z poprzedniego wpisać w czwartą kratkę. Mam. Ocenę z egzaminu zapisać w systemie od 0 do 100, co zostanie przeliczone na 50% końcowej oceny w kratkę numer sześć. Jest. I tak około 300 razy. Małym ułatwieniem było to, że listy często były spisywane w różnej kolejności, więc to, że uczeń numer 021 otwiera listę frekwencji nie znaczy, że nie może być gdzieś w połowie stawki na liście egzaminacyjnej. Na listach obecności było o wiele więcej osób niż na ostatecznych – nie poskreślano tych, którzy już nie studiują. Wiem, że nie wygląda to na bardzo skomplikowany i zawiły proces, ale gwarantuję, że można się pomylić. Jeżeli jeszcze myliłem się na początku Bardzo Ważnego Dokumentu, to wtedy szedłem kserować (to było dozwolone) i przepisywałem. Jeżeli jednak nieco dalej i to na korzyść studenta... Paru uczniów dostało nieco lepsze oceny w imię tego, że nie miałem siły przepisywać wyników 30 osób, żeby komuś dać 70, jak planowałem, a nie 73 jak ktoś kratkę niżej.

Nie był to bynajmniej koniec. Po wypełnieniu papierów należało umówić się z przełożoną numer jeden, wziąć je pod pachę i iść do biura. Po oglądnięciu wszystkiego, czy się w miarę zgadza, rozpoczynało się wpisywanie do systemu. Tym razem po dwie oceny dla każdego, a komputer liczył średnią. Gdy nam się podobało i zgadzało z papierem, to zatwierdzaliśmy i wysyłało się do systemu. Możliwości poprawy brak, więc tu już naprawdę trzeba było się starać i uważać. Po zakończeniu tej procedury dostawało się papier w dwóch kopiach (czasem mający i trzy strony), podpisywało się ostateczne wyniki i zaczynało następną grupę. Potem jeszcze miała je podpisać Szefowa Wszystkich Szefów, ale to już nas nie bolało, bo nie byliśmy do tego potrzebni.

Dwie z naszych grup miały status najważniejszych. To były oczywiście te najlepsze, te gdzie prowadzenie lekcji zazwyczaj było przyjemnością, gdzie naprawdę dobrze znaliśmy studentów. Były one liczone w stosunku 30 frekwencja/aktywność do 70 za egzamin. W naj-najlepszej wyszło mi, że muszę ulać jedną osobę. Frekwencja 100%, aktywność znikoma (czyli 60), egzamin jakieś 50. Przywołano szefową.

– Czy ja bym nie był skłonny dać temu uczniowi lepszej oceny? Bo mu wychodzi poniżej 60, więc nie zda.

Ja tam skłonny mogę być, ale formularze wypełnione, Najważniejszy Świata też, więc chyba się nie da. Myliłem się. Bezpośrednia szefowa wydrapała żyletką poprzednią ocenę, a ja musiałem wszystko przepisać, pamiętając, by mu podnieść na te 50 z małym okładem. Zajęło trochę, a to jak wyglądał Najważniejszy Dokument Świata... Wyglądał jak legitymacja szesnastolatka, który zamarzył o tym, żeby sobie kupić piwo w barze i myślał, że przerobienie 2 na 0 rozwiąże ten problem.

Druga najlepsza grupa. Kolejny oblany. Telefon do jego nauczyciela prowadzącego.

– *A czy on mógłby zdać?*

– *Umówmy się tak: poniżej 80 z tego egzaminu oznacza, że pacjent nie ma szans na zdanie IELTS. Ten ma 70 parę, co nie jest najniższym wynikiem w klasie. Zabija go obłędna frekwencja, osiem nieobecności. Możemy mu dać więcej, ale wtedy wypadłoby podnieść innym (nie do zrobienia, a raczej robota na parę godzin i parę osób by wyskoczyło ponad stowę) albo po prostu musimy oszukać wszystkich i go puścić, podnosząc mu za aktywność na lekcjach (a ja ledwie kojarzę, że on istnieje), co oczywiście jest nieuczciwe i co właśnie zrobimy.*

Okazało się, że chłopak już nie zdał jednego egzaminu, a jeżeli uwali powyżej dwóch, to będzie miał kłopoty z ukończeniem semestru. Biorąc pod uwagę, że był to początek sesji, to nie jestem pewien, czy moja łaska, litość i przepisywanie arkuszy się na cokolwiek zdały. Gdy niemal ostatniego dnia szedłem do domu, otrzymałem telefon. Okazało się, że mi źle powiedziano i że podpisałem wszystko w złym miejscu, tam gdzie jest podpis rektora (wiadomo po jakimś są formularze). Dzięki temu mogłem machnąć kolejne osiemnaście pełnych podpisów i dat.

Inaczej nieco sprawa wyglądała z pierwszym rokiem. Jak zostało wspomniane w poprzednim odcinku, wszyscy nagrali się jednocześnie w laboratorium językowym. Ponieważ parę mikrofonów nie działało, nakazano wszystkim sprawdzić swoje, nagrać pięć sekund i sprawdzić, czy działa. Jak nie, to zapraszamy za 30 minut. Nie działało jakieś siedem na czterdzieści parę stanowisk. Ogólnie laboratorium wypas, stanowiska multimedialne, mikrofony, głośniki dobre, wszystko do obsługi z pulpitu na środku sali, byłem pod wrażeniem. Szkoda aż, że tam nie miewamy lekcji (i chyba nikt nie ma). 8 stycznia wieczorem poczłapałem sobie do domu z nagraniami egzaminów ponad 150 studentów. Każde około pięciu minut, czyli ponad dwanaście godzin materiałów do słuchania. Przez następne kilka dni miałem co robić. Siedziałem, słuchałem i oceniałem. Bardzo trudno jest skoncentrować się na każdej wypowiedzi, gdy się je ma ciągiem. Chwilami musiałem włączać od nowa, bo sam się wyłączałem. Trudno mi było powyżej szóstej osoby zachować jasność umysłu, więc lazałem wtedy porobić przez pięć-dziesięć minut coś innego (tak wysprzątanego salonu, poukładanych ubrań, wymytej kuchni, łazienki, wyniesionych śmieci, posortowanych dokumentów, to jeszcze nie mieliśmy). Były tylko trzy grupy pytań, więc po jakieś pięćdziesiąt razy każdy zestaw. Odpowiedzi w przeważającej większości okrutnie nudne, chociaż też nie daliśmy im jakichś przesadnie ciekawych pytań, niemniej liczyłem, że ktoś rozwinął skrzydła nieco bardziej niż „Yes, I do”. Stosowaliśmy też pewien kwantyfikator zwany „pochodzenia chłopskiego”. Jak ktoś

był z Guizhou (najbiedniejsza prowincja, 2000 kilometrów od nas), to bywało, że plus 5. Jak ktoś był z Xinjiangu i wydawało się, że nie Han, to więcej. Jak ktoś był z Anhui i coś ciekawego powiedział o naszej ulubionej prowincji, to też plus. Kusilo nas odejmować punkty za wypowiedzi arcy nacjonalistyczne, ale ostatecznie się powstrzymaliśmy. Wymordowałem się z tym w cztery dni. Sprawę nieco ułatwiło mi, że 11 osób nagrało ciszę.

16 stycznia, czyli w piątek, udałem się do biura, wierząc, że robię to po raz ostatni. Lepimy te papiery, przepisujemy, wpisujemy, wszyscy zdają na lepszych lub gorszych ocenach. Raportuję, że mam jedenastkę nieszczęśników, których nagrań nie ma i nie bardzo mam, jak wystawić im oceny.

– *Przepisz im ocenę z frekwencji i aktywności jako egzaminacyjną.*

– *To pierwszy rok, wszyscy mają po 100% z frekwencji i po 70-90 z aktywności, wyjdzie im po 80-90 w cuglach. Z egzaminu tyle dostawali tylko najlepsi, a jakoś tu widzę, że to największy kwiat narodu, któremu te nieszczęsne mikrofony nie zadziałały, więc mam pewne podejrzenia, że to nie była awaria. Dochodzi też problem, że jeżeli ktoś kiedyś będzie chciał przesłuchać ich egzaminy i usłyszy ciszę, a potem zobaczy ocenę w stylu 85%, to się może nieco zdziwić i mogą z tego być problemy.*

– *Nie, nie, co ty, wodzu, żadnych problemów, szkoda czasu!*

Wystawiłem pi razy oko z frekwencji, aktywności, próbnego egzaminu i własnego widzimisię. W tej grupie była dziewczynka z Guizhou, która ciągle próbuje ze mną pisać na QQ i wiem, że jej zależy, więc wyżej. Jakaś paprotka, która nie oddała nigdy zadania domowego – niżej. Zrobiłem, wpisaliśmy do super ważnego systemu. Jeszcze tylko ona o coś zapyta tam koleżankę i koniec! A jednak nie.

– *Wiesz, bo jednak nie może być ciszy zamiast egzaminów.*

– *POWAŻNIE? Wcale tego nie mówiłem jakieś dwadzieścia minut temu.*

– *To może zrobisz im egzamin dzisiaj, jutro lub w marcu?*

– *Zrobię, co się będzie dało i raczej od razu, bo do marca ktoś to może odsłuchać, a oceny będą podpisane przez rektora. Dyktafon proszę.*

– *Musieliśmy oddać do działu ekonomicznego. Nagraj telefonem.*

– *Jakość zabije. W której sali to mogę mieć?*

– *W restauracji na dole.*

– *JAK TO W RESTAURACJI?*

– *Bo jutro jest sobota, to nie można mieć w sali.*

– *Biuro?*

– *Nie, bo studenci mogliby ukraść arkusze egzaminacyjne*

Sranie w banie. Arkusze są w jednej sali, sal mamy z osiem.

– *Ustawię ich na korytarzu i będę wpuszczał po jednym, tym samym nie będą mieli, jak ukraść.*

– *W restauracji będzie świetnie!*

Cały wieczór pisanie na QQ i smsów ze studentami. Najpierw jeszcze chciałem zachować pozory i nie zdradzać danych osobowych, więc kazałem się odzywać z numerem i będę mówił, czy musi przyjść, czy nie:

- *Mój numer XXX.*
- *Nie musisz przychodzić.*
- *A jaką ocenę dostałem/-am*

Po jakiejś czterdziestej osobie wysłałem te numery do bardziej ogarniętych z ich grup. Umówiliśmy egzamin na 15:00 dnia następnego, czyli w sobotę. Dwadzieścia minut później dramat. Bo jednak oni wtedy mają egzamin z matematyki. Trafi mnie. Zaraz weźmie i mnie trafi. Dostanę apopleksji i nie wstanę. Dobrze, to o 17.

Następne dwie godziny moich aktywności komputerowych ograniczały się do odpisywania na pytania. Repertuar odpowiedzi:

- *W restauracji. Tak, wiem. Ja też tak myślę.*
- *Naprawdę w restauracji. Nie, to nie jest mój pomysł. Tak, o 17.*
- *Nie mam twojej oceny z egzaminu.*
- *Też ci życzę miłego Chińskiego Nowego Roku.*
- *Nie, nie jedziemy do Polski.*
- *Tak, w Polsce w zimie jest bardzo zimno.*
- *Tak, o 17. W restauracji.*

W końcu miałem otwarty notatnik i tylko kopiowałem sobie odpowiedzi na pytania. Sobota, 17, restauracja. Gra muzyka tak, że własnych myśli nie słyszę. Idę szukać sali lub biura. Wszystko zamknięte. Mogę albo zaprosić do mieszkania jedenaście dziewczynek, albo muszę przeprowadzić ten para-egzamin na stołówce. Ech, może jeszcze dużo osób nie je, kolacja niby od 5:50. Była to tak piękna komedia, że musiałem sobie wbijać paznokcie, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Wyglądało to mniej więcej tak:

- *Powiedz, proszę, jak spędziłaś swój pierwszy dzień na uczelni?*
- *Poznałam nowe koleżanki, poszłyśmy do...*

MAKARON Z WOŁOWINĄ DWA RAZY!!!

- *...dormitorium...*

BACH BACH BACH BACH (czyli sprzątająca czyści tacki po jedzeniu)

- *...i poszłyśmy na obiad...*

PIEROGI Z MIĘSEM!!!

- *...ale zapomniałam portfela...*

TRTRTRTRTRTRTRTRTRTR (czyli jedzie wózek z jedzeniem)

- *Świetnie, dziękuję, zdałaś. Następna!*

Nagrania z tego mogłyby stanowić pewne wyzwanie do zdekodowania nawet dla grupy Alana Turinga.

Egzamin z listeningu wypadł o wiele poważniej. Zasady punktowe były te same (frekwencja/aktywność – egzamin), ale już procedura nieco inna. Arkusze były zakodowane. Najpierw sprawdzał je nauczyciel prowadzący. Na górze każdej strony tabelka, w niej numer ćwiczenia, zdobyte punkty i podpis. Należało podpisać się pod każdym ćwiczeniem, a potem pod sumą. Gdy odpowiedzialny za egzamin kończył tę zabawę, musiał poprosić kogoś (w naszym przypadku nieco łatwiej), żeby ten zweryfikował jego lub jej wyliczenia. Należało wszystko od nowa przeliczyć, podpisać się

pod częściowymi ocenami drugiej osoby i pod sumą końcową. I tak około 180 razy. Zdarzało się oczywiście, że było coś źle, wtedy należało wezwać nauczyciela prowadzącego, wspólnie podpisać się pod błędem, potem pod wyliczeniami w tabelce i ostateczną sumą. Był jeden plus wystawiania ocen z tego: nie dało się niczego naciągnąć, zakombinować, oszukać ani przeliczyć. No jedynie za aktywność, ale to bardzo mała składowa, więc nawet nie było tematu, żeby o to walczyć. Poza tym też nie musisz się martwić, że komuś dajesz za nisko lub za wysoko – napisał na 56, to będzie miał 56, a nie 58 ani 54.

Brzmi to wszystko bardzo ładnie, problem w tym, że arkusze można było sprawdzać wyłącznie w biurze, pod okiem administracji. Wydzielono nawet stół w sali zebrań, różni nauczyciele siadali tam do oceniania egzaminów. Najgorsza była obecność chińskich nauczycielek – im sprawdzanie arkuszy zajmie chyba następny rok, wyglądało to mniej więcej tak: siedzą cztery panny, czytają, po 2 minutach jedna rzuca pytanie, dwie jej odpowiadają, po minucie zaczynają się klócić, włącza się czwarta, trajkoczą przez następne 10 minut. Zapada cisza, sprawdzają dalej. Mija 5 minut, jedna rzuca pytanie, dwie jej odpowiadają... Oczywiście żadne tam szeptki, lepiej nadawać na cały regulator.

Jednak najlepszą częścią egzaminów z listeningu okazały się być... analizy wyników. Aligatora pobłogosławiono 4 formularzami w formacie A3, na których trzeba było opisać strukturę egzaminu, uzasadnienia dla poszczególnych zadań, interpretację wyników, zalecenia dla kursu. I wszystko to należało pisać RĘCZNIE. Długopisem. Na. Papierze. Gdybym trafił do naszego działu nauczania z zewnątrz i pokazaliby mi ten system, to byłbym pod wrażeniem. Myślę, że nawet egzaminy międzynarodowe nie mają aż tak wysokiego standardu wystawiania ocen. To sprawdzanie się nawzajem, krzyżowe sprawdzanie zgodności arkuszy między sobą, potem jeszcze systemem, który wylicza wszystkie średnie (nie jest to wyższa matematyka, ale powtórzę, że da się pomylić). Archiwizowanie wszystkich wypowiedzi, zaślepianie egzaminów pisemnych. W sumie prowizorkę zdradza tylko jedno, brak jakichkolwiek kryteriów oceny z pisanie i mówienia. Obstawiam jednak, że jacykolwiek wizytujący są bardzo zadowoleni.

Wspomniane niegdyś dwie gwiazdy dały sobie radę różnie. Betty przyszła pewna siebie i odpowiedziała tak, że spokojnie mogłem jej dać 93. Widziałem, że się nauczyła i że zna te pytania na przestrzal, używała słówek, które im podawałem, a nawet więcej. Jej chłopak to już tak pozamiatał, że dostał 96 (chciałem mu dać 95, ale powiedział, że w zeszłym roku miał 96, więc dostał tyle samo). Ostatnimi czasy Nana znacznie mniej grała na telefonach, a raczej coś robiła. Uwaliła chyba czwarte podejście do IELTS w semestrze. Dzięki najlepszemu kursowi świata zaczęła stosować słownictwo o jakieś dwa poziomy wyższe, niż powinna. Prowadziło to do dość dziwnych konstrukcji – zła forma osobowa, zły kwantyfikator, jakieś zaawansowane słowo. Zły szyk zdania, zła forma czasownika, poprawnie cała dość zawiła konstrukcja na koniec. Widziałem, że szuka możliwości, żeby wpleść to wszystko, co jej wbili do głowy, ale widać też było, że robi to tak na siłę, że na prawdziwym egzaminie jej to wiele nie da. Nie chciałem jej podcinać skrzydeł, więc ostatecznie dałem jej Hitlera (88), bo ósemki są w Chinach szczęśliwe. A szczęście to jedyne, co może wysłać ją do Irlandii.

Cała ta zabawa w sumie zbliżyła nas z działem zarządzającym. Musieliśmy wspólnie siedzieć ze sobą po kilka godzin dziennie. Nie było już więcej jaj w stylu podróże w czasie. Chwilami nie mogliśmy uwierzyć, widząc obycie komputerowe (odkrywanie, do czego służy Tab, a do czego Ctrl+C), więc chwytailiśmy za to sami i wpisywaliśmy całe arkusze bez ich pomocy, także rezygnując z przerw na posiłki. Los obdarował nas dość wczesnym końcem egzaminów, więc światelko w tunelu widać było dość jasno. Pod sam koniec dostaliśmy nawet pochwały. Że my wszystko tak dokładnie, przed czasem, ładnie opisane, pliki dźwiękowe poukładane grupami, formularze dla każdego kursu posegregowane, wszystkie nagłówki dokumentów sami wypełniliśmy bez zwracania nam uwagi, podsumowania kursów takie treściwe, no modelowi pracownicy. Żeby tak wszyscy robili!

Gdy padały te słowa, pomyślałem sobie mniej więcej to samo. Kilka minut wcześniej wszystkie moje arkusze, listy obecności, oceny końcowe (średnio po jakieś piętnaście stron na grupę) zostały zrzucone na jedną wielką stertę. Myślę, że do dzisiaj sobie jeszcze tego nie ułożyli do poziomu, na jakim im to oddałem.

Błądzić jest rzeczą chińską

[2.03.2015]

Podczas przeprowadzania egzaminów miałem często taki problem, że musiałem dać coś do roboty całej grupie – żeby nie było chaosu i żeby jednak wykonali cokolwiek w ramach moich zajęć. Początkowo przynosiłem im krzyżówki, ale kończyło się na tym, że jedna osoba robiła, a reszta kopiowała. W końcu w desperacji powiedziałem uczniom, że po egzaminie każdy ma sobie wystawić ocenę. Jedną za semestr, drugą za egzamin. Że w ten sposób mogą sobie trochę pomóc i mnie przekonać do wyższej noty, pod warunkiem, że to dobrze, składnie napiszą. Rezultaty przerosły wszelkie oczekiwania. Po pierwsze, było cicho i spokojnie. Niektórzy pisali po dobre 20-30 minut. Po drugie... Chwilami nie byłem w stanie uwierzyć w to, co dostałem. Początkowo się podłamałem, odłożyłem na stertę i wydawało się, że tyle. Potem jednak byli z wizytą koledzy z Australii, rzucili okiem na te niesamowite wypiski i zemdleli. Przez następną godzinę płakali. Postanowiłem zebrać tego więcej, więc niemal wszystkie grupy dostawały te szalenie trudne pytania do pisania. W piątkowy wieczór zasiedliśmy całym gronem pedagogicznym, odpaliliśmy piwo z importu, a potem na przemian płakaliśmy i śmialiśmy się.

Oto „The best of”, gwarantuję, że było tego o wiele, wiele więcej. Pisownia oczywiście oryginalna.

- *In this test I ready it not enough. There are some mistakes in grammar and I have a little nervous, I can't fluency. I am so sorry* (Trend przepraszania był dość żywy u wielu uczniów).
- *I want to make your friends. Please give your telephone number* (Call me maybe).
- *I should speak English frequently and look at his eyes and keep smile. If I don't know how to speak, I should say 'weh'* (Weh, weh, weh, weh, yyy, weh, weh, weh).
- *I am very confident that my pacific grad is full, because I come to class in every class, never to be late* (Przekład na ludzki: *pacific* oznacza czas trwania semestru).
- *Foreign people in China is so much* (Nagroda imienia pieseła przyznana!).
- *I can solve the question fluently. Although I am English is not very good.*
- *My statements are not fluently but I treat the exam seriously.*
- *I had not went to class every week* (Mamy nowy czas).
- *I want my score more than 80. I want to get scholarship so that I am chosen as a party member before go abroad* (Nie zламаłem mu kariery partyjnej, dałem te 80. Może będzie miał znajomości w wierchuszce partyjnej).
- *My peacetime is 96* (*peacetime* to podobnie jak *pacific*, czyli czas trwania semestru).
- *I absent many lessons in this session. I'm sorry about this. I know you shouldn't have let me test but you not, I'm very grateful to you. I hope you can show your mercy, give me 60 point. 2) I think I express normal. So I want to get 60 point,*

please! May kind people be blessed with life-long peace (Patrzcie, jaki jestem dobry, mimo licznych nieobecności chłopak całkiem dobrze odpowiedział, więc nawet się przeczołgał).

- *Sometime I not come your class. Because there are something in my family.*
- *I am not good but I hope to get 80 point in the final exam* (To cała tendencja: poszło do dupy, więc chcę tak z 80-90 punktów).
- *My vocabulary is not rich, express is unsharp. I can work harder* (Bardzo bym prosił).
- *100 2. 90. Aimme* (Oto cała wypowiedź. No, przekonałaś mnie).
- *100 all sumbs up! I prepared a lot of topic for this exam but there was a nervous in the exam. Good performance: abundant vocabulary Bad performance: a little link words. little voice. not good pronunciation* (Obawiam się, że sumbs nie były up po tym, co dostała).
- *For example my language was fluently and I have clear thinker. I think I must be work hard* (Ja też tak myślę, chociaż trochę inaczej bym to ujął).
- *About this exam I think these questions are very poplur questions and can let students have more extensive imaginary space about this questions. For me, I encounter about festival topic* (Dostaliście pytania z egzaminu, które były przerobione ze mną na zajęciach. Też myślę, że są popularne i za cholerę nie rozumiem, CZEMU tak wielu z was tak zdziwiły).
- *You're very good. And teached us a lot of things* (Niestety nie udało się formy przeszłej tego bardzo zaawansowanego czasownika).
- *The point is not high. I will be hard work at IETS.* (Ustal, jak się nazywa egzamin, który chcesz zdawać, może point będzie high wtedy).
- *I think we had a good talk but my lanuages is not very well. This semester is very good. the class couldn't be better. I have never like any class only it* (Trend wchodzenia mi w rzyć, jeszcze będzie).
- *In this term of the university, I think I do not best in IELTS speaking. Sometimes I play the phone when you teaching us. Sometimes I naping your class but I usually learning concentratly your teaching the knowledge. (...) Because I don't absent and not talk with each other when you don't allow us speaking so I think the number is fit on me* (Niestety nie podał, ile by chciał, ale to był jeden z przypadków, który tak mnie wzruszył szczerością, że pojechałem dość wysoko.).
- *During this term I got so much knowledge I want to learn from you. It's my pleasure to be your student* (Taaaak! Wchodź mi dalej, już nawet bez wazeliny).
- *Fortunatly I choose a easy question* (Unfortunately, z czasami i rodzajnikami już tak dobrze nie trafiłeś).
- *I think my teacher is a good man. I learn more speaking English from him. I think I finish my lesson this year.*

- *I'd like to give you 99 points my dear teacher. I learned a lot from your class and my English has improved a lot. Why I don't give you 100 because people have to improve and nobody can be perfect* (Coś pięknego, po prostu leżałem).
- *The student should have their thinkings* (Czasem mógłby też rzucić okiem czy mu się formy zgadzają).
- *My spoken English is not influntly* (Za to pisanie idzie cudownie).
- *I think you are a good teacher. You teach me knowledge. I'm under a lot of harvest. I like you* (Takie są skutki używania translatora, że wychodzą złote żniwa).
- *My performan is alright but not perfect. My oral English still need improving, so do my vocabulary* (Jedna z moich najlepszych uczennic. Performan szczęśliwie poszedł jej o wiele lepiej niż ten wypis).
- *I beg for a good grade 90* (Jeden z lepszych. Po tym, co nabredził, to rzeczywiście zostały tylko błagania).
- *You are very good, you're behave like a gentle man* (Taaaaaaak! W rzyć i bez wazeliny jeszcze raz!).
- *I had do my best* (Jest tyle czasów, ale ktoś potrzebował kolejnego).
- *You are a handsome and humorous teacher and your classes impressed me very much* (Nie zmieścicie mi się wszyscy...).
- *I did my homework with great devotion.*
- *These questions are impressive* (Takie też są wasze odpowiedzi).
- *After the class I borrow the notebook from my classmate to make the knowledge impress on my heart* (Szkoda, że nie na głowie).
- *Maybe change another questions I will do better* (Gwiazda gwiazd, jedna z najlepszych uczennic ze wszystkich grup. Na pewno na prawdziwym egzaminie będziesz mogła sobie wybrać).
- *I think this questions are too difficult. Also these questions are to much than IELTS exam. So I think time isn't enough to think 5 questions and make too much grammatical mistake* (Zaiste, zaskoczyłem cię, synu, tymi pytaniami o 4 nad ranem w dyskotecie, a nie podczas egzaminu, którego formułę ćwiczyłem z wami cały semestr).
- *Good at ordinary times. No absent for every class. Do homework. I think I should gain 95 grade.*
- *I'm not absent in all speaking lessons this term.*
- *I never absent from class but I don't very active in the class.*
- *I think you class is very funny and our student like you very much* (Bez mydła. Bez wazeliny. Po samą rękojęść!).
- *The most important thing is I can speak louder after this class. Thank you!* (Cieszy to, chociaż nie wiem, jaki wpływ miały moje zajęcia na twą emisję głosu).

- *The first question because I reading it careless has a mistalk. So I think I have a not better prices but I do try myself* (Jeden z lepszych uczniów. Po dostaniu pytania „jaki był twój najbardziej znienawidzony przedmiot w szkole?”, żywiołowo opowiedział o tym, jak bardzo lubi angielski).
- *I will go Irland so i am reluctant to leave aplace* (W Irland już na pewno dywan rozwijają).
- *The last question, ask me something about the style of accommodation, I think I have no idea* (Ja też tak pomyślałem, gdy cię usłyszałem).
- *I think I will get about 90 point because I say my family all things I thought and I know I love my family but I have a little nervous* (Szczęśliwie, nie oceniam waszych uczuć wobec rodziców).
- *Although I exist some questions, I think I have confident and brave to attend exam in advance.*
- *I am a active girl. Thus, I often play the phone but is a little mistake. Last, I want to got the scholarship, so please give me a high score* (A inni go nie chcą, więc przecież to tobie się należy za to granie na telefonie).
- *I have some wrong grammars* (Niemożliwe!).
- *Although I said not so good, I said is very fluent, and fully prepared* (Tę ustrzeliłem, gdyż zrobiła to, co napisała: przyszła, dostała pytania, po czym powiedziała trochę rzeczy w ogóle niezwiązanych z tym, co dostała).
- *I came to class every class this term, and listening very conscientious.*
- *Great score nity-five. Great score nity-six* (To całość wypowiedzi. Niestety, score nie był aż tak great).
- *The fraction for me is 70. And to answer the question content is not rich.*
- *Although my spelling and vocabulary are's good.* (Are's...).
- *I have two questions unanswersed good and I don't cooking.*
- *Usually in class I never sleep and eat food.*
- *I haven't play phone in the class but to be honest in the class I am not alive* (Fan Pearl Jamu zapewne).
- *I am satisfied with my appearance at your course.*
- *I never be later for lesson.*
- *I think the exam is bad. Because I don't speak English. I should have six-two grade. I is really careless in classroom. Accoding it have eight-five grade* (I is nie słyszałem nawet od sześciolatków).
- *In the class I sometimes listen to the teacher and answer questions actively but play games not very happy. I know I need more hardness* (Trochę jak niemiecki pornos).
- *I not alaways play phone.*
- *I think my daily expression is midding. Because I listen the teacher carefully almost. However sometimes I may be stupefied.*

- *When I once watching those question. I got so nervous and confused that I was quiet incoherent.*
- *I am not activity at class.*
- *I never sleep at class but when I'm boring I secretly play mobile phone* (Tu też byłem wzruszony szczerością, więc secretly dałem więcej niż wypadaloby).
- *I think I rich my knowledge and enlarge my views. I think I was positivity. I hopo I can get 85.*
- *Because I think I have some won't answer. I want to say do not say.*
- *80. Becaus I think I don't played moble phone* (I tylko 80 za ten niesamowity wysilek?).
- *I didn't play movebel phone in class* (Ja pierdykam, takie słówko...).
- *I think my exam should have 88 grades. because I also have some imperfect* (Niemiecki, widzę, też był).
- *I can answers the questions sometimes. I think myself is active.*
- *I think my semester is general, I answer questions least* (General Guderian zapewne).
- *I don't think I'm a active students but I listen careful* (Już nie wiem, co gorsze, a przed liczbą mnogą, czy rozdwojenie osobowości).
- *I think the exam is rather easy yesterday, but I don't well because have litter nervous. I want though this exam. I think not play cell-phone in class.*
- *I answer questions sometioms* (A sometioms nie).

Powyższa lista nie ma na celu robienia sobie jaj z moich uczniów i napieprzania się z ich zdolności do komunikacji (werbalnej lub nie) w języku obcym. Praktycznie nikt nie napisał bezbłędnie, powyżej jest wybór wypowiedzi najbardziej przerażających, dziwacznych i zabawnych. Jednak żyjąc w Chinach, często słyszy się np., że chińscy uczniowie mają kłopoty z mówieniem, ale z pisanem idzie im świetnie, jednak specyfika kultury sprawia, że nie chcą się odzywać, bo boją się stracić twarz w wyniku popełnienia błędu. Mówią o tym, że panuje u nich „the Chinese way” nauczania angielskiego. Że jej możesz nie rozumieć, ale nie da się robić inaczej, bo taka jest specyfika tego kraju i systemu edukacji. To właśnie są efekty tego cudownego podejścia, tego, że klasy mają po 70 uczniów, że nie prowadzi się zajęć z bardziej swobodnego użycia języka niż robienie testów. Także tego zamknięcia kraju na tzw. wpływy zewnętrzne – gdzie indziej ludzie uczą się z muzyki, filmów, internetu. Nasi uczniowie nie. Kolejną składową smutnej sytuacji jest to, że wszyscy zawsze zdają. Jakim cudem można w nastym roku nauki walnąć „I is” albo „are's”??? Błędy w słowach i strukturach z dosłownie PIERWSZEGO roku nauki. To efekt uczenia angielskiego tą metodą, co chińskiego – nietraktowania słów jako kombinacji liter, tylko jako bytów samych w sobie, bo przecież tak jest w chińskim. Olewanie form, bo przecież i tak nas zrozumieją, a czy powiesz *late*, czy *later*, to nie ma znaczenia. Czasy? Dla wielu to luźna zbiórka czasowników i okoliczników. Zamiast chwilę pomyśleć, to chwytają za telefon ze słownikiem i z tego słownika wychodzi im, że mają dużo żniw. Ci

ludzie, bez wyjątku, chcą studiować na szeroko rozumianym Zachodzie. Tam nie powinno być tematu, jak napisać „always”, tylko jak napisać esej na jakiś bardziej złożony temat. Oczywiście jest to dla nich niewykonalne, więc swoje zamorskie przygody kończą z certyfikatem uczestnictwa w studiach. Już na znacznie dalszym planie są kwestie takie, że np. średnio wypada pisać nauczycielowi, że jest przystojny, w świecie Zachodu można sobie tym napytać biedy. Inną sprawą jest forma tych wypisków – niektórzy oddali mi to na jakichś obszarpanych kartkach, karteluszkach, papierach ufajdanych nie wiem czym. Ostatnimi czasy ChRL ogłosiła, że będzie się pozbywała zachodnich wpływów z edukacji. Zastanawia jedno: czy możliwe jest stworzenie systemu jeszcze bardziej nieefektywnego? Angażującego jeszcze więcej czasu i sił tak uczniów, jak i nauczycieli? Wydaje się, że nie, ale jestem pewien: tylko się wydaje.

Trochę po moich egzaminach, nasz australijski kolega miał writing. Gdy laliśmy przy piwie z moich uczniów, mówił, że u niego takie cuda by nie przeszły. Czas wakacji rozjaśnił mi jego mail. Cytat:

I have never seen so many different spelling attempts at the word “rice” – which should have been mastered 10 years ago in primary school. I’ve seen “ract”, rise, race, rase, rize, ris, rac, the list goes on. Seriously? Second year university.

Odkrył też istnienie słowa pook (pork) i cooffot (czyli marchew).

Dating with Chinese Characteristics

[18.04.2015]

Zadałem moim uczniom bardzo trudne zadanie domowe: 100-150 słów na temat chodzenia na randki w Chinach. Dałem nawet serię pytań pomocniczych (w jakim wieku, jakie miejsca cieszą się popularnością, jak się spędza wspólnie czas). Podkreśliłem, żeby uważali z pisaniem i nie rozpędzali się, bez większego bólu da się to napisać używających dość podstawowych struktur gramatycznych i bez dzikiego słownictwa (o miłości i randkach rozmawialiśmy przez dwa bloki lekcyjne – w sumie 200 minut). Powiedziałem, że jeżeli ktoś potrzebuje pomocy, to może się zgłosić – internetowo lub osobiście. Nie zgłosił się nikt.

Dostałem ponad dwieście prac i miałem co robić w weekend. Dominujące problemy:

- prace przejechane z internetu;
- prace przejechane z internetu, ale nie do końca na temat (legenda o srokach i starożytnych kochankach zajęła pierwsze miejsce);
- używanie translatora wybitnie niskiej jakości – rekordzista oddał stronę A4 tekstu, w którym niemal nie było czasowników.

Poniżej kilka ciekawszych zdań z prac mych podopiecznych. Nie koncentrowałem się na błędach, a raczej na dziwacznych pomysłach lub zdaniach, które zrozumieć bardzo trudno. Pisownia oczywiście oryginalna.

- *Date's place will change date according to master disposition choose different place.*
- *In Chinese after the reform and opening up, with the rapid development of commercial speculation, many young men and women began to date* (Dowiedz się chociaż, jak się zwie twój kraj).
- *I will bring a glass of sunglasses* (Wizja nieco surrealistyczna).
- *The grass had already germination.*
- *The restaurant release launch a new product and romantic atmosphere attacked people* (Biedni!).
- *in China generally in the university.*
- *In my opinion perfect date is the boy has a girlfriend the girl has a boyfriend* (Rzeczywiście, samotna randka to jakoś nie bardzo).
- *In my opinion , dating is acceptable in suitable case.*
- *I think is On the Bank of beautiful.*
- *China provide people be a adult at the age of 18.*
- *We can chat in the river* (Mała syrenka).
- *Date must be decent performance.*
- *Dating is a vertical expression of a horizontal desire.*
- *The date in my mind is full of romantic echocardiography.*

- *If which day I met I sincerely of the person you like, I will give him a romantic date, make him the happiest man in the world, in the end, we'll walk into the palace of marriage, love life* (Poezja, potem będzie czerwony wojownik w ogrodzie rozkoszy).
- *But I think unless is after marriage pregnancy. otherwise.*
- *A perfect date, on a warm beach resort, a lot of beautiful flower color brick pattern of dots on the beach, more characteristics of the local seafood, put into a variety of beautiful pattenrns is very roman* (Rzymskie wakacje, zapewne).
- *In China there are record date is before eight thousand, while China has a long history, this is shocking* (Jeszcze jakiś czas temu mieliście pięć tysięcy lat historii. Teraz już osiem? Nie żałujcie sobie, dawajcie dziesięć!).
- *I think the best age for a person to start dating is when they have a stable education. It's very common nowadays to see younster dating one another. They have never thought about how it will affect their future education.* (Rodzice mogą być dumni ze swej córki!).
- *As long as you can have a better understanding of your partner and have positive aspects of the harvest.* (Mówilem. Mówilem wiele razy: *harvest* to nie jest to słowo, którego zazwyczaj chcecie użyć!).

Przykład pozytywny, jedna z nielicznych prac, które świadczą, że niektórzy potrafią myśleć.

- *In the whole process the man will save a nearly bankrupt flower shop.*

Pewien mistrz dał kropkę po KAŻDYM słowie i nie użył ani jednej wielkiej litery przez całe wypracowanie. Na ponad dwieście prac DWIE były bardzo dobre, czyli napisane z jakimś polotem i bardziej twórczym podejściem do tematu. Z dziesięć dość dobrych, czyli na temat i nie po linii najmniejszego oporu. Reszta to mniejszy lub większy płacz. Najsmutniejsze jest to, że znowu sobie o tym porozmawiamy: sprawdzajcie *much* i *many*, uważajcie na rodzajnik nieokreślony. Małe i duże litery. Interpunkcja przynajmniej na poziomie podstawowym. Nie mam jednak już żadnych wątpliwości, porzuciłem też nadzieję i wiem, że kolejne eseje, które dostanę, będą oferowały podobny festiwal cudów i dziwów.

[23.05.2015]

Pewnego wieczoru do drzwi naszych zastukała koleżanka z amerykańskiej oazy. Chodziły ploty, że w ostatnich miesiącach chrzcili uczniów w łazience. Brzmi to tak arcydurnie, że trudno uwierzyć. Z drugiej strony, religia już nie raz pokonała zdrowy rozsądek i normy estetyczne, więc może rzeczywiście, może ktoś został chrześcijaninem w okolicach strzaskanej muszli klozetowej. Biorąc pod uwagę rolę defekacji w życiu Chińczyków, to byłoby wcale na miejscu. Wracając do koleżanki i jej wizyty: okazało się, że nasz uniwersytet szuka ludzi, którzy zgodziliby się na spędzenie lata w Baoding i prowadzenie zajęć dla studentów. Gratis w pakiecie: opieka nad zesłańcami z wymiany z Korei (Południowej, gdyby byli z Północnej to chyba by się bardziej chciało). W najbardziej kulturalnych słowach i frazach ją wyśmialiśmy, a ona podzieliła nasze podejście i wymieniła kwoty w okolicach budżetu naszej prowincji jako te, które mogłyby ją skłonić do zmarnowania lata 2015 na HFU. Z jedenastu nauczycieli z importu żaden nie myślał nawet ułamka sekundy o tym, żeby zostać tu o chwilę dłużej niż to absolutnie konieczne. Jest to wielki tryumf chińskiego budowania relacji na linii pracodawca – pracownik. Zastanawia nas, czy ktokolwiek z przełożonych zaduma się nad tym, że absolutnie nikt nie chce tu siedzieć ani minuty dłużej niż jest to konieczne.

Jedna z mych naj-naj-najlepszych uczennic opuściła cztery tygodnie zajęć. Gdy się pojawiła, to chciałem ją opierdolić od stóp do głów. Gdy okazało się, że spędziła ponad miesiąc w Japonii, to odpuściłem. Wyznała, że mama pracuje w zielonej energii i miała wyjazd służbowy, więc się podpierała. Co miałem zrobić? Dla moich studentów jakikolwiek wyjazd za granice ChRL jest największym marzeniem. Japonia... To się większości nawet nie śni. Potem mi jeszcze opowiedziała o tym, że Japonia jest kawaii i że nie chciała wracać do Chin, że w wakacje znowu pojedzie i że w ogóle nie chce nigdy wracać. Aż się przeraziłem, bo zamiast aktywnie monitorować uczniów, to mnie tak zagadała, że kilka minut rozmawiałem z nią o tym, że Kyoto, Osaka, Tokyo i jakie sushi jest dobre. W trakcie tejże lekcji mieli sobie wybrać prowincję i ją opisać. Pod kątem klimatu, niczego innego. Z racji płynności tematu, nie upieram się na to, żeby wyodrębniali jony autonomiczne i zgadzam się na termin „prowincja” na wszystko. Powstała i machnęła mowę o tym, że kocha Tybet (nie Xizhan!), bo w Tybecie nie ma Chińczyków, ludzie są kulturalni i cywilizowani. Tak powinny wyglądać Chiny, tam jest tożsamość i świadomość narodowa – skracam to, bo jest dobra, ale nie aż tak dobra, żeby w takich słowach to powiedzieć, ale przekaz był taki. Zaprosiłem ją po zajęciach i powiedziałem, że jednak cztery tygodnie nieobecności będą trochę rzutowały na ocenę końcową, no ale za wkład w lekcje (czytaj: Tybet i Japonię) zrobię, co się da, żeby to było ładnie. Nie doceniłem przeciwnika:



Przez żołądek do zaliczenia. I jaki ładny kot na naklejce zamykającej!

Okazało się, że przywiozła mi białą czekoladę z Japonii. Nawet nie chcę myśleć, ile kosztowała. Swego czasu pytałem u dyrekcji, czy możemy przyjmować prezenty od uczniów. Powiedzieli, że jak chcemy. No chcemy, zazwyczaj jednak wyrazy uznania ograniczały się do mandarynek i jabłek. A biała czekolada... W domu rozkwitłem tysiącem kwiatów, czegoś tak dobrego nie jedliśmy od dawna. Jeszcze mnie przeproszono, że miała dla mnie amulet, ale dała matce i matka zgubiła (głupia pipa...). Chciałbym tylko zrozumieć, czemu przy swoim poziomie wiedzy ma wąsy, niczym dorodny sum.

Sąsiad prowadzi kurs dla studentów anglistyki. Kurs się zwie „Wystąpienia publiczne”. W marcu pozwolili mu wybrać dowolny standard egzaminu. Zajęcia są przeplatanką jego wykładów o proksemice, gestykulacji i przemów studentów na zadane tematy. Zaproponował więc, że ocena będzie średnią z trzech mów wygłoszonych w ciągu semestru. Chociaż usłyszał magiczne „Do what you want!”, to jeszcze w marcu wysłał to do odpowiedniej dyrekcji. Klepnęli. Kolega podpisał umowę ze studentami, klepnęli. W dwa miesiące później dostał info, że się rozmyślili i że musi być egzamin pisemny. Z przemawiania publicznego. Sąsiad się nie ucieszył. Ba, był w okolicach ciężkiego wkurwu, gdy o tym gadaliśmy. Wymyśliliśmy jednak rozwiązanie, póki co klepnięte przez

administrację. Składową egzaminu będzie ocena z mów publicznych, tak jak ustalili w marcu. Jednak finalną będzie ocena z pisemnego testu wyboru. Z tej okazji sąsiad da im test na 20 pytań i odpowiedzi do niego. Jakie to sprytne! Każdy dostanie 100% z testu, ale finalną ocenę będzie miał opartą o swoją średnią z przemów. Czyli wszyscy zdadzą na 70% z okazji trywialnego testu pisemnego, a potem wypadkowa z trzech mów, ocenianych w skali 1-10. System pokonany. Razem z sąsiadem chcielibyśmy jednak zrozumieć: dlaczego zmieniają zdanie co kilka tygodni? W sumie odpowiedź: za ruble, dolary, złoto i kuaie. Jednak nadal jakoś nam nie wchodzi do głów. Niemniej, jego uczniowie będą mieli najwyższą średnią na całym uniwersytecie.

Wspominana i opisywana niegdyś Zoe została naszym łąbędziem Pekinu. Jak? Tak:

- Jej chłopak (prawdopodobnie analfabeta w swoim pierwszym języku – poważnie) – kupił jej naszyjnik z łąbędziem od Swarovskiego. Od tego dnia Zoe nosi dekolty eksponujące ten prezent. Dla pewności, że wszyscy zauważą, wrzuciła foty na portal społecznościowy, przy tym wspomniała personalia darczyńcy. Z tej okazji: łąbędź.
- Zoe jest z Pekinu, ale jej oszałamiający potencjał intelektualny nie dał jej szans na studia tamże. Zoe jednak dba o to, żebyśmy nie zapomnieli o jej ojczystym mieście. Wygląda to tak, że Zoe zostaje wywołana do odpowiedzi o klimat prowincji i jedzie:

– *Jak wszyscy wiemy, jestem z Pekinu. Pekin to stolica Chin. W Pekinie jest Zakazane Miasto...*

– *Zoe! Mów o klimacie, nie zabytkach!*

– *Pekin to najlepsze miasto w Chinach!*

– *Jaka jest zima w Pekinie?*

– *Piękna!!!*

Zaznaczę jeszcze, że pekiński łąbądek zgubił moje formularze, na których miał dokonać oceny naszych zajęć. W zamian podarowała nam gruszki. Oto dialog, jaki odbyliśmy:

– *Dalem ci tydzień temu formularze, poproszę je z powrotem.*

Dostałem trzy formularze i dwie gruszki. Czyli jedna gruszka = 1,5 formularza.

– *Zoe! Dalem ci sześć, a tu są tylko trzy!*

– *Zgubiłam... Proszę, oto prezent dla ciebie* – powiedziała, pokazując na gruszki.

– *Zoe, czy myślisz, że w biurze przyjmą gruszki zamiast dokumentów???*

Poczłapałem do punktu poligraficznego, wydrukowałem kolejne trzy, za drugim podejściem udało się nie zgubić.

Na innych zajęciach rozmawialiśmy o internecie (chińskie książki do angielskiego cechuje pewna powtarzalność tematów). Nakazałem ocenić im negatywne aspekty sieci i opowiedzieć o nich. Zoe wybrała pornografię i machnęła przemowę (na tyle, na ile mogła) o tym, że chłopcy zamiast zajmować się swoimi dziewczynami, to oglądają pornosy i jadą na ręcznym. Kusiło mnie powiedzieć, że współczuję jej życia uczuciowego, które centralizuje się wokół chłopaczka o imieniu Se7en (tak pisanym). Przez jakiś czas nosili identyczne koszulki (Calvin Klein Jeans), a chłopak sprawił sobie wypasiony rower

elektryczny. W porze lunchu można zobaczyć ich, jak jadą wspólnie, Zoe w pozie cesarzowej, przez dziedziniec. Z dormitorium do sali wykładowej mają około trzystu metrów, więc jest to szaleńcza wyprawa, która absolutnie wymaga użycia pojazdu.

Nastaly upały, więc w salach jest cholernie gorąco, oczywiście nie działa część wiatraków, o klimatyzacji można zapomnieć (chyba, że w biurze, tam chodzi 24/7). Jeden ze studentów poinformował sąsiada, że nie ma książki, bo jest tak gorąco, że nie mógł przynieść takiego ciężaru.

Parę miesięcy temu zainstalowano ekran. Nazwaliśmy go ekranem korupcji – mamy podejrzenia, że ktoś związany z uczelnią jest producentem sprzętu audiowizualnego, bo przez cały rok pojawiają się nowe ekrany dotykowe. Na początku się cieszyliśmy, ale potem okazało się, że żywotność ich to około czterech miesięcy – po mniej więcej miesiącu dotyk zaczyna działać losowo, po trzech właściwie nie działa w ogóle. Od lutego wymieniają stare na nowe, które już zaczynają się psuć (w końcu używane ponad dwa miesiące!). Dzięki tym doświadczeniom nie zamierzam kupować sprzętu firmy Sanya w dającej się przewidzieć przyszłości. Inną sprawą jest to, że niedziwne, że się psują – pewnego dnia, gdy coś nie stykało, student postanowił mi pomóc i tak pierdolnął pięścią, że cud, że to nie eksplodowało. Po tej kuracji wróciło do normy, ale miesiąc później poszło na śmietnik. Podobno też okazało się, że uniwersytet ma jakieś środki, które powinien wykorzystać na modernizację sal, a że przez ostatnie osiem lat tego nie używał (pewnie hajs przepuła kadra na bai jiu i piękne kobiety), więc teraz inwestują, w co się da, żeby na kolejny rok dostać tyle samo. Jeżeli zaś chodzi o sam ekran korupcji: uczniowie średnio go lubią, bo informuje on o tym, jak wielkim szczęściem i zaszczytem jest studiowanie tutaj. Wszystkie nagrody wygrywa facet, który opowiada o tym, że dzięki temu, że studiował na HFU dostał pracę w Pekinie i teraz zarabia... CZTERY TYSIĄCE RMB miesięcznie. Chyba mieszka pod mostem albo w dormie pracowniczej przy takim wynagrodzeniu.



Wielki Brat nadaje

Cała akcja „feedback forms” (po polsku „ocena zajęć”) to jedna wielka lipa. Z każdego kursu ma się dostać sześć ocen (można dać jednemu studentowi wszystkie sześć, dla zachowania pozorów prosiłem klasowych monitorów o opinie sześciu różnych osób). Wypełniają to po chińsku, więc nie ma blokady językowej, teoretycznie ja też nigdy się nie dowiem, co mi tam kto popisał (praktycznie idzie się do dziewczyny kolegi). Studenci dostają trzy pytania: co jest dobre w zajęciach, co nie jest dobre, co by chcieli zmienić. Ponieważ Chiny, to wszyscy piszą, że lekcje są arcycudowne i że dzięki nim nauczyli się hektarów angielskiego. Do poprawy? Czasem nie rozumiemy słów, których używa prowadzący. Dostaliśmy wszyscy plus minus to samo. Rozumowanie: jeżeli napiszę, że mój nauczyciel jest zły, to znaczy, że moja edukacja jest zła, stracę twarz, więc piszą, że jest cudownie. Cała sprawa absolutnie nie ma sensu, ale papier musi być, więc jest. No i w tym sezonie dwie gruszki.

Koncepcja zachowania twarzy jest bardzo ciekawa i mogę dla niej znaleźć zastosowani w realiach salonowych. W rzeczywistości uniwersyteckiej może służyć popadnięciu w głupawy samozachwyt – hej, patrzcie, wszystkie grupy kochają moje zajęcia! Większość z nas jednak nie traktuje tego poważnie i nie łązi w skowronkach, że jedna czy druga Zoe napisała, że ubóstwia lekcje, podczas których piłuje paznokcie.

Z racji tego, że standardy są żalosne, postanowiliśmy zrobić im egzamin śródsemestralny. Zajęło nam to tydzień przełomu kwietnia i maja. Około 80 osób przejechałem ustnie, ponad 200 dostało test do pisania. Mieliśmy co robić przez kilka dni. Poszło jak zwykle, ale jakieś 20-30% studentów wydawało się docenić to, że dostało spersonalizowaną ocenę z komentarzem, co mogą bez wielkiego wysiłku poprawić (np. że „much mountain in my city” brzmi nawet fajnie, ale może nie spotkać się z wysokimi notami na egzaminie). Ściąganie i oszukiwanie jest plagą, więc dawałem ujemne punkty, gdy kogoś złapałem na kombinacjach (raczej mało wyszukanych). Dzięki temu dwie osoby skończyły z ujemnymi ocenami. Jest to pewne osiągnięcie, bo nawet moja uczennica-nieboszczka Gao dostała na koniec o.

Ojciec Orybazy – edycja dalekowschodnia

[4.06.2015]

Są różne kółka zainteresowań, jedne jakby banalniejsze i bliższe rzeczom namacalnym, takie w stylu kieleckiego klubu przyjaciół wiolonczeli. Suwałki dla siatkówki. Szachy na krakowskich bulwarach nadwiślanych. Są też kółka nieco bardziej fanatyczne, które oferują monopol na prawdę, życie wieczne i zbawienie. O tym właśnie jest ta opowieść.

Wspominałem, że koleje życia potoczyły się tak, że razem z nami pracują Amerykanie zdeterminowani pewną opcją religijną. Jest to właśnie ta, z którą Amerykę zwykło się kojarzyć, a zwłaszcza stany w stylu Teksasu. Przez wszystkie miesiące ich działalność misyjna przesadnie mi nie przeszkadzała, zapraszali studentów, krążyło trochę historii po kampusie, jeszcze więcej po mieście (koledzy i koleżanki z drugiego uniwersytetu zawsze pytali, co też w kulcie się dzieje, często okazywało się, że wiedzą lepiej). Lekkim dziwactwem było to, że gdy tylko nasi współpracownicy na nas trafiali, to albo ignorowali, albo gadali jak najęci. Okazało się, że i takie zjawisko ma pewne przyczyny: ich stowarzyszenie zabrania im podczas pobytu w Chinach nawiązywania kontaktów z ludźmi innej wiary w celach innych niż chrystianizacja tychże. Mają też nie marnować czasu na konwertowanie białych (szanse na sukces są nikłe) i buddystów (ten sam problem), a koncentrować się na ludności lokalnej. Jakby całkiem fajni ludzie, ale po jakimś czasie już nie mieliśmy złudzeń. Stworzyły się dwa obozy, Amerykanie i reszta świata, i cześć. Ze śmiechem godnym lepszej sprawy wspominaliśmy, jak we wrześniu nas przepytali o opcje światopoglądowe i razem z sąsiadem zadeklarowaliśmy się jako byli chrześcijanie, którzy mają pewne ciągoty buddyjskie. Lepiej trafić się nie dało!

Nawet w kontraktach mamy zapisane to, że powinniśmy brać udział w *English Week* – ciągu rozrywek, które mają sprawić, że studentom niesamowicie podniesie się poziom wiadomego języka. Czekaliśmy na to z mieszanymi uczuciami – z jednej strony trochę ubawu i rozrywki. Z drugiej, ubaw tutaj lubi przybierać barwy bardzo czarnej komedii, a rozrywkę najlepiej organizować sobie samemu (nawiasem wspomnę, że pierwszy raz od jakiejś dekady zacząłem grać w gry komputerowe). Od początku maja nieśmiało pytaliśmy, co też mamy przygotować, czy jest jakiś grafik tego wszystkiego, gdzie i kiedy co się wydarzy. W odpowiedzi padało, że mamy się nie martwić. Akurat gdy słyszę to z ust mej administracji, to mam całkiem w drugą stronę, trochę tak jak ludzie średnio cieszyli się, gdy im Sowietci przynosili najlepszy ustrój świata. Obstawiałem, że zadzwonią w poniedziałek o 20, że we wtorek o 8 mam jakiś program artystyczny.

Okazało się jednak, że i w tym wypadku rzeczywistość przebiła nawet najczarniejsze wizje. Do naszej oazy przyjechało dosłownie całe stado Amerykanów, którzy należą do tej samej organizacji. A nawet do dwóch, bo na potrzeby działania na rynku chińskim stworzono fasadę, która ma stronę głoszącą, że rozwój przez naukę i pozytywne życie. Prawdziwa to coś całkiem innego, w życiu musi być dużo Jezusa, religia jest najważniejsza,

seks przedmałżeński to zło, w miarę wiadomo, jaki jest profil takich organizacji. Zajechali więc, dostali miejsca w hotelu pracowniczym (który akurat jest w tym samym budynku, co nasze mieszkanie) i rozpoczęli działanie. My zostaliśmy całkowicie wykluczeni. Do tego stopnia, że na nasze powitania i „jak leci?” nie padały żadne odpowiedzi. Każdy starał się pokazać innym współwyznawcom, że po prostu za nic nie nawiązuje kontaktów z nikim z nas („nas” rozumianych jako szóstka osób z czterech różnych krajów i w różnym wieku). Wychodziło nieco chamowato, zwłaszcza dlatego, że większość obcokrajowców po mieszkaniu w Chinach przez jakiś czas staje się bardzo przyjazna ludziom, którzy akurat Chińczykami nie są. Odpada bariera językowa, przybywa tematów do rozmów, miejsc do wyjścia. Z czymś takim nie spotkał się nikt z nas, ale wiedzieliśmy co i jak, więc sprawę olewaliśmy. Trochę tylko ciężiej jęknęliśmy, gdy rozłożyli swój wieczorny obóz przed naszym domem i grali w wersję gry w krzeselka. O ile zapału mieli dużo, o tyle doświadczenia już znacznie mniej, bo chiński student może się czymś takim interesować do 10 minut. Po 30 minutach słuchania okrzyków o tym, że teraz biegna ci, którzy noszą okulary, na zmianę z tymi, którzy kochają angielski, sami mieliśmy ochotę wstać i pobiec bardzo daleko. W zamian zaprosiliśmy bliższych nam światopoglądowo nauczycieli i spędziliśmy wieczór w naszej kuchni, z widokiem na psycho-teatrzyk, piwem w ręce i okrzykami lidera sekty zamiast jakiejś bardziej nastrojowej muzyki.

W sobotę rano zrobili kolejną imprezę, już o 10. Gdy robiłem sobie kawę, oczy me ujrzały stado około czterdziestu studentów. Wypatrzyłem szybko znanego mi, zadzwoniłem i odbyłem rozmowę o myśli przewodniej: co wy dzisiaj robicie? Okazało się, że idą na spacer po kampusie. Mimo wczesnej pory dnia, słońce dawało solidnie i widać było pewne zmęczenie materiału. Zaprosiłem na kawę i śniadanie, ale odparł, że nie może. Przyszła więc góra do Mahometa, poszedłem wyrzucić śmieci i rozpocząłem rozmowy ze znanymi mi żakami. Po paru minutach pojawiła się moja przełożona, oczy zrobiła jak monety pięcio-jiaowe i zaczęła pytać, co ja też robię. Wyznałem jej zgodnie z prawdą, że mieszkam tutaj i wynoszę puszki po piwie. Być może to przez moją przemowę do studentki zadzwonił do mnie, to ci powiem, po kiego cały ten cyrk jest i co to za *English Week*, oczy jej powiększyły się do rozmiarów jedno-yuanówek. Sekta wyszła, poszli sobie, chyba solidnie skonfundowani tym, że się tam zaplątałem.

Gdy w poniedziałek po zajęciach byłem w szkolnym markecie, w ciągu 10 minut zapytano mnie jedynie trzykrotnie, dlaczego nie biorę udziału we wszystkich zabawnych zadaniach. Zaczęło być to irytujące. Po prostu, nie powiedzieli studentom, że nas nie zapraszają, a co więcej: nam nie wolno, tyle że nam się nie chce i że my ich nie lubimy. Wieczorem dostałem jeszcze smsa z pytaniem, co to za organizacja i zacząłem przechodzić z irytacji w rejony określane zwyczajowo mianem wściekizny.

Kolejne dni przyniosły rozwinięcie opisanej sytuacji: myślałem, że spytam starego Amerykanina, czy postanowił iść w ślady Josefa Fritzla, gdy usłyszałem, jak mówi do pewnej studentki „my little sister”. Stary, ona ma, kurwa, 20 lat. A ty z 60! Nie jest żadną twoją siostrą, a ty z chuja spadłeś, że szwendasz się po kampusie na końcu świata. Zamiast tego powiedziałem „Good morning”, które i tak olano.

Jeszcze w środę dostaliśmy maila, że może chcemy jechać na Wielki Mur. Do Badaling. Do mniej zorientowanych w temacie: to jak zaproszenie do Zakopanego na Krupówki. I tylko tam, nawet nie do Doliny Strążyskiej. Już nawet nie mówiąc o tym, że miałem tego dnia uszczęśliwić zainteresowanych moim wykładem. Od biedy mogłem to przełożyć, ale chciałem mieć z głowy. Do tego średnio chciało mi się wydać na wstęp do najnudniejszej i najbardziej skomercjalizowanej części Wielkiego Muru, gdzie byłem dwa razy, więc podziękowałem. Wybrana elita (najlepsi uczniowie ze wszystkich grup i wspólnota) wybyli. Przynajmniej jeden dzień bez słuchania ich radosnego popierdywania pod oknami.

Moja anielska cierpliwość uznała, że już jej wystarczy, gdy dostałem smsa od jednej z moich najlepszych uczennic, w którym to pytała, dlaczego nie pojechałem z nimi. Wlażłem na QQ, i wbiłem, że mam serdecznie dosyć bycia pytanym po dwadzieścia razy dziennie o to, czemu ja nie jestem taki fajny i czemu mnie z nimi nie ma. Nie ma, bo nie mogę, bo nie należę do organizacji religijnej i nie wolno mi przychodzić na te eventy. Siła posiadania jakichś 900 znajomych (w tym przełożonych) spowodowała, że wiadomość dość szybko rozniosła się po kampusie. Wkurwiła mnie jakaś cipa, która napisała, że wobec takiej sytuacji, to ona mi wybacz. Odpisałem więc, że cała impreza jest nielegalna, że przyjechałem ich uczyć, a nie nawracać i że życzę miłego dnia. Nielegalna? Ano tak. Żeby móc wejść do jakiegokolwiek klasy w Chinach, musisz być na wizie pracowniczej. Zdobycie tejsze to przy zwyczajowym układzie gwiazd miesiąc. Nam ostatnio zajęło około pięciu tygodni. Więc nie, nie sądzę, że grupa amerykańskich emerytów, która wbija tu na jakieś 10 dni, bawi się w całą procedurę. Ba, żeby ją dostać, dobrze mieć parę certyfikatów, których pewnie nie mieli (przeważająca większość Amerykanów uważa, że skoro angielski jest ich pierwszym językiem, to są profesorami uczenia ww. języka, więc oni jakichś tam kursów robić nie będą, efekty tego widzę częściej, niż bym chciał).

W okolicach godziny 15:40 pojechałem na wykład, na który mi przyszło osiem osób. Ku memu wielkiemu zaskoczeniu, wszystkich interesował, pojawiły się nawet jakieś zapytania, a jak pytałem, czy znają termin Wuxia, to mi podali niemal podręcznikową definicję. Wylazłem w skowronkach, żeby wpaść w ramiona siedmiu studentek.

– *To straszne! To skandal!!!* – rzuciła jedna z nich. – *Jak można było was tak potraktować!!! Ja do końca świata będę nienawidziła Amerykanów.*

W czasie, gdy próbowałem wyjaśniać, że to nie o to chodzi, że jednostka nie determinuje światopoglądu całej nacji, zwłaszcza w kraju tak pluralistycznym jak USA, ona stwierdziła:

– *Muszę cię przytulić, bo na pewno czujesz się taki samotny!!!*

W okolicach godziny 17:10 dnia 28 maja stałem w objęciach dość filigranowej Chinki na środku głównego budynku wykładowego. Myślałem tylko o jednym: jak ktoś machnie zdjęcie, to ksiądz Gil będzie w lepszej sytuacji niż ja. Panna w jakichś tiulowych, zwiewnych gaciach, ja z moim nieogolonym ryjem (lokalni nie mają za wielu włosów na twarzy, więc podobno mam szacun za to, że ja mam i trzymam to w miarę w ryzach – w sensie podgalam co rano). Do tego ja mam mieć z nią egzamin za jakiś miesiąc

z kawalkiem. Jaja jak globusy.

Okazało się, że to dopiero kwiatuszki, jagódki były potem: początkowo cała delegacja była żeńska, potem przyszedł jeden chłop. Co jakiś czas padano mi w ramiona, żeby mnie pocieszyć. Spędziłem jakieś dwie godziny, rozmawiając o wszystkim. Przyznam, że po jakichś dwudziestu minutach stwierdziłem:

– *Profesjonalizm profesjonalizmem, zdystansowany mędrzec zdystansowanym mędrce...* Jebać to!

Zacząłem z nimi gadać jak z dorosłymi. Nie dorosłymi Chińczykami, ale dorosłymi ludźmi – bez konotacji rasowej, tylko gdy rozmawiam z moją przełożoną, która jest ode mnie starsza, to pewnych rzeczy nie mówię, bo wiem, że jak powiem, to ona straci twarz, zamknie się w sobie, obrazi się, niczego nie załatwię itp. Im mówiłem. Spędziłem dwie godziny, opowiadając o milionie rzeczy. Prawie się poszczałem po nogach, bo tak dobrze mi się gadało, że nie chciałem przeproszać na łazienkę. Po drodze przyszedł Sheldon z matką, która akurat nie siedziała z tyłu, a go odwiedzała. Sheldon jest najwilgotniejszym marzeniem każdej studentki, więc to, że on tu jest ze mną, matkę przyprowadza, no dało mi to plus jakieś 50 do nieogolonej twarzy. Zaprosiliśmy całą gromadkę na imprezę na piątkowy wieczór. One się prawie popłakały ze szczęścia, a i mnie daleko było do depresji.

W domu zastała mnie wiadomość od ucznia: że on dobrze wie, kim są Amerykanie. I że jakby co, to mam wsparcie wszystkich chińskich studentów z ich grupy. Naj-naj-naj lepsza grupa z całego uni. Class monitor. Gdy mu podziękowałem za wsparcie, dostałem pytanie:

– *Czy uważasz, że Amerykanie mają prawo uczyć Chińczyków religii? Przecież my mieliśmy różne religie setki lat przed tym, zanim ich kraj powstał.*

Odpisując na to, po raz pierwszy wykorzystałem chiński nacjonalizm i wiarę w 5000 lat historii. Popisałem też do innych, tych, którzy tego dnia pojechali na Mur, że piątek, 19:30. Jedni napisali, że tak, inni że nie mogą. Okazało się, że w ciągu tego semestru zapoznałem tyle osób, że wytłukłem prawie całą kartę na ten miesiąc (w pierwszym semestrze przepadało mi z łoskotem ponad 50% kredytu).

W piątkowy poranek lekcję Aligatora przejęli nawiedzeni i mówiący językami. Poinformowali mnie o tym dwa tygodnie wcześniej. Nie, nie ma tu błędu zaimków: przyszli do mnie i sprzedali newsa, że wezmą na siebie te zajęcia i że bym powiedział.

– *Dobrze, mogę przekazać* – rozmowa odbywała się pośrodku dziedzińca, Aligatora nie było w zasięgu wzroku. Jednak dwa i trzy dni później dalej mnie pytali o te zajęcia, zaczęło mnie to nieco irytować. Gdy trzy dni później podeszli z tym samym tematem, kulturalnie odesłałem ich do żeńskiej części naszego duetu. To jest jej lekcja, nie moja. Nie, nie poryczy się, że będzie miała o jeden blok mniej z Zoe, ale gadaj z nią, nie ze mną. Jeżeli chcesz moje zajęcia, to bierz i wtedy gadaj ze mną. No nie chcieli.

Przyszli potem jeszcze dwa razy. Zawsze do mnie. Czy ja, kurwa, jestem, plantatorem, a ona u mnie bawełnę zbiera??? Tak, mogę przekazać, ale mieszkacie w tym samym budynku, co my. Każdego dnia po 19 możecie to omówić, a nie „to powiedz jej,

że...”. Nie posłuchali.

W końcu wspomnianego już piątkowego poranka do sali wbili fanatycy w liczbie dwóch, i w takim też rozkładzie płci. Lekcję mieli napisaną przez kogoś. Na papierze była w porządku, ale dana do robienia ludziom bez doświadczenia, jebła nieco. Ekipa była w ciężkich nerwach. Mieli pięć ćwiczeń na 100 minut. Próbowali zmusić ludzi do powstania z miejsc, ale nie potrafili. Dopiero po chwili zrozumieli, co się dzieje, gdy nakazesz wstać pięćdziesięciu osobom i spróbujesz ustawić je na środku sali o szerokości czterech metrów. Centrum okazała się być przemowa o tym, że każdy ma prawo do wolności religijnej. Potem mieli blok fonetyczny, który sprowadził się do tego, że najlepsi uczniowie się pogubili. Na koniec rozdali cukierki i koszulki. Z AMERYKI!!! Jedna z uczennic nie wytrzymała i krzyknęła „FOR KIDS!!!”. Gdy misjonarze sobie poszli (10 minut wcześniej, niż powinni), Aligator mówił, co będą mieli za tydzień i co mają przygotować. Podeszła do niej Zoe. Wręczyła jej garść cukierków zebranych z całej klasy. Z AMERYKI!!! Szkoda, że perkalu i paciorków nie przywieźli. Piątkowa impreza dziko epicka nie była, za to dość kameralna. Jeszcze zanim się zaczęła, dostałem wiadomość: *Jesteśmy wszyscy zmuszeni, żeby iść do sali gimnastycznej, bo English Week robi show.*

Ucieknę, gdy tylko będzie się dało.

Dało się dość szybko, taka natura tych wszystkich spędów, że ludzie wpisują się na listę, a potem znikają. W imię współczucia dla tego, co miało miejsce, niemal wszyscy przynieśli nam prezenty. Papierosy od mego byłego studenta, arbuz, liczi, apaszkę, słodycze. Nasi podopieczni muszą być w dormitoriach przed 23. Siedzieli do 22:45. Gdyby zostali chwilę dłużej, musielibyśmy oddać im nasze sypialnie. Matka Sheldona przywiozła Jaegermeistera, ich interesował średnio, nas bardziej. Gdy solidnie spóźniona wpadła Ciara, to moi studenci zemdleli z wrażenia, bo nie mają z nią zajęć, ale słyszeli, że jest na stanie taka piękna, długowłosa blondynka (pewnie też o tym, że ma cycki, ale tego nie mówili). Gdzieś koło 22, gdy Jaegermeister wchodził w fazę dogrywki, a tematy się zagęszczały wokół religii i organizacji, padło pytanie czemu my nie jesteśmy tacy jak „oni” – w wiadomym rozumieniu. Sheldon machnął szybką przemowę:

– Lubimy was, bo was lubimy za to, że jesteście kim jesteście. Nie chcemy, żebyście cokolwiek dla nas zmieniali. To jest cała różnica.

Cyrk skończył się w sobotę. Misjonarze oddalili się w stronę pekińskiego lotniska. My zostaliśmy ze stygmatami nefajnych nauczycieli, którzy nie dają nikomu koszulek i cukierków. Ha, tyle że nie! Cały ten cyrk sprawił, że wcale niemało osób postanowiło zostać naszymi przyjaciółmi nieco bardziej. Lep propagandy religijnej tych na pewno nie zainteresuje. Myślę też, że kolejna tura misjonarzy (Amerykanie rekrutują na wrzesień) nie będzie miała łatwiejszego zadania. Liczyłem na to, że żyjąc w Chinach, będę mógł sobie skreślić z mojej listy przynajmniej ten problem, którym jest wszechobecność kościoła w życiu w Polsce. Okazało się, że go sobie zamieniłem na jakąś dziwną odmianę nowonarodzonego chrześcijaństwa, które jako efekt uboczny swej działalności dyskredytuje mnie w oczach moich studentów. Biedne te Chiny, jak nie komunizm, to amerykańscy misjonarze.

Another Brick in the Wall

[10.06.2015]

W oparciu o rozliczne doświadczenia, na które składają się zarówno lekcje, jak i prywatne rozmowy ze studentami, dzięki nadludzkemu wysiłkowi i pracy wielu jednostek, udało nam się odtworzyć typowe curriculum chińskiej szkoły podstawowej i średniej. Na potrzeby tego wywodu przyjmujemy, że semestr ma piętnaście tygodni. Oto zakres omawianych tematów:

1. Japońskie ludobójstwo w Nankinie w 1937 roku;
2. Patrz wyżej;
3. Kolonizacja Ameryki Północnej przez imigrantów z Europy. Szczegółowy opis procesu wynarodowiania poszczególnych grup etnicznych;
4. Koce z ospą – Ameryka Północna w XIX wieku;
5. Tureckie ludobójstwo Ormian;
6. Kolonizacja Australii, rzeź Maorysów i Aborygenów;
7. Imperialna polityka Wielkiej Brytanii wobec ludności Indii;
8. Włoska ekspansja w Libii w latach 30. XX wieku;
9. Francuzi w Algierii – ludobójczy charakter okupacji Afryki Północnej;
10. Realia Afryki Południowej poprzez pryzmat doświadczeń Nelsona Mandeli;
11. Oświęcim jako modelowy przykład polskiego Holocaustu;
12. Łamanie praw Romów w świetle stalinowskiej konstytucji 1952 roku;
13. Mahatma Gandhi – tłumszony przez białych Brytyjczyków bojownik o wolność ludów Indii.;
14. Srebrenica dowodem na zgniliznę świata Zachodu.

Kurs kończy się egzaminem w formie przedstawienia teatralnego: uczniowie odtwarzają (możliwie najdokładniej) uroki grudnia 1937 roku w Nankinie. Tytułem pewnego wyjaśnienia: nikt się tak nie troszczy o np. Aborygenów lub Indian w Kanadzie jak Chińczycy. Wprawdzie mają zerowe pojęcie o tym, co dzieje się w ich kraju, jak fantastyczną politykę prowadzi Pekin wobec Ujgurów OBECNIE, ale za to z pasją potrafią opowiadać o tym, jak strasznie Australijczycy traktowali Aborygenów i Maorysów sto lat temu. Chińska polityka wobec mniejszości etnicznych sprowadza się do asymilowania ich, z ewentualnym przyzwoleniem na to, żeby nosili fajne, kolorowe czapki, ale niech się z językami nie wygłupiają, ma być mandaryński. To, że w niemal dokładnie tym samym czasie, gdy Wielka Brytania wychodziła z Indii, oni weszli do Tybetu, to drobiazg, o którym nie wypada wspominać. To, że kraje takie jak Australia i Kanada wydają pieniądze podatników, by dbać o mniejszości etniczne i ich języki? Drobiazg, o którym nie warto nawet wspominać. Potem zaś ja dostaję studenta, który jest święcie oburzony tym jak strasznie świat Zachodu eksploruje Azję i Afrykę. Ponieważ w jego świecie istnieją trzy kraje (Chiny, Japonia i USA), zostają automatycznie beneficjentem wszystkich możliwych zdobyczy kolonizacji, wliczając w to Portugalczyków w Malesji i Holendrów w Indonezji.

[22.06.2015]

- Nasza Irlandka spełnia wszystkie możliwe i niemożliwe ideały piękna, zwłaszcza w oczach chińskich studentów. Wysoka, dobrze zbudowana, hojnie obdarzona przez naturę, blond włosy, niebieskie oczy. Ofert małżeńskich miała już parę hektarów, ale po jakimś czasie większości udało się zrozumieć, że niestety, za wysokie progi. Pewien młodzieniec wpadł więc na inny pomysł. Gdy piątkowego wieczoru skończyła lekcje w okolicach godziny 18:30 i rozpoczęła opuszczanie budynku, spotkała chłopca, który na jej widok tak się ucieszył, że opuścił spodnie i zaczął się żywiołowo masturbować. Nie przekonał jej tym samym do siebie, uciekła z wrzaskiem, zadzwoniła do Aligatora z „Chryste panie, co robić???”. Ustaliliśmy wspólnie, że należy dać cynk przełożonym. Wysłała więc maila, w którym opisała całą sytuację. W odpowiedzi otrzymała: „To straszne. Miłego weekendu!”. Nie do końca takiego rozwiązania sprawy oczekiwała. Napisała więc innego maila, tym razem do swojej placówki w Irlandii, że prosiłaby o jakieś wsparcie i pomoc, bo jakby nie uważa, że problem rozwiązano. Tamci do incydentu podeszli poważniej. Od dwóch tygodni trwa umawianie spotkania, żeby sprawę rozwiązać. Strona chińska zmieniała datę spotkania zaledwie CZTERY razy. Zapisu z kamer użyć nie chcą. Przecież wtedy mogłoby się okazać, że to jakieś dziecko bogatych rodziców postanowiło sobie tak ulżyć. I co wtedy? Przecież wyrzucić ze studiów nie można. Zastanawia nas, co musiałby student zrobić, żeby za sprawę wzięto się naprawdę. Chwycić ją za tyłek? Za biust? Próbować całować? Zgwałcić? Wtedy też napisaliby, że życzą miłego weekendu? Wspomniany irlandzki współpracownik naszej placówki naukowej potraktował sytuację nieco poważniej. Sprawie naszej koleżanki pomógł kontyngent chińskiej młodzieży wysłany do zamorskiego kraju. W ciągu ostatnich paru tygodni nasi studenci osiągnęli niemało. Po pierwsze, dziewczyna została pobita przez inną. Agresor(ka) została wezwana przed oblicze jakiejś irlandzkiej rady wydziału i zapytana o cały incydent. Tam bez najmniejszej żenady powiedziała, że mogą jej skoczyć, bo nie mają żadnych dowodów. Zapewne chciało jej się powiedzieć też, że *THIS IS CHINA!* A jak się nie podoba, to sobie możecie wyjechać! Jednak powyższa fraza mogłaby się słabo sprawdzić w Irlandii, więc chyba nie padła. Irlandzka uczelnia wyciągnęła jednak wnioski i zainwestowała w kamery. Oplacało się, bo już w kilka dni potem mogli nacieszyć się materiałem filmowym pt. *Wielka chińska draka w irlandzkiej stolicy*. Tym razem wydarzyło się tak, że jakieś dziewczę zwodziło samca dobre kilka tygodni. Chłopak płacił jej za żywność, prasował ubrania, nosił książki, zabierał na randki wszelakie. Po jakimś czasie zaczął upominać się o gratyfikację w formie cielesnej. Pani powiedziała mu, że niestety, ale jest zajęta. Poprosił o wyznaczenie terminu na rozmowę o tym, kto powinien być jej chłopakiem. Dziewczę tak naprawdę nie

miało nikogo, więc uznało, że wyjściem z sytuacji będzie znalezienie jelenia. Poszła do biblioteki, zagadała pierwszego spotkanego Chińczyka i umówiła się z nim na randkę o 6 przed wejściem. Szczegółami spotkania podzieliła się też z absztyfikantem, którego chciała spławić. Wiosenny dzień w Dublinie. Uniwersytet. Idylla. A o godzinie 18 spotyka się dwóch Chińczyków, jeden drugiemu spuszcza sromotny wpierdol, do etapu, że tamten traci kontakt z rzeczywistością. Rodzice młodego Mandaryna-agresora zostają wezwani. Lecą kilka tysięcy kilometrów z kraju *yazi* do prymitywnej Irlandii. Tam próbują wręczyć parę tysięcy RMB uniwersytetowi i policji. Nie udaje się. Dziecię zostaje wydalone, a rodzice jadą do ChRL z przeświadczeniem, że Europa to pojebany kontynent, bo za parę RMB nie da się normalnie załatwić sprawy, a do tego jeszcze jakieś kamery mają. To nie dość okrutnej niesprawiedliwości, z którą nasze uczennice się zetknęły: za incydent, w którym udział bierze policja, traci się prawo do dyplomu z zamorskiej placówki naukowej. Coraz więcej z nich jedzie tam, wypuszczeni spod opiekuńczych skrzydeł rodziców i uniwersytetu dostają lekkiego odjazdu i zachłyśnięcia wolnością, potem coś odstawiają i mają powrót do Chin przed terminem. Błagałem koleżankę, żeby im napisała, że wysyłamy tam absolutnie najlepszych studentów, że jakieś 80-90%, które tu mamy, to są dopiero okazy, jaja i cuda. Jednak nawet te elitarne 10-20% rzucone na realia międzynarodowe powoduje popłoch, przerażenie i interwencję policji.

- Ponownie spóźniła nam się wypłata. Tylko dwa tygodnie. Jest pewien progres, przecież wcześniej to i o miesiąc im się zdarzało. Mielśmy dostać pieniądze 15 maja. Dostaliśmy 29. W trakcie rozlicznych rozmów dowiedzieliśmy się, że to nasza wina. Bo Chińczycy mają normalne imiona, do czterech znaków. A ty sobie przychodzisz z imieniem na ponad dziesięć liter. Na uwagi „hm, pracujemy tu od paru miesięcy, nasze personalia są wam wszystkim znane”, powiedziano, że nam wybaczą i że możemy zachować swoje długie imiona. Mimo naszej ewidentnej winy, że nazywamy się np. „Karolina”, a nie „Gao”, to oni nam i zapłacą. A tu jest pierścień do całowania w podzięce.
- Z cyklu życzliwi donieśli: jeden z chińskich nauczycieli jadł sobie lunch ze studentem. Był łaskaw poinformować go, że jego zdaniem wszyscy nauczyciele z zamorskich krajów są gównem warci, nie powinni tu pracować i niczego nie potrafią. Z dwoma wyjątkami: mnie i Aligatora. Mimo takiej nobilitacji poczuliśmy się solidarni z innymi i dopisaliśmy się do listu numer siedemdziesiąt dwa do pani rektor. Chcieliby to przedyskutować. Tak bardzo, że już kolejny tydzień nie mają terminu dla najbardziej zaangażowanych i wymienionych z imienia i nazwiska. Co do jakości pracowników, nasz chiński współpracownik ma w sumie rację. Sam też nie dostaję spazmów radości, gdy widzę, że jeden z naszych kolegów pokazuje uczniom trylogię *Toy Story*, ale nie do końca winię jego, a bardziej uniwersytet, że zatrudnia klaunów, którzy NIGDY niczego nie uczyli, nie są w stanie odróżnić rzeczownika od czasownika, o nazywaniu czasów nawet nie mówię, ale mają blond

włosy i amerykański/kanadyjski/australijski paszport. Widziałem już dość wiele, ale za każdym razem mam ochotę krzyknąć jednemu i drugiemu: „stary, ty kurwa nie jesteś żadnym nauczycielem, ty jesteś idiotą!”. Pewnego dnia mój kolega wypuścił wszystkich po 50 ze 110 minut lekcji, bo jest piątek i oni są zmęczeni. Wodzu, rodzice tych ludzi płacą ci pieniądze, żebyś ich uczył, żebyś wbił im do głowy język, który w tych realiach jest potrzebny do dostania lepszej roboty. Masz lekcje w piątek, bo piątek to normalny, pracujący dzień tygodnia. Efekty są takie, że ich nie ma. Dochodzą do tego Amerykanie, którzy w imię szerzenia Jezusa nie sprawdzają obecności na zajęciach, egzaminy robią na poziomie przedszkola i wszystkim dają oceny w stylu 90-100 za absolutnie nic. Bo przecież inaczej ich nie będą lubili i nie dadzą sobie wbić do głowy jedynej słusznej wiary. W tym semestrze mam dwie grupy po moim australijskim koledze i dwie po amerykańskim. Pierwsze są nauczone pracy, mają książki, wiedzą, że z klasy można zostać usuniętym, wiedzą, że lista będzie sprawdzana i że egzamin nie jest formalnością. Nie jest też rzeźnią, ale jednak coś trzeba na nim zrobić. Bajki tam nie ma, ale przynajmniej nie spędzam czasu na tłumaczeniu im, że mają coś zrobić. Grupy odziedziczone po Amerykaninie? Uczniowie zaskoczeni, że nie można przyjść, dostać obecności i iść sobie z powrotem do dormy. Inny szok: nie, nie dostaniecie całego egzaminu. Tak, ten kurs można uwalić. Trzeba się postarać, ale da się. Nie, ja nie uważam, że każdy jest dzieckiem wspaniałego Boga i z tej racji nie można mu robić krzywdy, czyli uwalić egzaminu. Nie, nie będziemy oglądać filmów. Tak, dostałeś 0/10 punktów, nie nauczyłeś się tu absolutnie niczego i wróżę, że oblejesz egzamin. Nie, nie zaśpiewam wam piosenki i nie pokażę zdjęć z wakacji, chociaż wiem, że w poprzednim semestrze była to dość powszechna praktyka.

- Nasza irlandzka koleżanka ma kilka lat mniej niż my. W efekcie wielu osobom wydaje się, że jest z nią łatwiej niż z nami, więc informują ją o trudnych sprawach. W tym sezonie Amerykanie spod znaku Jezusa wysłali reprezentantkę. Ta wywalila monolog rodem z książki do coachingu, tom pierwszy:
– *Bo wiesz, my chcielibyśmy się z wami przyjaźnić, ale wiemy, że wy nas nie lubicie.*

Stawianie sprawy w ten sposób powinno powodować, że zaczynasz się usprawiedliwiać i przepraszać, że oni odnieśli takie wrażenie. Przez ostatnie dziesięć miesięcy NIGDY żadne z nas nie odważyło scen. Zapraszaliśmy ich do nas, a oni nigdy nie odpowiadali. Oni zaś NIGDY nas nie zaprosili, a widywaliśmy, że odchodzą balety. Mówienie, że coś z naszej strony poszło nie tak, jest czystą bezczelnością. Ale *TIC*, *This is China*, a także *This is Christianity*, więc działamy według nieco innych reguł niż w świecie cywilizacji zachodniej. Więc nasza Irlandka nie kazała tej piździe iść sobie pobiegać, tylko rozpoczęła udowadniać, że deszcz pada na ziemię, a nie fruwa z niej pod niebiosa. W efekcie odkryła, że nasi amerykańscy misjonarze dostają nieoficjalne nagrody za szerzenie Jezusa. Poważnie. W Chińskiej Republice Ludowej, która absolutnie zabrania indoktrynacji

religijnej, w jednostce uniwersytetu krajowego, członek Komunistycznej Partii Chin wypłaca pieniądze ludziom za to, że trudnią się działalnością zabronioną prawnie. Mieszkam tu już trochę i parę jaj widziałem, ale to wygrywa wszystko. Chociaż pewnie za tydzień odkryjemy coś jeszcze fajniejszego, w końcu obłęd nie jest sankcjonowany ani ograniczany żadnymi przepisami.

- Nasza irlandzka koleżanka przyniosła jeszcze innego newsa: dowiedziała się od studentów, że nasi koledzy z USA OSTRZEGAJĄ ich przed przychodzeniem do naszych mieszkań. Mówią, że ponieważ nie wierzymy w Boga, to istnieje ryzyko, że podamy im narkotyki, a potem ich zgwałcimy. To jest wspaniałe! Chłopak z USA, który ma lat 21, zero doświadczenia w uczeniu, a w ramach lekcji pokazuje uczniom filmy Disneya, będzie opowiadał za moimi plecami moim studentom, że czyham na ich cnotę, bo w jego popierdolonym światopoglądzie każdy, kto nie oddaje czci Jezusowi, jest degeneratem, narkomanem, alkoholikiem i bandytą. Oczywiście gdy mnie spotyka, to jest moim wielkim przyjacielem. Chciałbym o tym gdzieś donieść, ale dowiedzieliśmy się też, że nasza rektor należy do tej sekty. Wiem, że Chińczycy są pragmatyczni, ale jednak przynależność do Partii i do kościoła chrześcijańskiego to pewne novum. Nasza rektor pewnie ma tak:
 - 15-16 spotkanie Partii. Opierdolić kościół.
 - 17-18 msza. Potępić Partię.

Co ja się dziwię, że ogół ludności tutaj jest deko ekscentryczny, skoro dochodzi do takich sytuacji. Ileż to musi wymagać myślenia i kombinowania, żeby sobie jakoś wytłumaczyć zaistniałą sytuację i nie pluć w lustro podczas porannej toalety.

- Kwestia kluczy to temat-samograj: dostaliśmy jeden na dwie osoby, więcej nie ma, dorobić się nie da. Teoretycznie by się dało, ale gdy facet montował drzwi, to mu uniwersytet zapomniał zapłacić, więc się nieco obraził i nie bardzo chce tu przychodzić, a nikt inny klucza dorobić nie potrafi, bo jest kodowany w jakiś magiczny sposób. Nasze życie za łatwe nie jest, bo musimy się zawsze umawiać, kto bierze wytrych do sezamu, ewentualnie spotykać i przekazywać go sobie, sytuacja daleka od idealnej. Jeżeli klucz się zgubi albo zatrześnie w mieszkaniu, wówczas dzwoni się, przychodzi pan, otwiera, bierze 180 RMB i życzy nam miłego dnia. Jest jasne, że mając tyle osób, ktoś w końcu klucz zgubi. Jakies trzy tygodnie temu przydarzyło się to naszemu koledze. Od trzech tygodni nie może zamknąć mieszkania, jeżeli w nim nie jest, więc wyniósł wszystkie cenne rzeczy do swojej partnerki, a sam w domu nie ma nic. Chcąc gdzieś iść, musi blokować zamek i zostawiać otwarte. Co jakiś czas wiatr otwiera drzwi na oścież i można nacieszyć się widokiem jego mieszkania. Są robione zakłady, czy przed końcem roku to naprawią.
- Nadszedł dzień, w którym studenci paru kierunków kończą przygodę z Hebei Finance University. Na pewno będą ryczeli w rękaw i poduszkę, no ale nie ma opcji, żegnamy was, alleluja! Z tej okazji wymyślono galę pożegnalną. Burdel okolicznościowy przebiegał niemal wszystko, z czym się tu zmierzaliśmy. Przez

dziesięć dni mieliśmy przygotowywać program artystyczny. Napisałem scenariusz solidnie chujowego skeczu, żeby było cokolwiek. Ponieważ nas nie cisnęli, to sobie pozwoliliśmy nie męczyć się przesadnie, do tego miałem ponad sto osób do przegzaminowania i nie szukałem sobie dodatkowych zajęć. W dniu gali spotkałem kierowniczkę, która to zapytała mnie, co zrobię wieczorem. To, że się będę drapał po jaju i oglądał jakiś film europejski nie wygrało mi wielu punktów, ale nawet tu dwie rozsądne osoby się rozumieją, więc okazało się, że ona pierdoli galę i w sumie nie ma problemu, jeżeli my zrobimy to samo. Z lekkością serca powiedziałem, że ja też. Chwilę potem dowiedziałem się od studentki, że ona też, bo kazali jej grać na klawirze. Uczyła się swego czasu gry, ale nie lubi tego, nie potrafi za dobrze, niemniej z całej grupy jest jedyną osobą, która ma jakiegokolwiek pojęcie o klawirze, więc wygrała występ solowy na klawirze (nie żałujmy sobie tego słowa). Okazało się więc, że wszyscy mają galę w rzuci, że publiczność jest tam zaganiana na siłę i jest lista obecności, a występujący modlą się o koniec. Poszliśmy pooglądać to niesamowite wydarzenie kulturalne. W sali gimnastycznej było pod 40 stopni, po dziesięciu minutach podziękowaliśmy sobie i gadaliśmy z uczniami przy wejściu. Chyba nasi amerykańscy misjonarze zrobili z siebie kretynów w ramach poświęcenia się dla uniwersytetu. Występ na klawirze wyszedł świetnie, puszczono muzykę z playbacku, moja studentka powstała z instrumentem, dostała brawa i tyle. Kto, po co i dlaczego to wymyśla? „Ważni ludzie” – dowiedziałem się. Tak więc setki osób marnują czas, robią coś, czego nie chcą i czego nikt nie potrzebuje, bo jacyś enigmatyczni ważni ludzie tak zdecydowali. Mityczni ważni ludzie są też odpowiedzialni za kłopoty z egzaminami, za braki formularzy, chaos związany ze świętami. Niestety, nie wolno nam z nimi porozmawiać, bo są zbyt ważni. W tym wszystkim najbardziej intryguje mnie, czy nieboszczka Gao otrzymała podczas gali dyplom ukończenia studiów, czy też w jakieś siedemnaście miesięcy po jej samobójstwie w końcu pogodzono się z tym i skreślono ją z listy studentów.

- Z racji końca semestru należało przygotować egzaminy. Swoje mam gotowe od mniej więcej kwietnia, potrzebowałem tylko daty, żeby je przeprowadzić. Dwie grupy udało się załatwić bez bólu, z pozostałymi wyszło nieco ciężiej. Podano terminy, przekazaliśmy je studentom. Panika, strach i popłoch, dostali egzamin w dniu, kiedy mają najważniejszy dla nich przedmiot, z księgowości. Do szefostwa. Trzy dni nie odpowiadania na maile i smsy. W końcu ludzie zaczęli nachodzić biuro. Łaskawie zmienili. Wszystko zajęło około sześciu dni. Dla mnie, bo dwie osoby chodzą TRZYNASTY dzień i tłumaczą, że z różnych powodów nie mogą mieć egzaminów w podanych datach.

Kronika dni obłęzenia

[16.07.2015]

Suma doświadczeń pracowniczych jest taka, iż im bliżej końca kontraktu, tym sprawy mają się lepiej. Dochodzi zawsze do pewnej średnio radosnej sceny związanej z tym, że pracodawca proponuje przedłużenie stosunku pracy na kolejny rok, przynajmniej nam tak się zawsze składało. Ponieważ nigdy nie mieliśmy na to ochoty, należało grzecznie odmówić i podać dwieście powodów, które stają na drodze kontynuowania współpracy, co powodowało dąsy nadawcy oferty (zazwyczaj będącej kopią poprzedniej, ewentualnie jej gorszą wersją). Potem jednak mijała chwila i ostatnie tygodnie upływały we względnie miłej atmosferze. Było jakieś poczucie, że zbliżamy się do końca wspólnej misji, zazwyczaj były też jakieś rezultaty pracy. Za każdym razem mieliśmy pożegnalny obiad, na którym padało parę miłych słów, trochę podziękowań, trochę kadzenia w obie strony, toasty, zdjęcia, wspomnienia pewnych zabawnych sytuacji. Niestety nie tym razem.

Na etapie kwietnia powiedziano nam, że powinniśmy zostać do 13 lipca. Zapewni to wystarczającą ilość czasu, żebyśmy poprawili wszystkie egzaminy, wypełnili odpowiednie dokumenty, a potem oddalili się. Było to dość ryzykowne, bo nasze wizy kończyły się dokładnie w dniu końca kontraktu – 15 lipca. Do tej pory zawsze mieliśmy wizy solidnie dłuższe niż kontrakt – było to takie nieformalne zaproszenie do zwiedzania Chin po zakończeniu pracy. Wiele znanych mi osób skusiło się, bo zazwyczaj każdy wynajdywał miejsca, które by chciał jeszcze zobaczyć. W tej edycji przygód na Dalekim Wschodzie chyba chciano się upewnić, że poza pracą nie będziemy mieli na nic czasu. No nic, pożegnałem wizję odwiedzenia Gansu, Qinghai i Xinjiangu, kupiliśmy bilety zgodnie z zaleceniami naszego biura współpracy międzynarodowej.

Przy okazji, bardzo błogosławiliśmy światłą decyzję ChRL o blokowaniu usług Google, bo większość linii lotniczych i wyszukiwarek połączeń akurat na nich jest oparta. Dobrze spędzone parę godzin!

Trochę później podali rozkład egzaminów. Były tam bardzo ciekawe daty i ramy czasowe, mniej dla nas, ale dla paru z naszych współpracowników nieco nierealne, np. egzamin z setką studentów na dwa dni przed terminem opuszczenia kraju. Trzy tygodnie zajęły zmiany, potem jeszcze tydzień korekty, bo niektórzy mieli dwa egzaminy w tym samym czasie – do diabła z logiką i czasoprzestrzenią!

26 czerwca to był dla mnie świetny dzień: po pierwsze noc wcześniej nie udało mi się mieć rozmowy na Skypie. I to nie o przepisie na ciasto z truskawek, tylko o pracę. Poszedłem w tej sprawie do biura. Tam się dowiedziałem, że im też się nie udaje odbywać wielu rozmów z potencjalnymi kandydatami. Bardzo mnie to pocieszyło, ale byłem upierdliwy i spytałem, czy uniwersytet nie jest w stanie zapewnić łącza, które pozwala na odbycie rozmowy (bez video, bo takie marzenia porzuciłem wiele miesięcy wcześniej). Polecono mi iść do Starbucksa. Gdy już powróciły mi władze umysłowe utracone z powodu

wysłuchania tej bzdury, odparłem, że jednak chciałbym to odbyć w jakimś poważnym otoczeniu. To może KFC. Tak, będę odpowiadał na te wszystkie „a gdzie się pan widzi za 10 lat?” pośród okrzyków „SKRZYDEŁKA NA OSTRO RAZ!!!”.

Dwa, dowiedziałem się, że za lipiec nie planują nam płacić. Jak nie chcemy, to sobie możemy nie pracować.

Trzy było popołudniu, już poza biurem: pewne egzaminy odbywało się w laboratorium językowym, gdzie każdy kandydat mówił do mikrofonu, nam się to nagrywało, a potem można było sobie posiedzieć w domu i odsłuchać około 250 razy mniej więcej to samo. Cały software był oczywiście po chińsku, więc dostaliśmy do pomocy jedną z lokalnych nauczycielek. Oczywiście obsługa komputera na poważnie byłaby stratą cennych sekund jej życia, więc więcej czasu spędzała na zabawach swoim fancy iPhonem niż na ogarnianiu tego, co też dzieje się na sali. Kilku grupom pokazała złe pytania egzaminacyjne i zauważała to dopiero po dzikim okrzyku Aligatora. Jednej grupie w ogóle zapomniała pokazać pytania, więc przez jakieś 30 sekund studenci siedzieli i nie wiedzieli, co się dzieje (potem masz 250 razy nagrane 30 sekund ciszy, które musisz przewijać). Ale rekordem było, gdy po dwóch grupach okazało się, że około 120 osób będzie musiało przyjść i odbyć egzamin jeszcze raz, bo źle zapisała wszystkie pliki. Dzięki temu przez resztę wspólnie spędzonego czasu zachowywała się poważniej. A ja mogłem posiedzieć 40 minut dłużej, a także popisać sobie smsy do klasowych monitorów, że zapraszamy ponownie i że to nie moja wina.

Przez ostatnie dwa miesiące hodowaliśmy Krakena, czyli maila do pani rektor, którego mieliśmy wysłać już dobre parę razy. Zbierały się tam różne fajne rzeczy, głównie dotyczące wynagrodzenia (za lipiec, za wcześniejsze miesiące pracy), ale też braku standardów, obgadywania nas ze studentami, ignorowania naszych maili, chaosu z egzaminami, wyposażeniem sal, świętami narodowymi, jak również całej religijnej imprezki. Była to wspólna praca kilku osób, ale jakoś ilekroć już chcieliśmy wysłać, to okazywało się, że zrobili coś, o co prosiliśmy. Wydawało się więc, że dość dobrze wyhodowany Kraken nie przyda się. W czwartkowy wieczór rozpętała się lista mailingowa. Jej tematem było... *Release the Kraken!*

Po wprowadzeniu paru zmian, w piątek, ostatni dzień zajęć, Kraken wypłynął do pani rektor. Zaczynał się od cytatu z Gary'ego (bez autora): „Nikt tu nigdy nie zostaje na drugi rok”. Potem następowało SIEDEM stron wyjaśniających ten stan rzeczy i komentarz, że jeżeli chcą coś zmienić, to tędy droga. Był napisany mieszanką kilku stylów i rejestrów – były fragmenty śmiertelnie poważne, jak również ironiczne i pogodniejsze. Najbardziej kontrowersyjny kawałek głosił „ludzie sprzątający uniwersyteckie toalety są informowani wcześniej od nas o świętach narodowych”, ostatecznie został. Wiele sobie nie obiecywaliśmy, ostatnie dni roboty, pewnie odpisze, że dziękuje, że zapamięta i że porozmawia, i że tyle. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy odpowiedź spłynęła od Sherry, naszej FAO (Foreign Affairs Officer). Odpowiedź spłynęła tylko do mnie, była bardzo ostra. Przy okazji w paru miejscach rozmijała się z rzeczywistością, przerzucała cały ciężar odpowiedzialności za różne problemy na większość z nas, a do tego głosiła,

że zgodziliśmy się pracować w lipcu za darmo.

Ucieszyłem się. Ja też potrafię pisać maile. I też potrafię być miły. O ile Kraken miał SIEDEM stron (a i tak opisaliśmy tylko rzeczy, które były najbardziej rażące, irytujące i ciągnące się), to moja odpowiedź miała dwie strony. Używała ona wiele razy podkreślonego słowa *YOU*, raz w liczbie pojedynczej, kiedy indziej mnogiej. Me przepiski koncentrowały się na tym, że nieprawda to i tamto, że my zrobiliśmy wszystko, czego chcieliście, a wy teraz nie chcecie zapłacić. Że skoro piszesz „poprawianie egzaminów to nie jest praca”, to idź i popraw sobie około pięciu setek takich cudów, następnie policz jeszcze parę kolumnienek, a potem powiedz, jak dobrze się bawiłaś. Moja odpowiedź poszła do wszystkich, z komentarzem, że nie wiem, dlaczego poprzedni mail był tylko do mnie, skoro pod tamtym listem podpisane było kilka osób. Do rozmowy włączył się sąsiad, który nie owijał w bawełnę i napisał łaskawie, że prosi, żeby nie wkładać mu kłamstw w usta, jak również, że to nieprawda, że wyjechał z kampusu 21 stycznia, bo 28 i kilka takich innych.

Jeszcze tego samego dnia poszliśmy do biura złożyć kursy, które miały egzaminy we wcześniejszych datach. Składamy, składamy, dochodzimy do sekcji *Teaching diaries* – kretynizmu, który nam wymyślono od drugiego semestru, tabelki, którą należało wypełnić po każdych zajęciach. Początkowo mieliśmy je przysyłać do biura w każdy piątek, ale po miesiącu kazali przestać, bo za dużo do czytania. A do pisania, jakie to fajne! Po drodze postanowiliśmy zobaczyć, czy oni to w ogóle czytają, więc spakowaliśmy, założyliśmy hasło na archiwum i posłaliśmy. Bardzo się nie zdziwiliśmy, że uwag nie było. Typowa bezsensowna robota, żeby w grupie 67 osób przepisywać listy obecności i wyszukiwać powody, dlaczego też ktoś nie przyszedł.

Na początku pracy musieliśmy podpisać listę dokumentów, które złożymy na końcu semestru. Nie było na niej *Teaching diaries*. I właśnie to powiedzieliśmy, gdy nas o nie zapytano.

– *JAK TO NIE BĘDZIE TEACHING DIARIES? MUSICIE DAĆ TEACHING DIARIES!!!*

– *Nie będzie. Nie musimy. W wykazie dokumentów, który zobowiązaliśmy się złożyć, jest syllabus, jest course summary, są plany, prezentacje, ale nie ma teaching diaries.*

– *Tam są teaching diaries!*

Tak się akurat złożyło, że pan Koracz był na sali, a ja miałem przy sobie ten dokument. Zbladła lepiej niż po najdroższym kremie wybielającym z Watsonsa. Wargi bezszelestnie wymamrotały słowa prachińskich klątw. Pobiegła po szefową. Szefowa postanowiła zacząć z grubej rury i zaczęła wrzeszczeć, że mamy jej dać *teaching diaries*. No, wrzaskiem i groźbą nas przekonałaś. To jak wam się nie podobały *teaching diaries*, to czemu je robiliście? Bo wtedy jeszcze nam płaciliście i nie traktowaliście jak więźniów hebejskiego getta. Teraz wam się zmieniło, więc nam też się zmieniło. Mamy jednak ważniejszą sprawę: kiedy my według was kończymy pracę? Bo według nas, to jutro. 30 czerwca jest ostatnim dniem, za który nam płacicie. Średnio widzę jakiegokolwiek powody, żeby cokolwiek robić po tym dniu.

Wrzask. Dużo wrzasku. Wyjście z tej części open space'a. Powrót. Świetnie, kiedy kończymy pracę?

– *JAK SKOŃCZYCIE! Zwołamy spotkanie i wtedy się zastanowimy.*

– *Kiedy będzie spotkanie?*

– *Nie mam czasu na spotkanie z wami, nikt nie będzie was niańczył. Jesteście samolubni i nie szanujecie naszego czasu, nie rozumiecie Chin!*

– *Tak? A ja wiem, że masz dzisiaj o 13 spotkanie z naszą Irlandką, w tej sprawie masturbacji, co się już drugi miesiąc ciągnie. To może wtedy?*

– *SKĄD TO WIESZ??? JAK ŚMIESZ TO WIEDZIEĆ???*

– *Nieważne. Chcę wiedzieć coś innego: kiedy kończę pracę? Czy jako dyrektor wydziału współpracy międzynarodowej nie jesteś mi w stanie udzielić tej informacji?*

Wrzask. Zakończony „YOU DON'T UNDERSTAND CHINA!”. Miałem ochotę powiedzieć, że drogie kochanie, obawiam się, że ja akurat rozumiem ten kraj nieco lepiej niż ty, a jeżeli chodzi o historię XX wieku, to możesz się bardzo zdziwić, gdy ci powiem kilka rzeczy. A jeżeli byś chciała pogadać o paru socjologicznych aspektach waszego nacjonalistycznego cyrku...

Powstrzymałem się, w zamian uderzyłem w słowa:

– *This is inefficient...* – rozpocząłem mówić.

– *INEFFICIENT? What is inefficient???*

Miałem ochotę powiedzieć, żeby sobie znalazła tłumacza, bo skoro nie zna tego słówka, to daleko nie zajedziemy, a ja mogę upraszczać wszystko moim studentom, ale nie mojej dyrektorce, zwłaszcza w tak przyjaznej pogawędce. Co dziwne, wszystkie wrzaski lądowały na Aligatorze, a mnie jakby się bała i do mnie krzyczała nieco mniej, chociaż znacznie częściej to ja mówiłem. W końcu po kolejnej wrzaskówce (początkowo się wstrzymywaliśmy, ale chwilami wrzask był jedynym sposobem, żeby być usłyszonym w tych warunkach) padło:

– *You are unprofessional!*

W odpowiedzi usłyszeliśmy:

– *You unprofessional! You unprofessional! You! YOU! YOU, YOU, YOU!!!*

Jak na grubo, to na grubo:

– *STRACIŁAŚ TWARZ!!!* – aż się sam przeraziłem, że to powiedziałem. Ale przynajmniej nie to, że jej angielski jest do dupy, a znajomość historii kraju jeszcze gorsza. Uznałem, że już wystarczy, bo ja też mam jakieś granice, nieco węższe niż ChRL. Dobyłem telefonu z mych przepastnych kieszeni, powiedziałem, że będę nagrywał tę rozmowę:

– *Po raz piąty pytam dyrektor studiów międzynarodowych i moją przełożoną: kiedy kończę pracę dla tej placówki naukowej?*

Wybiegła, machając rękami i sapiąc.

– *Może mi to ktoś wyjaśnić?* – zapytałem audytorium chińskich nauczycielek.

Niestety, nikt nie mógł.

– *Zgrywasz syllabusy, prezentacje i plany lekcji, czy nie chcesz?* – Aligator wbił sztylet w serce naszej bezpośredniej przełożonej. Zgrała. Gdyby szpilka spadła cztery

kilometry dalej, to zapewne byśmy usłyszeli ten łoskot, taka cisza zaległa. Pasek postępu kopiowania plików ciągnął się w nieskończoność.

Wkrótce potem dostaliśmy maila, że o 15 będzie spotkanie. Kurwa, patrzcie, jednak macie czas nas niańczyć. Odpisaliśmy, że dobrze, ale mam o 16 rozmowę o pracę, akurat nie w Starbucksie, tylko wypróbuję nasze łącze o tej porze dnia. Niemniej sędzę, że w 50 minut ogarniemy temat.

O 13:50 wpadła Irlandka. Że większość jej spotkania z Sherry to były podpytywania o nas i mówienie o tym, że Sherry płakała po przeczytaniu mojego maila. Jej tematu masturbacyjnego (w sensie młodzieńca) nie udało się ruszyć, ale upierali się, żeby ona nie mówiła ludziom w Dublinie, bo strata twarzy.

– *Jak znowu przyjdzie do ciebie, to powiedz, że ja płakałem po jej, więc jest 1:1.*

Kto by się spodziewał, że tę rywalizację wygramy 5:1! Podczas spotkania Sherry płakała CZTERY razy.

Na spotkaniu o 15:00 drużyna gospodarzy stawiała się w składzie Sherry, Gary, Gall Anonim (raczej Han Anonim, pisał tylko dużo i niczego nie mówił), dyrektorka i przełożona. Przez 50 minut, które tam spędziłem, było dobrze. Przede wszystkim, nikt nie podnosił głosu, nikt nikomu nie przerywał, nikt nie mówił „This is China”. Obie strony wykladały swoje, a druga strona wielkiego konferencyjnego stołu odpowiadała. Około 30 minut zeszło na omówienie wynagrodzenia za lipiec. Czemu mamy pracować i nie dostać ani *jiao*?

– *Bo w styczniu mieliście wolne.*

Wszyscy mieli wtedy wolne. Opuściliśmy kampus w momencie, gdy skończyliśmy wszystko, zapisaliśmy egzaminy i kursy. Wróciliśmy dzień przed spotkaniem, które przełożono potem o dwa dni, a było ono totalną stratą czasu. Amerykanie spóźnili się na nie trzy dni i jakoś nie wyciągnęliście wobec nich żadnych konsekwencji.

– *Bo płacimy wam za soboty i niedziele, a wy wtedy nie pracujecie*

W pierwszym semestrze mieliśmy pracujące niedziele. Na Zachodzie to jest razy dwa, tu inny wolny dzień.

– *Bo Spring Festival w tym roku był późno i dlatego kończy się wszystko w lipcu.*

Spring Festival ogłaszany jest z odpowiednim wyprzedzeniem, żeby zaplanować egzaminy i grafiki prac.

– *Bo w kwietniu zgodziliście się pracować za darmo w lipcu*

Nieprawda. (To było tak dęte i beczelne, że wycofali się niemal od razu).

– *To może moglibyśmy podpisać aneks do kontraktu z datą styczniową, że za wolne wtedy, wy nie chcecie zapłaty za lipiec?*

Obawiam się, że nie jest to możliwe. Temat ten inaczej wyglądałby w styczniu lub kwietniu, a inaczej 29 czerwca.

– *My w tym roku napiszemy inne kontrakty.*

– *Koniecznie, w ten sposób unikniecie problemów w przyszłym roku.*

– *Nigdy nie było sprawy, żeby ludzie pracowali w lipcu za darmo.*

– *Dlatego też dwójka opuściła was w zeszłym roku na tydzień przed końcem*

kontraktu?

– Nie możemy wam mówić o świętach narodowych wcześniej, bo cały kraj się tak dowiaduje.

– No nie bardzo, śledziłem to dość uważnie i cały kraj wiedział znacznie wcześniej. W efekcie nie byliśmy w stanie nigdzie pojechać, bo było za późno na kupno biletów dalej niż do Pekinu. Nasi studenci często wiedzieli przynajmniej tydzień wcześniej, a gdy was pytałyśmy, to sprawa utykała na 3-4 dni przed. Nie byłoby jaj, gdybyśmy obrali kalendarz narodowy, ale z jakiegoś powodu robiliście czasem po swojemu.

– Studenci zgadywali te daty.

– I za każdym razem trafiali?

– Studenci są dobrzy w zgadywaniu. My też zawsze dowiadujemy się bardzo późno, nasz uniwersytet nie lubi mówić pracownikom niczego wcześniej.

– Jak możecie tak żyć i się na to zgadzać? – to akurat rzucił sąsiad i zamknął temat.

Potem był temat Jesus Camp, czyli dlaczego uważamy, że nauczyciele z USA robią coś złego, szerząc Jezusa w Chinach. Trochę nas zatkało, ale powiedziałem, że nie podoba mi się to, że studenci przychodzą z pytaniami o Jezusa i modlenie się przed jedzeniem. I że jakoś nie sędzę, że wynieśli je z lekcji o filozofii komunizmu chińskiego. Zrobienie Christmas Party to jedno, ale nauki biblijne w mieszkaniu, chrzczenie ludzi w kiblu, to drugie. Zaczęło się, że w mailu było, że czujemy się nieco chujowiej traktowani niż diaspora amerykańska. Mówimy, że tak.

– Wszystkich traktujemy tak samo!

– Przez cały English Week nas unikaliście, nie zaprosiliście nas na nic.

– Nie! Nieprawda! Mogliście zawsze przyjść.

– Tak? To jak wyjebywałem śmieci i pytałem, co się dzieje, to czemu mi kazaliście iść do domu i że to nie dla nas?

Konsternacja, mruki, szmery.

– Aha. To nam kazaliście siedzieć do 13 lipca, dwójka Amerykanów sobie pojechała do chaty już 25 czerwca, a pozostała trójka wyjedzie 5?

– Musieli jechać, bo ich znajomi mają ślub.

– Podczas mego życia w Chinach umarł mój dziadek. Niemniej nie poszedłem prosić o wolne na pogrzeb, bo jestem dorosły. Widziałem globus zanim podpisałem ten papier z wami i wiedziałem, ile jest z Krakowa do Baoding. W miarę też wiedziałem, co się może wydarzyć w ciągu roku. A pozostała trójka? Ślub, pogrzeb, jebanie piniaty?

– IECS im kupiło tak bilety, musicie zrozumieć, że to jest inaczej.

– Dwie minuty temu powiedziałaś, że wszyscy jesteśmy traktowani tak samo. Teraz mówisz, że z nimi jest inaczej. Dziękuję, że przyznałaś mi rację.

Z takim spokojem i brakiem emocji, że czułem że Stalin z zaświatów klepie mnie po plecach i mówi „moja szkoła!”. Prawie zabiłem tym młodą, mało używaną Chinę. Dostała kłopotów z oddychaniem, zaczęła wydawać takie kwiki i „ty, ty, ty!!! Nie! Nieprawda!!!”. Dobła 15:45. Przeprosiłem, że jak wspominałem, mam pogawędkę. Wyszedłem. Leżąc do chatyny i paląc peta, myślałem sobie: nie jest źle. Nie było darcia się.

Nie było argumentów personalnych. Wygląda to o wiele lepiej niż parę godzin temu. Tępe cipsko się zamknęło i nie darło dupy co pięć sekund. Po naszej stronie żółw rzymski w wariacie baodińskim, wszyscy się zgadzają i podpierają wypowiedzi wzajemnie. Gary i Sherry wydawali się być niemal po naszej stronie, podobnie Han Anonim. Gdy odwoływaliśmy się do punktów kontraktu, dat dziennych i niepodważalnych faktów, kiwali głowami i widzieliśmy, że chcieliby to zakończyć, dać nam te ochłapy i iść do domów. Mając to przed oczyma, myślałem, że w dziesięć minut skończą i amen.

Interview było fraszką. Ludzie po drugiej stronie kabla odwoływali się do ogólnie dostępnej logiki, nie do wrzasku i pohukiwań „You don't understand China!!!”.

Po 56 minutach zobaczyłem, że Aligator napisał, że siedzi w irlandzkiej enklawie. Okazało się, że po moim wyjściu wszystko pierdolnęło. Zaczęły się wrzaski, nie ze strony Gary'ego ani Sherry, ale kierowniczk i dyrektorki. W końcu miała miejsce taka wymiana:

– *Jaki ten uniwersytet ma standardy?* – zapytał Aligator.

– *TEN UNIWERSYTET NIE MA ŻADNYCH STANDARDÓW!* – odparła tryumfalnie dyrektorka. Sąsiad wymamrotał, że wie. Po chwili Aligator dowiedział się, że jak ma być agresywna i się odzywać cokolwiek, to ma wyjść. To wyszedł. Sąsiad wrócił dużo później. Ostatnią godzinę siedział sam z piątką wojowników ninja. W tym czasie:

- Dowiedział się, że oni wiedzą, że on nie jest taki zły jak my i że wie, że my go sprowadzamy na złe ścieżki, ale wiedzą, że w głębi serca jest dobry. To jest właśnie droga, którą należy rozmawiać z człowiekiem, który należał do związku zawodowego w Australii. Rozbić jedność przeciwnika. No nie wyszło.
- Że oni wiedzą, że to wszystko moja wina. Tu gwoli wyjaśnienia: z okazji małego amerykańskiego sinologicznego ruchu misyjnego najwięcej hałasu narobiłem ja. W trakcie tej zabawy okazało się, że większość z naszych interlokutorów należy do oazy. Nie należał Gary i podobno udawał, że go nie ma, ilekroć sprawa wjeżdżała na wokandę, już wcześniej słyszeliśmy, że nienawidzi tego kuriozalnego zjawiska. No więc zapewne dlatego pani dyrektor nieco mniej się na mnie darła, bo bała się, że Antychryst ukradnie jej duszę. Potem jeszcze tylko pozbyła się potencjalnej Rosemary i myślała, że ugra kangura. Nie dawajcie jej kasy na loterię i niech broń Boże nie gra na wyścigach konnych! Sąsiad powiedział, że rozmowy o mnie powinny być mieć miejsce, gdy ja byłem na sali, a nie za moimi plecami. Powiedział też, że jest autorem tego całego maila i że to wszystko on napisał. Po tym dyrektorka mówiła tylko:

– *Ja nie wierzę, ja nie wierzę, ale mnie zawiodłeś! Bardzo mnie zawiodłeś! Myślałam, że jesteście przyjaciółmi!!!*

Sąsiad mówił, że była to mordęga. Było jasne, że wszystkie ważne tematy omówiliśmy: albo płacicie za lipiec, albo nie robimy. Nie chcemy was szantażować, ale wy też byście nie robili za darmo. Amen. Niemniej, spotkanie się ciągnęło. Z jakiegoś powodu, z naszych siedmiu stron Krakena wybrali sobie wątek religijny. Nie to, że nazwaliśmy ich leniwymi, nieefektywnymi ignorantami, którzy niczego nie potrafią zrobić, żrą arbuzy nad komputerami, śpią, ignorują korespondencję

służbową, tylko to, że Jezus. Sąsiad w końcu nie dał rady:

– *Czy wy rozumiecie, że to jest kraj komunistyczny? Czy wy rozumiecie, że to jest uniwersytet państwowy? A wy tu sobie robicie oazę! Chcecie iść do więzienia?*

Podobno był efekt. Powiedzieli mu, że to skandal, że nie wziął udziału w *Funny little games*, co świadczy o tym, że jest aspołeczny i nie angażuje się w pracę.

– *Wydawało mi się, że moją pracą jest uczenie, a nie bieganie po boisku z paletkami. Poza tym mam w żywej pamięci, jak miło było na badmintonie. Dopiszcie do kontraktów, że pracownik tego departamentu ma z siebie robić cyrk w ramach pracy. Poza tym przypominę, że ja wtedy siedziałem w biurze, bo miałem spotkanie z Verą. Vera spóźniła się na nie godzinę, bo stała z koszem na śmieci i łapała papierki.*

Dowiedział się też, że nie rozumie Chin, bo w Chinach nie wolno wysyłać maili na siedem stron, (Rozmowa po: – *Myślisz, że woleliby dłuższe, a może jakąś formę poetycką?*) a już do przełożonych to absolutnie nie wolno! Czy on wie, ile oni mają przez niego kłopotów?

– *Nie byłoby Krakena, gdybyście nas nie ignorowali przez właściwie cały drugi semestr. Ile razy mieliśmy was prosić o daty egzaminów, naprawienie głośników, terminy świąt narodowych, milion innych cudów, które wy hurtem spuszczaście w kibel i śmiali się nam w twarz, bo wydaje wam się, że laowai może wam skoczyć na pędzel co najwyżej.*

W jakimś momencie, po jakimś dwudziestym „*you don't understand China!*”, odparł:

– *A czy wy kiedykolwiek chcieliście zrozumieć nas? Przyjechaliśmy tu z całego świata, zdecydowaliśmy się na życie tysiące kilometrów od naszych rodzin i przyjaciół, w jakimś sensie dla was. Uwierzyliśmy wam i zaufaliśmy. Myśleliście, że jesteśmy przyjaciółmi? Zapraszaliśmy was całą jesień na spotkania w naszych mieszkaniach i nigdy nie przyszliście, ani nawet nigdy nam nie odpisaliście. Wy nas nigdy nigdzie nie zaprosiliście. Mówicie, że my nie rozumiemy Chin. A kto z was próbował zrozumieć nas? Kto z was słyszy okrzyki „laowai!”, gdy po coś idzie do sklepu? Czy my was obgadujemy za plecami do studentów? Kto z was poświęca swój tzw. wolny czas na studentów? Wy się dziwicie, że my tu jeszcze jesteśmy.*

Przyznam, że ja bym tego nie powiedział. Nie poszedłbym w temat „litość i współczucie”. Niemniej, wygrał na tym. Sherry się rozplakała, po raz czwarty. Spotkanie się skończyło, wygrali w płaczach.

Wieczorem przyszedł mail, że 30 czerwca będzie spotkanie, o 8:30 rano. Hm, ale przecież nie macie czasu nas niańczyć... Odpisałem, że będę. Aligator odpisał, że odmawia przebywania w jednym z pokoju z panią dyrektorem, bo już jej wystarczy tej radości i natężenia wrzasku. Rano Aligator otrzymał przeprosiny i zapewnienie, że na spotkaniu będą tylko Sherry i Gary.

O 8:30 było spotkanie absolutnie wszystkich, w tym oazy. Na stole pojawił się papier, który jasno głosił, że nam zapłaca. Musieliśmy zadeklarować, ile dni chcemy

sprawdzać egzaminy. Jeden z naszych amerykańskich kolegów powiedział wielkodusznie:

– *Ach, ja nie chcę pieniędzy!*

Sąsiad szepnął mi nieco głośniejszym głosem, niż by chciał, by tamten naprawdę nie słyszał:

– *Pewnie, że nie chcesz, bo ty nie jesteś nauczycielem, tylko jebanym misjonarzem, który zaraża studentów swoją faszystowską religią.*

Jakoś nie odpowiedziano mu na to niczego. O 8:45 staliśmy we trójkę pod budynkiem i w 2/3 oddawaliśmy się nałogowi. W sumie chcieliśmy już się zerwać i jechać do znajomych na Tajwan, żeby tam spędzić około 10 dni. Byliśmy wręcz załamani, że zgodzili się na nasze wszystkie żądania. Bo w związku z tym czekało nas dużo pracy, około 500 egzaminów do sprawdzenia. Do tego, żeby nie mieli ze mną halo, zgłosiłem obłądnie wyśrubowany czas pracy, tylko do 3 lipca. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że następne trzy dni spędzę na robieniu po 12h dziennie, a i tak w poniedziałek, 6 lipca, będę musiał siedzieć w biurze. Nawet gdybym wiedział, to nie miało wielkiego znaczenia. Finansowo, cała walka nie była wiele warta. Ale moralnie... Duchowo... Cywilizacyjnie!!!

Opiszmy to tak: trójka laowaiów stawia warunki placówce naukowej w Chińskiej Republice Ludowej. W czasie nazywanym najbardziej antyzachodnim od wujka Mao. W kilka miesięcy po tym, gdy władza grzmi, że wystarczy już obcokrajowców. W kraju, gdzie mówi się, że szkoda drukować kontrakt, bo lasy cierpią, a i tak nikt go nie będzie honorował. Zapewne bardziej zdecydowało to, że gdybyśmy sobie poszli, to do dzisiaj nie daliby sobie rady z tymi egzaminami. Najpierw byliśmy zdziwieni, że robią takie halo o te kilka dni pracy – nie mieli biedy, płacili za wiele rzeczy związanych z naszą pracą i pobytem, szło o grosze w skali roku. Potem byliśmy zdziwieni, że rozciągają tę sprawę na wszystko, co było zwalone – daty świąt z przeszłości, amerykański projekt religijny, *Funny little games*. A już najbardziej, że naprawdę nam zapłacili, dnia 6 lipca tabelka pracy zamieniła się w żywą walutę. Dzień później siedzieliśmy w biurze i poprawialiśmy egzaminy. Przyszła do nas nauczycielka, której w życiu nie widziałem na oczy. Uśmiechnęła się i dała nam cukierki: „to dla was” – uśmiechnęła się jeszcze bardziej i poszła. Zdaliśmy sobie sprawę, że skoro nas tak traktowano, to regularni pracownicy chińscy muszą przechodzić przez jeszcze większe piekło – wiadomo, że oni się nie postawią, nie pokłócą i nie zwolnią. Dobrze dwa dni słyszałem nasze imiona w prywatnych rozmowach, często prowadzonych szeptem. Atmosfera za szalowa nie była, do tego siedzieliśmy w jednym pokoju z misjonarzami faszystowskiej religii, ale parę osób nagle zaczęło nam mówić „Hello!” i się do nas uśmiechać. Doszliśmy do jedyne go możliwego wniosku:

– *Wiesz co, dzięki temu cyrkowi nie zatrudnią już nigdy nikogo z Australii ani Polski.*

– *Nasze kraje i rodacy nigdy nie dowiedzą się, jak wielki, prometejski dług wdzięczności mają u nas.*

[11.08.2015]

Przepracowaliśmy na Hebei Finance University dwa semestry. Wspomnieliśmy, że w ciągu drugiego z nich poznaliśmy kilku ciekawych studentów, ludzi, z którymi się zaprzyjaźniliśmy i z którymi spędzaliśmy wiele czasu. Chcemy poświęcić kilka wpisów właśnie im – ponieważ bez nich nasza egzystencja w Chinach byłaby absolutnie nie do zniesienia.

Listę otwiera Iris. Nie była naszą studentką, poznaliśmy się podczas jednego z *English Cornerów*. Początkowo nic nie zapowiadało wielkiej przyjaźni, standardowo zapytała mnie o ulubione jedzenie, a potem była niesamowicie ucieszona, że mieszkałem przez rok w Anhui, bo to jej rodzinne strony (a dokładnie miasto Anqing). Kolejne rozmowy były coraz ciekawsze, spotykaliśmy się w każde czwartkowe popołudnie, więc z każdym tygodniem lepiej się poznawaliśmy, poszerzała się też lista poruszanych tematów.

Zanim dotarła na nasz wspaniały uniwersytet, Iris chodziła do jakiejś szkoły – fabryki GaoKao i tłukła testy z cudownymi wynikami. Miała studiować na Beida, gdzie wykłada jej dwóch wujków. W dniu zero jednak nie poszło jej, dostała tylko 480 punktów, więc skończyła na HFU. Była absolutnie najlepsza ze wszystkich przedmiotów, narzekała jedynie, że filozofia ją nudzi i nie rozumie, po co ma się jej uczyć. Gdy poznaliśmy się lepiej, wyznała mi, że wścieka ją to, że robi wszystkie zadania domowe, a potem cała klasa od niej odpisuje. Na moje pytanie, czemu pozwala, powiedziała, że inaczej by ją znienawidzili i że musi, bo takie są odwieczne prawa natury – najlepszy uczeń robi zadania, reszta odpisuje. Pytała, czy w innych krajach też tak się rozumie solidarność grupową.

Przełom w naszych relacjach nastąpił gdzieś w marcu, oglądnęła *The Imitation Game* i przyszła mnie popytać o Turinga – dlaczego tak go potraktowano, że to skandal, czy mogłoby się to wydarzyć dzisiaj. Nie uważam tego dzieła za wybitny film, niemniej ona oglądnęła go łącznie siedem razy. Dostała takiego zainteresowania prawami mniejszości seksualnych, że chwilami bałem się, że jak ktoś usłyszy, o czym mówimy, to będzie taki akt oskarżenia, że ksiądz Gil. Pewnego dnia rozmowa tak się potoczyła, że w ciągu dwóch minut wyjaśniałem jej czym jest pedofilia i jakie jest pole znaczeniowe słowa „homoseksualizm” i kiedy można go użyć.

Iris była najbardziej czytana osobą, jaką poznaliśmy, wielbiła Stephen Kinga i Murakamiego. Nie mogła uwierzyć, że ja też znam tych pisarzy, bo nikt z jej znajomych nigdy o nich nie słyszał. Później okazało się, że czytała też *Wichrowe wzgórza*, *Władcę much*, a jedną z jej ulubionych książek jest *Hrabia Monte Christo*. Uwielbiała też horrory, ale tylko zachodnie. Powiedziała, że japońskich oglądać nie może, bo jak widzi mordowanie ludzi podobnych do niej, to się boi, że coś takiego spotka kiedyś ją. Jednak jak białych i czarnych szlag trafia, to się nie denerwuje. Udało mi się nie dostać ataku śmiechu.

Koło maja wyznała mi, że jej rodzice mają zakazane filmy i je z nimi ogląda. Że nienawidzi tych wszystkich chińskich historycznych i koreańskich telenowel. Uświadomiła mnie, że *V for Vendetta* jest legalne w Chinach, a gdzieś na necie napisali, że nie jest i dlaczego kłamią o jej ojczyźnie? Już byliśmy na etapie, że rozmawialiśmy swobodnie, więc podałem jej szybką listę rzeczy, które są zakazane. Strasznie jej było wstyd. O ile na początku mówiła mi, że cenzura jest wyrazem tego, że rząd o nich dba, a nasza władza na Zachodzie o nas nie dba (dba, dba, nie martw się), od jakiegoś maja otwarcie na nią narzekała, szczególnie na niemożność oglądnięcia *Fifty Shades of Grey*. Pytała, jak ma rozmawiać z ludźmi z innych krajów, skoro wszyscy ten film widzieli, a oni nie mogą? Rozważaliśmy ściągnięcie jej kopii, ale baliśmy się, że jak to oglądnie z koleżankami, a potem powie, skąd ma, wiadomość się rozejdzie po okolicy, a potem wiadomo – demoralizacja, wpływy zachodnie, pornografia... Śledziła media zachodnie i nierzadko cierpiała, że wiele spraw tam opisywanych nigdy nie dociera do szerszego grona ludzi w Chinach.

Kiedy indziej sprawdzaliśmy coś na jej tablecie. Na tapecie miała Xi Jinpinga. Postanowiłem nie pytać.

Dzięki memu pochodzeniu zainteresowała się Polską i co jakiś czas miała pytania na ten temat. Ponieważ dla wielu z naszych studentów byliśmy z USA (choć mówiliśmy na pierwszej lekcji, że nie), to było dość odświeżające. Oglądnęła *Bogów*, *Idę*, wyszukiwała różnych znanych Polaków i mnie o nich pytała. Tak się kiedyś rozpędziła, że pewnego dnia znalazła super polskiego pisarza. Edgara Allana Poego. Musiałem ją rozczarować. Dziwiła się, że jako Polacy nie jesteśmy wielkimi fanami Chopina, mówiła, że ona go bardzo lubi (operę pekińską już nie, więc tu jej mogłem podać analogię). Uwielbiała też Skłodowską, uważała, że to wspaniałe, że kobieta tyle osiągnęła w tak „niekobiecej” dziedzinie.

Pewnym problemem była herbata z rodzinnej wioski w Anhui. Przyniosła mi ją po raz pierwszy gdzieś w marcu. Była dość fatalna, ale oczywiście powiedziałem jej, że to wspaniałe liście, że lepsza niż z Yunnanu, że w życiu tak dobrej nie piłem. Kilka tygodni później dostałem wielki worek. Ledwo się z nim uporałem do połowy, to jej rodzice przysłali kolejny herbaciany kontyngent. W efekcie przez połowę drugiego semestru piłem chyba najgorszą herbatę świata, a ona mnie zapewniała, że będzie mi ją dostarczać na bieżąco. Przywiozłem nawet trochę do Polski, bo szkoda mi było wyrzucać.

Iris pomagała mi z chińskim, była dość dobrą nauczycielką, zawsze bardzo się cieszyła, gdy wtrącałem chińskie słowa. Czasem odtwarzałem jej jakieś scenki z mego życia i prób mówienia po chińsku, bywało, że leżała ze śmiechu. Chwilami te rozmowy musiały brzmieć dziko kretyńsko, ale dzięki niej się nieco nauczyłem. Z jakiegoś powodu uznała, że muszę znać słowo *yanzi*, czyli jaskółka.

Iris była przeświadczona o tym, że jest beznadziejna, że zawiodła rodzinę swym wynikiem na Gaokao i nie mogła uwierzyć, że może kiedykolwiek zdać IELTS. Modelowo powinna jeszcze rok siedzieć na HFU i płacić za studia, by dopiero potem udać się do Irlandii. Błagałem ją, żeby poszła i zdała ten durny egzamin, bo spokojnie może dostać nawet i 8, jak będzie miała dzień i szczęście, a 6 to w cuglach, zaś rok albo przynajmniej

pół oszczędzi. Za nic nie mogła mi uwierzyć, mówiła, że codziennie uczy się nowych słów i że tych słów jest tak wiele, że nigdy się nie nauczy. Opowiedziałem jej o poziomach językowych, więc zaczęła się uczyć słów z C2, nie dała sobie wmówić, że nie musi ich znać na ten egzamin ani do życia w Irlandii. W końcu poprosiłem Australijczyka, żeby jej powiedział, że ma iść zdawać, a potem jeszcze Irlandkę. W czwórkę udało nam się ją przekonać, a gdy powiedziała rodzicom, że cała grupa nauczycieli z obcych krajów ją chwali, to chyba jej wybaczyli to Gaokao. Po tym zaczęła nas bardzo wiele pytać o życie na Zachodzie i możliwości osiedlenia się na stałe w naszych krajach. Zgadywaliśmy, że rodzice uznali, że byłoby fajnie dożywać starości w jakichś wygodniejszych realiach geopolitycznych niż ojczyzna i że córka ma zostać ich biletem do tego. W końcu obiecała, że pójdzie zdać egzamin-przepustkę we wrześniu. W czerwcu bez problemów zrobiła ACCA – egzamin z księgowości, który dla przeważającej większości naszych studentów był Graalem większym niż IELTS. Całe studia były dla niej banalne.

Z racji tego, że Iris była jedną z najlepszych studentek ze swego rocznika i należała do wybranej grupy najlepszych studentów, od czasu do czasu była spontanicznie wybierana do uczestnictwa w różnego rodzaju cyrkach. Podczas *English Weeku* musiała opiekować się Amerykaninem w średnim wieku. Wymykała się ze spotkań z tymże panem, aby przybiec do nas i opowiadać, że jest zmuszana do chodzenia na spotkania z chrześcijańską sektą.

Innego dnia kazano jej grać na klarnecie – była gala pożegnalna absolwentów. Zaskoczeni spytaliśmy, czy dobrze potrafi grać na tymże instrumencie – okazało się, że ledwo potrafi cokolwiek zagrać, nie grała od wielu lat. Była przestraszona, ale ku jej uldze grała z playbacku. Mówiła, że najgorsze było dla niej to, że musiała przejść przez scenę w butach na szpilkach i prawie upadła. Był to dziko durny pomysł, w czerwcu było ciągle ponad 30 stopni, sala gimnastyczna miała dach z blachy falistej, w środku było chyba z 40 stopni, a władze zrobiły galę na ponad dwie godziny, która wymęczyła absolutnie każdego, wliczając w to naszych chińskich współpracowników.

Pewnego czerwcowego dnia szliśmy razem do restauracji. Iris upewniła się, że nikt nie słyszy i powiedziała mi, że przez lata nie lubiła nauczycieli-obcokrajowców, bo jej nigdy niczego nie nauczyli, że tylko się wygłupiali, że uważała te lekcje za stratę czasu. Przez znajomość z nami teraz bardzo lubi i jedynie jej żal, że nie miała z nami nigdy zajęć i że zaraz nas już nie będzie. Ba, wyznała mi nawet, że odpowiedziałem jej na pytania, na które chińscy nauczyciele odpowiedzi nie znali – kiedyś wyłożyłem jej zasady robienia warunków, z naciskiem na trzeci. Była zachwycona, uważała, że to super ciekawe i nie mogła uwierzyć, że na to są schematy, które nieco ułatwiają życie. Wcześniej nauczyła się wszystkiego na pamięć.

Jej największą traumą były uczelniane prysznice – mówiła, że na początku strasznie się wstydziła z nich korzystać – wielka sala, wszyscy wszystko widzą, żadnych zasłonek ani przegród. Do tego na czas prysznica musiała zdejmować okulary, bez których była ślepa jak kret, więc często prosiła koleżankę, żeby poszła z nią i mówiła jej, dokąd iść. Zaskoczyła nas, mówiąc, że w jej pokoju każda studentka była z innej prowincji i trochę im zajęło,

zanim się zaczęły rozumieć, bo pierwsze dni były ciężkie. Do tego jedna z jej współlokatorek miała w zwyczaju przechadzać się po pokoju nago. Wiele wysiłku poświęciliśmy na to, by nie wybuchnąć śmiechem i nie zacząć zadawać idiotycznych pytań na ten temat.

Być może Iris przyjedzie studiować do Irlandii w 2016, pozostajemy w kontakcie internetowym. Powiedziałem, że jak już będzie w Europie i przybędzie do Krakowa, to jej zrobię tour i nie musi bardzo martwić się o pieniądze na tę wycieczkę.

Po ostatnim pożegnaniu z nią siedziałem z sąsiadem i piwem. Było nam smutno, że pewnie już nigdy więcej jej nie zobaczymy, w ostatnich dniach naszego pobytu w Baoding widywaliśmy się kilka razy w tygodniu i nigdy nie brakowało nam tematów do rozmów. W pewnym momencie powiedziałem do Australijczyka: „W sumie ja bym z nią mógł wziąć ślub, żeby jej pomóc z tym wyjazdem... Tylko żadne dzieci nie wchodzi w grę”.

Batman z Madagaskaru

[11.08.2015]

Innym studentem, który miał historię podobną do Iris, był Wayne. Imię wybrał sobie na cześć Batmana, ubóstwiał całą serię, a zwłaszcza *The Dark Knight*. Miał milion rzeczy z logami z filmu: koszulki, piórniki, plecak. W pierwszym semestrze był studentem naszego australijskiego kolegi, potem został naszym. Był najlepszy w swojej (fatalnej) grupie i to go zgubiło – w styczniu dostał tylko 5,5 z IELTS. A mówił mu sąsiad, że bycie najlepszym w słabej grupie nie gwarantuje sukcesu na egzaminie...

Mimo wszystko zdziwiło mnie to, bo Wayne był spokojnie na 6, może nawet 6,5–7. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem problem nieco lepiej: w trakcie egzaminów dostawał takiej nerwicy, że totalnie wszystko kładł. Musiałem mu przez to solidnie oszukać ocenę końcową. To nie był jedynie jego problem, wielu studentów bardzo się denerwowało podczas egzaminów ustnych – telepały im się ręce, jękali się, mówili znacznie poniżej swojego poziomu, robili tak kuriozalne błędy, że trudno było w nie uwierzyć. Tłumaczyłem im, że i tak mają lekko, bo mnie znają, ale jak tak im wypada egzamin próbny, to jak mają sobie dać radę z całkowicie nieznanym egzaminatorem, który może jeszcze mieć jakiś „dziwny” akcent? Ktoś mi w końcu powiedział, że to pierwszy egzamin w cztery oczy w jego życiu i zdałem sobie sprawę, że oczywiście! Przecież Gaokao nie ma żadnej części ustnej, klasy w liceach są ogromne, wszystko zawsze pisali. Podałem im potem parę sposobów na radzenie sobie ze stresem (nie, że sam je uważam za przesadnie skuteczne, ale lepszych nie znalazłem), ale większość nie dała się przekonać.

No i chociaż Gaokao nie ma części ustnej, to Wayne sobie z nim nie dał rady, tak jak powinien (za nic nie chciał powiedzieć, ile punktów dostał, zasłaniał się niepamięcią). Szczerze nie lubił swojej grupy, bo uważał ich za pasożytów jego ciężkiej pracy. Tak też naprawdę było, że wszystkim wszyscy czekali na niego, jego dwie najlepsze koleżanki zamiast splamić się pracą, zazwyczaj zostawiały ćwiczenia do zrobienia jemu. Ilekroć grupa chciała z nami coś załatwić, to przysyłali jego. Bywało, że mówił „ja bym nie prosił, ale oni mi kazali i mnie nie będą lubili, jak nie załatwię”. Był też zawsze tłumaczem dla wspomianej już Zoe, z którą chyba nawet zaczął się trochę więcej spotykać pod koniec semestru. Trochę się przyjaźnił z Kowalskim (o którym będzie więcej za chwilę), jednak zazwyczaj krążył wokół niego cały harem, reszta samców wydawała się za nim nie przepadać.

Zdobył u nas punkty, gdy trwała amerykańska szkoła niedzielna, a on z niej uciekł. Nigdy nie chciał nas odwiedzić, zawsze miał sto powodów, które absolutnie uniemożliwiały mu przestąpienie progu naszego mieszkania. Pisaliśmy więc smsy, łapał nas na placu, na korytarzu, stołówce, ale nigdy nie chciał przyjść do budynku nauczycielskiego.

Podobnie jak Iris, nienawidził filozofii. Co gorsza, dostał tylko 81% z jakiegoś kursu wojskowości i przez to odpadło mu najwyższe stypendium (by je dostać, należało mieć

ponad 85% ze wszystkiego). Ublągał egzaminatora o drugie podejście i pewnego dnia mógł mi zaserwować dość szczegółowe dane techniczne chińskiej floty. Zdał IELTS w czerwcu, ale tylko na 6. Docinałem sąsiadowi, że ledwo Wayne dostał dobrego nauczyciela, to wyniki się poprawiły, ale to nie była prawda.

Wayne tak tyrał i tak się uczył, że wyglądało to na dziką obsesję, zrobiłby to 6, choćby uczył go paprotki, bo pracował sam z siebie. Miałem jednak chwilę przyjemności, gdy przyszedł do mnie po zdanym egzaminie i powiedział, że dzięki mnie nic go na tym egzaminie nie zaskoczyło i że miał temat o transporcie, który to z nimi robiłem chwilę wcześniej. Zostałem jego bohaterem, bo uważyłem prawie połowę grupy – 21 z 47 osób. Nie mógł w to uwierzyć, prawil mi komplementy, że jestem prawdziwym nauczycielem, że nikt wcześniej nie odważył się zrobić takiej rzeźni, ale to przecież samobójstwo, mogą mnie za to zwolnić z pracy! Ponieważ było już po ich kursie i klasyfikacji, powiedziałem mu, że sam odchodzę i że mogą sobie przepisać moje oceny, ale to nie zmieni poziomu jego kolegów i koleżanek. Potem jeszcze monitorował całą naszą zadymę o wynagrodzenie, było mu wstyd za tę sytuację. Staralem się mówić mu wiele miłych rzeczy o Chinach i jego Shijiazhuang, bo był gotów przeproszać mnie za każdego ze swojej grupy i mówić, że mu głupio, że ktoś np. nie przyniósł książki.

Od września będzie w Irlandii i ma nadzieję nie wracać. O ile Iris nie przepadała za chińskim systemem edukacyjnym, o tyle Wayne go po prostu organicznie nienawidził i dość dokładnie widział wiele jego bolączek. Także to, jak wiele traci na tym porządku rzeczy.

W tej samej grupie był Kowalski. Imię wybrał sobie na cześć pingwina z *Madagaskaru*. Od samego początku wzbudzał we mnie pozytywne odczucia, był jedną z najgrzeczniejszych osób, jakie w życiu spotkałem. Szybko okazało się, że kocha piłkę nożną, a że miałem ich lekcje o 8 rano w środę, to gdy się dało (niemal zawsze), siedłem do niego i omawialiśmy wyniki wtorkowej Ligi Mistrzów. Parę razy tak się zagadaliśmy, że zapomniałem, że jestem w pracy i że właściwie to nie mój czas na pogawędki. Jego ulubioną drużyną był Bayern Monachium i uważał, że muszę być szalenie dumny, że Lewandowski jest Polakiem. Przez cały semestr nie udało mi się przekonać go, że jest trochę inaczej i że sukcesy Lewandowskiego należą do Lewandowskiego, a Bayern to nie polska reprezentacja. Ilekroć Lewandowski strzelał bramkę, Kowalski upewniał się, że jestem na bieżąco. Miał trochę ciuchów z importu z logiem drużyny, czasem odnosiłem wrażenie, że przychodzi w nich specjalnie na moje zajęcia, bo mu je zawsze komplementowałem. W inne dni często ubrany był „normalnie”.

Pewnego dnia było mi głupio, bo jakoś mi się powiedziało, że w lipcu będę w Monachium. Kowalski sponsepniał i powiedział, że największym marzeniem jego życia jest zobaczenie meczu wiadomej drużyny na żywo. Fascynowały go Niemcy i nieco ubolewał, że nie ma opcji nauki niemieckiego, ale próbował uczyć się na własną rękę. Odkrycie tego było dość ciężkim szokiem, bo przeważająca większość naszych studentów nie chciała wyrobić nawet minimum tego, czego od nich wymagaliśmy, a ten sam z siebie!

Na ostatniej imprezie Kowalski siedział ze świeczkami w oczach. Baliśmy się pytać, obstawialiśmy, że jakaś rodzinna sytuacja. Wyszedł bardzo wcześnie. Następnego dnia napisał smsa, że się popłakał, że wyjeżdżamy, że pierwszy semestr Matthew, potem my, że zawsze czekał cały tydzień na nasze lekcje i że to były najlepsze zajęcia w jego życiu, że się niesamowicie wiele nauczył i że wie, że nigdy nie będzie miał lepszych nauczycieli. Nawet jeżeli uznamy to za kurtuazję, to on naprawdę lubił nasze lekcje i żywo w nich uczestniczył. Jakoś nigdy nie mówił wiele o Irlandii, wydawało nam się, że mu to obojętne. Zdał IELTS na 6 i to był dokładnie jego poziom, nie denerwował się i zawsze wiedziałem, czego mogę się po nim spodziewać. Od września będzie studiował w Dublinie. Mówił, że wyjazd do Europy wykorzysta na wizytę w Monachium na meczu wiadomej drużyny, rodzice mu ją obiecali za zdanie egzaminu.

Kowalski był z Suzhou w Anhui i podobnie jak Iris bardzo się cieszył, że kiedyś mieszkaliśmy w jego prowincji. Bardzo mi przypominał mego najlepszego chińskiego przyjaciela z pierwszej pracy, Davida. Mieli podobny styl bycia, mówienia i gestykulacji, nawet fizycznie byli podobni, do tego kibicowali tej samej drużynie, interesowały ich Niemcy i rozmawiali ze mną o Lewandowskim. Obaj też mieli w sobie taki spokój, że gdyby sufit zaczął im spadać na głowy, to by tylko nimi pokiwali ze zrozumieniem.

[18.08.2015]

Miałem dwie grupy, które były straceńcze – ludzi, którzy nie dostali się na wymarzone kierunki, a chcieli studiować (a raczej ich rodzice tego chcieli), więc stworzono dla nich studia – podobno obecnie w Chinach jest więcej miejsc na studiach niż uczniów w liceach! Uczelnie będą toczyły dziką walkę o nich (a raczej o ich pieniądze), więc nie spodziewałbym się podniesienia poziomu.

Jedną ze straceńczych grup był Trade. Był on moim koszmarem, kiedyś powiedziałem, że 12:01 w środę to najlepsza pora całego tygodnia. Bo nie zobaczę ich kolejne sześć dni. Poziom był straszny, w grupie 67 osób, ale większość szczęśliwie nie przychodziła. Jak się pojawiali bardziej stadnie, to ich niemal błagałem, żeby uciekli chociaż z drugiej połowy naszych zajęć. Część żeńska grupy to był absolutny pokaz mody, obcinania paznokci w trakcie lekcji, wychodzenia z sali w środku zajęć, najlepiej połączonego z trzaskaniem drzwiami. Po mojej wizycie numer 3654 w biurze („TAK SIĘ NIE DA UCZYĆ!!!”), powiedziano, że właściwie żadnych oczekiwań wobec tej grupy nie ma, płacą, to papiery dostaną, ale mogę tam wiele nie robić, mogą być filmy rysunkowe. Staralem się jednak nie iść na taką łatwiznę i nie stawiać na nich krzyżyka (jak już wszyscy postavili), było około sześciu osób, które miały jakąś pasję, ale tonęły w morzu całej reszty. Hektary czasu spędzałem na uciszaniu grupy, pokazywaniu, gdzie otworzyć książkę, miewałem bardziej rozbawione sześciolatki. Była JEDNA osoba, Tammy, która naprawdę chciała się uczyć i której bardzo się podobało, że zajęcia są inne niż te z chińskimi nauczycielami. Pewnego dnia zasugerowałem jej, żeby przychodziła do np. Accounting, miałem tam ten sam kurs, ale nie mogła, bo miała w tym czasie inne zajęcia. Żał mi jej było, poświęcałem jej dużo czasu, bo konkurencji wielkiej nie było. Trudno mi napisać coś lepszego o kimkolwiek, bo nawet najlepsza w grupie uważała, że czas na przygotowanie np. odpowiedzi na pytanie lepiej wykorzystać na poprawianie fryzury. Inna rewelacyjna przestała przychodzić po czterech tygodniach. Przyznam, że trochę się jej bałem, bo pewnego dnia przytuliła się do mnie dość dziwnie gdy coś jej pokazywałem w książce. Kiedy indziej została po lekcjach o coś mnie dopytać. Miała tak rozpiętą bluzkę, że musiałem patrzeć w sufit, żeby nie widzieć jej, dość pokaźnych, walorów kobiecości. Tuż przed egzaminem chciała przedyskutować swoją niską frekwencję. Naciskała, że koniecznie w moim mieszkaniu i była rozbawiona, gdy się nie zgodziłem. Do Trade przeważnie trafiali ludzie, którzy całkowicie nie dali sobie radę z edukacją, bo ich potencjał intelektualny po prostu na to nie pozwalał.

Drugą taką straceńczą grupą była Business Administration. Tam dla odmiany było bosko, grupa totalnych oryginałów, w tym ludzie z farbowanymi włosami. Nie dziwiłem się, że im nie poszły egzaminy wstępne, wiele osób potrafiło myśleć samodzielnie, często udzielali bardzo oryginalnych odpowiedzi, parę razy naprawdę mnie zaskakując in plus. Nigdy nie miałem tam trudnych lekcji, wszystko szło jak z płatka. Poziom był raczej niski,

średnia ocen z egzaminu katastrofalna, ale im się chciało, nie było to „czy ktoś do ciężkiej nędzy mógłby odpowiedzieć na to pytanie?”. Raczej nieme: „jeny, jak z waszych odpowiedzi dojść do tego, co mam następne???”. Była tam jakaś pozytywna energia do działania, po paru zajęciach byłem w stanie coś powiedzieć o większości osób – w wielu lepszych grupach nie miałem zielonego pojęcia, kto jest kim, bo wszyscy byli wycięci z jednego szablonu. Tam już sprawdzając listę, mogłem wprowadzać elementy rozrywkowe (*Genevieve... Przyjmuję zakłady: ile się nam dzisiaj Genevieve spóźni? Czy da radę dotrzeć do nas przed końcem pierwszej połowy zajęć?*). Potem też nie było źle (*Alice... Czy jesteś w stanie opowiedzieć na to pytanie, nie mówiąc nam o swoim rodzinnym Shijiazhuang?*). Harper – *jaką masz w tym tygodniu obudowę na telefon? E, w zeszłym miałaś lepszą, a najbardziej lubię tę w Absolut Vodka. Tydzień temu miałaś jakieś punkowe dziewczynki i że nigdy nikt ci nie powie, co robić z życiem, a dzisiaj Minionki? Zawiodłem się na tobie!*).

Moim ulubieńcem był Drake, który powoli odkrywał, że jest prawdopodobnie gejem. Wszyscy uważali go za nieco rąbniętego i chyba nie miał wielu znajomych. Chwilami mnie przerażał:

- *Gdzie byś chciał mieszkać?*
- *W Mongolii Wewnętrznej.*
- *Czemu?*
- *Bo tam nie ma mojej rodziny i można być samemu ze sobą.*

W swoich wypowiedziach często używał cytatów z piosenek, całego Michaela Jacksona znał na pamięć. Pod koniec wyznał mi, że jest porażką rodziny, bo zawałił Gaokao i ogólnie liceum. Spędził jego dużą część, grając na necie i słuchając muzyki. Nie mógł uwierzyć, gdy mu powiedziałem, że zapewne tam się nauczył wszystkiego, bo w szkole to wiem, jak bywa. Często przychodził do mnie z pytaniami o to, jak poderwać dziewczynę. Kiedy indziej przyszedł załamany – spotkał Rosjanę, zakochał się od pierwszego wejrzenia i chciał się z nią zaprzyjaźnić. Kazała mu spadać. Pytał, dlaczego ona nie była taka miła jak ja i czy obcokrajowcy są bardziej jak ja, czy jak ona. Oczyma wyobraźni widziałem tę sytuację, do tego wiedziałem, kogo zapewne spotkał. Polecilem mu nie próbować zdobywać niewieścich serc w ten sposób, że lepiej, żeby sobie pojechał do hostelu, wziął dormitorium i może niech zaoferuje komuś, że go oprowadzi po Pekinie, to jest większa szansa na sukces. Zrobił tak, skończył, grając w gry komputerowe z Koreańczykami. Żalił się, że musiał przegrać, bo nie wypada wygrać z gośćmi.

W mój ostatni wieczór w Baoding zaczął do mnie desperacko wydzwaniać: że koniecznie musimy się zobaczyć, ale dopiero wraca z rodzinnego Shijiazhuang i czy może przyjąć do naszego mieszkania. Przybył dopiero o 22 i dał mi w prezencie buddyjską bransoletkę. Zauważył, że noszę coś podobnego, kiedyś mnie nawet pytał o sprawy religijne. Jego prezent ma mnie chronić od nieszczęścia, noszę ją niemal cały czas. Bardzo się boję o jego przyszłość, na wakacje poszedł robić staż w banku, ale totalnie się w tym nie widział. Marzył o tym, żeby zostać kucharzem, niemniej rodzina zmusiła go do studiowania na kierunku ekonomicznym, bo przecież już mieli z nim wystarczająco

kłopotów w liceum. Żył w poczuciu winy wobec rodziców i mówił, że całe szczęście, że jego siostra jest świetną uczennicą i na pewno da sobie radę o wiele lepiej niż on.

Pożegnał mnie słowami „dziękuję za bycie moim nauczycielem i przyjacielem”. Odpowiedziałem, że dziękuję za bycie świetnym uczniem i przyjacielem. Chciał jechać studiować do Kanady, ale potrzebował do tego 7 z IELTS. Obawiam się, że tylu punktów może nie zrobić. Przepisujemy sobie czasem na Skypie – Drake uznał, że QQ to zmuszanie mnie do przesadnych kompromisów cywilizacyjnych, a on chce być człowiekiem jak na Zachodzie, więc założył sobie konto.

W tejże grupie był też Jack. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że jakoś bardzo lubi moje zajęcia, ale zawsze dość rzetelnie (choć diablo powoli) pracował, pisał też dość dobre, staranne wypracowania. Byłem zaskoczony, gdy na dwa dni przed wyjazdem zapukał do naszych drzwi z prezentem dla mnie. Biografią Jackie Chana, po chińsku. Pocieszył mnie, że jest w niej dużo naklejek i zdjęć. Oprócz tego przyniósł nam gigantycznego arbuza, bo arbuz jest dobry na upały. W cztery osoby daliśmy radę zjeść połowę, drugą pod osłoną nocy musiałem wynieść poza kampus. W ostatniej rozmowie powiedział, że moje zajęcia były jego absolutnie ulubionymi i że się bardzo wiele nauczył, że będzie mu brakowało tego lektoratu, że mu bardzo żal, że nie będziemy mieli nigdy więcej razem zajęć. Mnie zrobiło się głupio, że nigdy go nie zaprosiłem, ale nie miałem pojęcia, że żywi jakieś cieplejsze uczucia wobec mnie i moich lekcji.

[22.08.2015]

Miałem grupę Accounting, dzielił mi się na C i D. Obie były dość męczące i duże, pod 60 osób. Poziom był w porządku, ale jednych miałem w środę od 16:30 do 18:20, drugich zaś w piątek o tej samej porze. Ostatnie dwadzieścia minut zajęć bywało strasznie męczące, do tego od jakiegoś kwietnia doszły upały, ludzie cierpieli, ja też miewałem serdecznie dosyć tryskania entuzjazmem.

W D była Dexter, która imię wybrała sobie z powodu wiadomego serialu. Była bardzo wysoka i szczupła, ręce miała tak wychudzone, że niemal przeźroczyste. Gdy dowiedziałem się, że jada jeden posiłek dziennie, to zrozumiałem. Gdy poszliśmy na hot pota, zjadła jeden patyczek. Była najlepsza z obu grup, uczyła się absolutnie wszystkiego, co im wykladałem. Potem mówiła, że uwielbia ten system uczenia, że jej się podoba dużo bardziej niż chiński i że widzi, że przynosi efekty. Przegadaliśmy oceany czasu, bardzo często pytała mnie o to, jak wyjechać do USA, gdy się nie ma pieniędzy. Pochodziła z biednej rodziny, często podkreślała, że nie stać jej na żadne podróże i że nigdy nie będzie mogła wyjechać z Chin. Znalazłem jej tani lot Air Asia do Tajlandii, nigdy nie słyszała o *low costach*. Ucieszyła się, chociaż nie sądzę, że pojedzie.

Jej sytuacja rodzinna pozostawała dla mnie zagadką. Była z Handan, więc daleko do domu nie miała, ale w żadne święta tam nie jeździła, co wydawało mi się dość dziwne. Na początku podawała mi dość wykrętne odpowiedzi, aż w końcu w maju powiedziała, że nie lubi swojej rodziny. Jej siostra studiowała w Guilin, trudno być dalej od Handan, też nie chciała odwiedzać krewnych. Nawet na wakacje nie chciała wrócić do domu rodzinnego. Wiem że jej rodzice absolutnie wielbili Mao, kazali jej nawet mieć jego podobiznę nad łóżkiem. Pewnego dnia, jakiś czwarty tydzień semestru, nie chciała za bardzo odpowiadać, mówiła półsłówkami. Zatrzymałem ją po lekcji i spytałem, co się stało. Okazało się, że ktoś ją nazwał dziewczyną laowaia i że jej teraz wstyd brać udział w debatach. Myślałem, że koniec, ale tydzień później powróciła do wielkiej formy. Mogę się tylko domyślać, jak ją potem nazywano. Zawsze mówiła, że bardzo lubi swoje studia i że sama je wybrała, według mojej wiedzy była w absolutnej czołówce grupy z każdego przedmiotu.

Gdy miała miejsce zadyma z amerykańską szkołą niedzielą, rozpętała internetowe piekło w języku chińskim. Bałem się, żeby przez okazywanie nam solidarności nie wpakowała się w nic poważnego – w końcu wiedzieliśmy, że dyrekcja z uśmiechem na ustach wspiera takie imprezy.

Dexter obsesyjnie wręcz bała się mężczyzn i mówiła, że ma nadzieję nigdy nie wziąć ślubu i że nie da się dotknąć żadnemu samcowi. $2 + 2 = 5$ w kawałkach Radiohead, ja miałem pewne podejrzenia, że jej niechęć do domu rodzinnego może być związana z czymś z katalogu seksualna przemoc domowa. Miała taką fobię, że gdy podczas spotkań jakiś student siadał koło niej, to natychmiast się przesiadała. Z jakiegoś powodu lubiła mnie i ja

mogłem koło niej siedzieć. Trochę się przestraszyłem, gdy pewnego dnia zaczęła mnie pytać, co zrobić, gdy się kocha wykładowcę, który ma dużo więcej lat niż ona. Rozmawialiśmy o tym chyba z godzinę i obawiam się, że mogła mieć mnie na myśli. Była na absolutnie wszystkich naszych imprezach, od samego początku do końca. Ona też nam podarowała arbuza, ale tego daliśmy radę zjeść. Ze wszystkich przyjaciół, ta w jakimś sensie była najsmutniejsza: nawet gdy rozmawialiśmy o jej możliwościach kariery i emigracji, to wychodziło, że i tak musi zostać żoną kogoś, kogo będzie nienawidziła. Właściwie była pogodzona z tym, że jest skazana na nudną pracę, w której nigdy nie będzie wykorzystywała swojej inteligencji. Uwielbiałem w niej to, że nie wstydziła się powiedzieć wprost np. „nie stać mnie na G train, będę się tłukła do Pekinu stojącym w K” albo „uwaliałam egzamin”.

Gdy żegnaliśmy się po raz ostatni, nazwała mnie swoim przyjacielem, niemal płakała, a i mnie wesoło nie było. Nie odzywa się do mnie w ogóle od naszego ostatniego spotkania. Mogę tylko składać ofiary świątynne z nadzieją, że nie będzie musiała wrócić do rodzinnego Handan i że nigdy nie zostanie zmuszona do wstąpienia w jakiś przypadkowy związek małżeński.

W Accounting C było dwóch fajnych chłopaków, Tony i Wyman. Zawsze siedzieli razem i tak samo zawsze wszędzie chodzili razem. Obaj za rewelacyjni nie byli, do tego Tony miał wadę wymowy, ale tyrali, zawsze byli przygotowani. Sami się zgłaszali – to dość wyjątkowe zjawisko w chińskich realiach. Strasznie się denerwowali, gdy próbowałem z nimi rozmawiać poza klasą, więc ich nie męczyłem. W tej samej grupie był Adam i Sherry, nierozłączna para, która chciała wziąć ślub po studiach. Oboje zawsze rewelacja, pełni zapału, ona robiąca niemal komplet punktów ze wszystkiego, on minimalnie niżej. Trudno mi napisać ich biogramy, ale zapamiętałem ich jako obłędnie grzecznych, pomocnych i miłych studentów. Od połowy semestru siedziała z nimi Kate, w trójkę byli pierwszym rzędem i chcieli robić wszystkie ćwiczenia bez czekania na grupę (zazwyczaj oni mieli wszystko gotowe jakieś dwa razy szybciej niż reszta). Gdy czasem tempo po godzinie 18 spadało, ostatnie 20 minut robiłem właściwie indywidualnie z nimi.

Inną gwiazdą był King, student naszej koleżanki. Mówił po angielsku właściwie perfect, uważał, że to łatwy język, niemal się dziwił, że jego znajomym sprawia tyle trudności. Chciał się uczyć japońskiego, ale nie było opcji, więc studiował go w czasie wolnym. Interesowały go komputery i ogólnie IT. Irytowała go cenzura netu, jak również to, że chińskie portale i software wydawały mu się gorszymi kopiami wersji zachodnich. Używał VPN i otwarcie o tym mówił. Za najlepszą firmę świata uważał Google (w tym warunki, jakie Google oferuje pracownikom) i cierpiał jeszcze bardziej niż ja, że nie może używać ich usług. Pytał retorycznie: jak mamy się uczyć od Zachodu, skoro nam się blokuje najważniejszą przeglądarkę świata? Szybko myślał, działał niemal od razu, co bardzo go wyróżniało na tle ogółu. Gdy miałem problemy ze Skypem, dał mi swój internet komórkowy, przeszedł ze mną cały kampus, i testowaliśmy, gdzie będzie mi najwygodniej rozmawiać. W zamian zabraliśmy go na kolację. Nie mógł uwierzyć, że w miarę się orientuję w chińskiej polityce i znam personalia flagowych polityków, jak i historię XX

wieku. Gdy dowiedział się o naszych problemach z taksówkami, chciał wspólnie z nami napisać petycję do władz Baoding. Uważał, że taksiarze sprawiają, że Chiny tracą twarz. Nawet mnie kusilo w to pójść, ale bałem się, że mogą go spotkać nieprzyjemności, więc ostatecznie niczego nie napisaliśmy. Poznałem go dopiero w czerwcu. Nie wyjawiał mi nigdy żadnych planów migracyjnych, po prostu w miarę dobrze się bawił na studiach, które były dla niego banalne.

Odmienną osobą od wszystkich ww. był Huizy. Po angielsku mówił fatalnie, ale lubił naszego sąsiada i jakoś tak stał się składową wielu naszych imprez. Sąsiad miewał z nim lepiej: impreza umówiona na 20, o 18:40 wbija mu Huizy.

– *Że jak i że co???*

– *Bo mi się nudzi.*

– *Rozumiem. Ale ja nie mam czasu, kończę egzaminy, muszę wziąć prysznic, wróc o 20, wtedy będę gotowy.*

– *Spoko. Nie przeszkadza mi to.*

Sąsiad w końcu jakoś go wywalił, ale obraza i strata twarzy była. Pochodził z Anhui, a co lepsze, z Huainan. Był synem bodajże szefa policji lub kogoś w tych klimatach, na pewno dość dobrze ustawionego. Mówił, że ma cztery domy i że nie weźmie za żonę panny, która ma mniej, chociaż do innych czynności z pannami standardy miał nieco mniej wyśrubowane. Wydawało nam się, że czuje się w tym wszystkim jak ryba w wodzie – znał ceny wielu produktów luksusowych, był świadom korupcji, nawet dobrze wiedział, jakie są stawki w np. klinice aborcyjnej, a jakie w szpitalu ogólnym. Tłumaczył nam, że lepiej się żyje oficjałom w małych miastach, bo mniej na nich patrzą, a w takim Guangzhou to łatwo zostać ustrzelonym. Tam się pchają zachłanni, a przecież lepiej jeść mało, ale dłużej, niż rzucać się na żarcie i zostać od niego odciągniętym siłą do jakiegoś smutnego więzienia. Uwielbiał kobiety, a ponieważ znał ceny w pobliskim domu uciech, to podejrzewam, że w nim bywał. Mówił nam też o tym, że dziewczyny z Shandong są łatwe. Wiedza z pierwszej ręki: da się mieć dwie w ciągu jednej nocy! Zaczynamy z pierwszą koło 19-20, upijamy ją, robimy! Potem koło północy idziemy spotkać się z drugą, tam całą procedurę powtarzamy, no one są jak dworce kolejowe, taka przelotowość. Na drugim biegunie są dziewczyny z Mongolii Wewnętrznej, one są groźne i nie dają za łatwo. Jedna mu powiedziała, że jak się do niej będzie bardziej dostawiał, to go postrzeli z łuku. Mówił, że się przestraszył i skoncentrował na prowincjach bardziej chińskich. Od szesnastego roku życia chodził z ojcem na bankiety, zdarzało mu się pijać najdroższe typy Moutai – przynajmniej tak mówił. Zimowe wakacje spędził w Wiedniu, dość mu się podobało, ale był w szoku, że tak drogo. Grywał z nami w badmintona. Próbował rozkręcić biznes gastronomiczny na kampusie, ale nie dostał jakichś pozwoleń od administracji. Z tego powodu rozważał zmianę uczelni na taką, która robi mniej kłopotów z pozwoleniami i jest bardziej przyjazna biznesowi.

Huizy palił obłędne ilości papierosów, jego dziadek pracował w jakichś zakładach tytoniowych i dawał mu fajki, które pali sam Xi Jinping. My też z nich korzystaliśmy, ale często musieliśmy go hamować, bo chciał palić jednego od drugiego. Sąsiad miał problem

natury nauczycielskiej, bo egzamin naszego huainańskiego dziedzica nie wypadł zbyt pięknie, ale już wtedy się dość przyjaźnili i szkoda mu było go ulewać. Na jakimś współczynniku litości znalazł sposób, żeby dać mu notę zdającą, ale sam kandydat nie wydawał się przesadnie zainteresowany studiami.

Do ostatniej imprezy mieliśmy obraz chłopaka, który czerpie garściami z życia, nieźle się bawi i kombinuje, jak poszerzyć swoje możliwości biznesowe i koneksje. Byliśmy w wielkim szoku podczas ostatniego spotkania: zapytaliśmy go o plany na wakacje. Ciężko odetchnął i powiedział:

– *Wakacje? To były wakacje, teraz dopiero będzie ciężko! Muszę wrócić do ojca. Nie macie pojęcia, jaki jest wymagający!*

Huizy żył pogodzony z myślą o tym, że ojciec wybierze mu żonę, która będzie się opłacała finansowo i koneksyjnie, uważał to za standard dla kogoś z partyjnym rodzicem. Pękł właśnie podczas ostatniego spotkania i powiedział, że zazdrości nam, że możemy wyjechać, że możemy sami sobie wybierać współmałżonków. Że nigdy nie zrozumiemy, jakie ciężkie jest życie dziecka oficjała. Jeżeli linia sukcesji ułoży się zgodnie z planami jego ojca, to będziemy mieli przynajmniej jednego nieźle postawionego znajomego. Huizy nie wybierał się nigdzie, miał zamiar żyć w rodzinnym Anhui. W jakimś sensie to była najsmutniejsza znajomość, bo gdy nam gruchnął tym wszystkim, to zdaliśmy sobie sprawę, że w Chinach niemal każdy ma ciężko – czy jest się z nędzy, czy z bogactwa, to pewne uwarunkowania społeczne człowieka dopadną. Można powiedzieć, że na Zachodzie jest podobnie, niemniej jakoś mieliśmy poczucie, że nie aż tak.

[26.08.2015]

Bardzo dawno temu pisaliśmy o Betty. Przestaliśmy ją uczyć w styczniu, czasem się widywaliśmy, ale wydawało nam się, że koniec – bardzo wielu z naszych studentów z pierwszego semestru ignorowało nas w drugim, nie odpisywało na maile, smsy, rozmowy ucinając, nie siadało do wspólnych posiłków. Tak jakby uznali, że szkoda im czasu na nas, bo przecież już nie wystawiamy im ocen. Betty nas nie ignorowała, ale w sumie dopiero w maju zaczęła znowu z nami więcej rozmawiać.

Historia jej życia dość się skomplikowała: rozpoczęła współżycie ze swoim chłopakiem, Michaeliem. Za to wyrzucono ją z religijnej wspólnoty amerykańskiej. Jego zostawiono, bo w końcu była to wyłącznie jej wina, a on na pewno był przeciwko i zapierał się o futrynę, gdy ona zdzierała z niego gacie i swymi zmysłowymi ustami stymulowała go do podjęcia współżycia. Przybliżyła nam pewnego dnia okolice tego związku i byliśmy nieco przerażeni; były tam opowieści o przemocy fizycznej i psychicznej, które ciągnęły się przez lata. Była bardzo rozczarowana, że po ponad roku przyjaźni i należenia do kółka biblijnego Amerykanie zaczęli ją ignorować (choć w ostatni dzień się z nią pożegnali i była z tego powodu bardzo szczęśliwa). Sama religia była jej obojętna – przez lata w domu ojciec wbijał jej do głowy buddyzm i zmuszał do chodzenia na dziękczynne spacerunki do świątyni, ale myślała, że ma przyjaciół, niezależnie od tego, czy będzie wierzyła w Jezusa, czy nie. W mniejszym stopniu ja, ale Aligator i Irlandka zostały jej ścianą płaczu.

Betty jest już w Irlandii, pojechała na całe dwa lata. Sądząc z tempa, w jakim wrzuca fotki na Fejsa, to jej się podoba.

Shczęśliwie owa uczennica zaczęła spotykać się z Robertem – jednym z najlepszych uczniów na kampusie. O nim też swego czasu pisałem. Ostatnie tygodnie przychodził do nas dość często, głównie w duecie z koleżanką. Wtedy to Aligator wygrywał Betty, ja jego. Jego marzeniem był wyjazd do USA, jego kuzyn był już od lat w Chicago i organizował im miękkie lądowanie. Najpierw Robert mówił, że jedzie na rok, ale odmówiono mu paszportu, podobno właśnie przez to, że kuzyn nieco się zasiedział i zapomniał wrócić. W końcu jednak dostał paszport, wtedy mówił, że jedzie tylko na trzy tygodnie. Potem okazało się, że jadą z nim rodzice i babcia, ale Robert nadal podtrzymywał, że to wyjazd czysto turystyczny. Uwielbiał produkty Apple jeszcze bardziej niż średnia narodowa, był bardzo dumny ze swojego dziadka, który dużo grał i zarabiał na giełdzie (boję się, jak jest teraz). Przede wszystkim kochał swego Xboxa i *Assassin's Creed*, nie mógł się doczekać amerykańskich sklepów z grami – bo co z tego, że w Chinach można sobie wszystko ściągnąć za darmo? Skoro za jakieś 400 RMB można wystać nockę pod sklepem, a potem dostać koszulkę, figurkę z gry, jakieś bajery i nośnik fizyczny? Marzyło mu się, że kiedyś powita kolejną odsłonę *Assassin's Creed* w tłumie ludzi mających podobne priorytety. Podkreślał wiele razy, że jest Manchu, a nie Hanem, niemniej także to, że czuje się stuprocentowo Chińczykiem. Wiedział dość dużo o mniejszościach etnicznych, w tym

nawet o tych z południa kraju. Bardzo interesowały go religie – deklarował się jako ateista, ale jego matka była buddystką („też nie je mięsa, tak jak ty!”) i próbowała przekonać go do tej opcji. Podkreśliły: przekonać. Nie miał żadnych nakazów, zapraszała go do celebrowania różnych świąt buddyjskich, ale nigdy nie kazała mu iść. Chodził z ciekawości i rozważał tę opcję. Chodził też na chrześcijańskie spotkania, ale to znacznie mniej go chwyciło. Pewnego dnia przyszedł do mnie z serią pytań o wierzenia Egiptu. Miał teorię, że są one tym samym, co buddyzm, tylko na odwrót: w Egipcie za karę było się unicestwionym, a w nagrodę żyło wiecznie. To przecież dokładnie jak w buddyzmie, tyle że w drugą stronę. Buty mi spadły z wrażenia na takie podejście i myślenie analityczne. Coś niesamowitego, cała reszta nie zbliżała się do takich rejestrów dywagacji i pomysłów. On miał wątpliwości religijne i wiele o nich rozmawiał z matką, potem też ze mną. Przez ponad dwa lata mego pobytu w Chinach był właściwie jedyną osobą, której przyszło to do głowy.

Robert był jedną z osób, z którymi mogłem siedzieć i rozmawiać dowolną ilość czasu. Pod koniec naszego pobytu pojechał do centrum miasta i przywiózł nam tony zachodniego jedzenia, bo pomyślał, że tęsknimy za ojczyzną. On zapomniał o tym, że nie jemy mięsa, my zapomnieliśmy o tym, że tam jest jakieś mięso i zjedliśmy wszystko. Był z Baoding, obecnie powinien być w USA. Czas pokaże, czy wróci, ale z jego potencjałem intelektualnym nie powinien mieć wielkich kłopotów, żeby się tam osiedlić i chodzić po kolejne gry *Assassin's Creed* ze wszystkimi możliwymi bonusami. To właśnie wydawało się dla niego priorytetem. Ponieważ Betty jechała na dwa lata do Irlandii, zapytaliśmy ich o ten temat. Wzruszyli ramionami: jak się uda, to będzie ciąg dalszy. Teraz, to on do USA, ona do EU. Amen. No fajniej byłoby razem, ale się nie da, więc się nie da. Amen, po raz drugi.

Pożegnaliśmy ich w nastroju raczej radosnym: oboje właśnie osiągnęli to, czego chcieli. Nie wydawali się przesadnie podłamani tym, że muszą się rozstać, podchodzili do tego wszystkiego dziko utylitarnie. Życzyliśmy sobie nawzajem wszystkiego dobrego, wymieniliśmy prezenty, uścisnęliśmy się... I to był koniec.

Pewnego listopadowego dnia poznałem Johna. Nie był moim studentem, ale zapamiętam go na lata. Był zawsze miły, aż do przesady. Byliśmy parę razy na zakupach, wtedy pokazywałem mu, że znam nazwy owoców po chińsku. Co było dość intrygujące, John ciągle pytał mnie o sprawy polityczne. Wydawało mi się to nieco dziwne (99% studentów unikało polityki jak diabeł święconej wody). Sami nigdy nie poruszaliśmy tematów politologicznych z uczniami, czasem nas o coś zagadywano, wtedy odpowiadaliśmy plus minus zgodnie z naszymi poglądami i linią Partii. John pytał, czy w Polsce wszyscy wiedzą, że Tajwan jest chiński. Czy w mediach zachodnich pisze się o Nankinie. Czy odpowiednio często potępia się Japonię. Odpowiadałem po linii, że Europa jest daleko i mało zajmuje się Azją, ale tak, wszyscy wiedzą. Marksizm był dla niego chińskim ekwiwalentem chrześcijaństwa, ale samego Marksa nie czytał nigdy. Ciągnął więc arcydurne analogie między tymi dość różnymi systemami. Nigdy nic mu nie zgrzytało, Mao to Jezus, Partia to Bóg Ojciec. Trochę zabawne, tak do piętnastu minut.

Prawdziwe horrory z Johnem przeżywał nasz australijski sąsiad – kiedyś przez godzinę był pytany, dlaczego świat się uwziął na Chiny i czepia się, że budują wyspy na swoim morzu! Matthew lawirował dość długo, aż w końcu wyliczył mu wszystkie konflikty graniczne jakie mają Chiny. John uznał to za koronny dowód na jedno:

– *Widzisz? Widzisz! Patrz jak się wszyscy zmówili przeciwko Chinom! Z każdej strony nas chcą atakować!!!*

Wynajdywał w diabły artykułów o Australii i pytał potem sąsiada, czy to prawda:

– *Czy to prawda, że w Australii można dostać mandat za ogródek?*

Sąsiad pomyślał i powiedział, że tak: jeżeli mieszkasz w okolicach buszu i lasów, to wówczas jakaś inspekcja może ocenić, że np. składujesz siano i że od tego może zająć się busz. Powiedzą ci, że masz to ogarnąć, bo stwarzasz zagrożenie dla okolicy. Niemniej, w centrum Sydney możesz sobie robić z ogródkiem, co tylko chcesz.

– *Czyli w Australii jest dużo większa opresyjność państwa niż w Chinach!*

Tydzień później:

– *Czy to prawda, że w Australii wiele terenów nie ma zasięgu komórkowego?*

– *Tak, w środku kontynentu mieszka bardzo mało osób. Wszyscy mają telefony satelitarne, bo nie oplaca się stawiać masztów telefonii komórkowej w miejscach, gdzie nikt nie mieszka.*

– *AAA! Czyli Australia jest mniej rozwinięta niż Chiny! W Chinach telefony działają wszędzie!*

Po wymianie myśli numer tysiąc, sąsiad powiedział, że nie chce go więcej widzieć na oczy. Przy okazji przybliżył mu swoje dokładne przemyślenia nt. roli Chin w świecie. John chyba w końcu zrozumiał, bo już tylko czasem rozmawiał ze mną – szczęśliwie, z Polską Chiny się nie równają. Dobre parę razy nasłuchiwał moich rozmów z Dexter i strofował ją po chińsku („dziewczyna laowaia”, obstawiam). John bardzo chciał jechać do Irlandii, ale tylko na rok lub dwa, wierzył, że zachodni dyplom pozwoli mu na zrobienie obłędnej kariery po powrocie.

To koniec galerii studentów, którzy zrobili na nas wrażenie i w jakimś pokrętnym sensie przybliżyli nam chińską rzeczywistość. Gdy krzyczeliśmy na siebie z naszą kierowniczką, gdzieś mi grało parę pytań o to wszystko. Jakoś miałem w głowie, że nie drę się tylko za siebie, ale trochę też za nich. Z nimi nikt nigdy nie porozmawia. Dla przeważającej większości system, na który ich skazano, był krzywdzący i ograniczający ich możliwości. Posiadanie tak wspaniałej kadry zarządzającej specjalnie nie stwarzało wielkich możliwości kariery.

Dużo nam dało chodzenie na *English Corner*, dzięki temu tworowi zostaliśmy przyjaciółmi z Dexter i Iris. Była taka inna Betty, która zawsze się chciała przytulać do nas, bo wierzyła, że to trend zachodni i świadczy o tym, że jest na czasie. Z nią też rozmawiałem wiele godzin, ale trudno mi ją opisać. Może nie John, ale cała reszta została w jakimś sensie naszymi Chinami. Po pierwsze, nauczyliśmy się od nich miliona rzeczy. Po drugie, kolejne sześćset sztuk było dla nas jedynie peselami. Nie odbyłem z nimi żadnej ciekawej rozmowy, zawsze było jedzenie i czemu kochasz Chiny. Ewentualnie jakiś mały informator

turystyczny, ale po dwudziestu minutach pacjent umierał, zazwyczaj po wsze czasy.

Specjalna wzmianka należy się paru sprzedawcom ulicznym: warzywa, *malatang*, owoce i ogólnospożywczy. Pierwsze sprzedawano w niebieskim namiocie, w którym temperatura osiągała spokojnie ponad 40 stopni. Właściciel szybko zapamiętał, co lubimy, a czego nie, często pokazywał nam nowe dostawy. Był pod wielkim wrażeniem, że znamy po chińsku nazwy wielu warzyw. Przedstawiał nas stałym klientom. Czasem to zainteresowanie było męczące, ale zazwyczaj miłe.

Pan od *malatang* upierał się częstować mnie papierosami, dawać ciągle zniżki i więcej przypraw niż innym – był zachwycony tym, że lubię ostre i upewniał się, że dostanę odpowiednio zmasakrowane, w tym wszystkim parę razy solidnie przegiął. Pan od owoców zawsze cieszył się, że przychodzimy, ładnie je nam przygotowywał, a gdy wybraliśmy coś w jego mniemaniu mało korzystnego, to sugerował zamianę.

Ogólnospożywczy zawsze eksplodował radością na me wizyty i był pewien, że przyszedłem po piwo. Był załamany, gdy czasem nie i brałem np. tylko wodę. Wszyscy ci ludzie potrafili się z nami skomunikować, ustalić, skąd jesteśmy, ile mamy lat, po co przyszliśmy, czego chcemy itp. Była to pewna radość, bo wielu studentów lubiło pokazywać nam, że po chińsku niczego nie umiemy. Często też sprzedawcy dawali nam zniżki, nie chcieli brać końcówek. Były to najbardziej prymitywne sklepy, jakie można sobie wyobrazić – sypiące się budy, ale obsługa była lepsza niż w wielu centrach handlowych. Pożegnaliśmy się z większością z nich na parę dni przed wyjazdem i podziękowaliśmy za prawie rok współpracy.

Jest to galeria osób najbliższych naszym sercom i najciekawszych, jakie spotkaliśmy. Czy były jeszcze ciekawsze? Możliwe, ale z tych kilkuset, nawet ponad tysiąca, które przewinęły się przez nasze zajęcia i spotkania, te odegrały jakąś większą rolę w naszym życiu, być może my w ich też. Mieliśmy wielu studentów, o których po semestrze nie byliśmy w stanie powiedzieć ani słowa, nawet jeżeli mówili w języku wroga, to ich odpowiedzi były banalne, nudne lub też powtórzeniem tego, co powiedział ktoś wcześniej. Wielu łapaliśmy na kombinowaniu, kłamaniu, lenistwie i oszukiwaniu. Nie tworzyło to atmosfery sprzyjającej zaprzyjaźnianiu się. Po paru tygodniach było jasne, u których błysku geniuszu, sympatii ani fajności nie stwierdzimy. Im lepiej znaliśmy tych dobrych, tym bardziej irytowała nas szara większość, która ciągnęła ich w dół, pasożytowała na nich i konsumowała obłędne ilości czasu lekcyjnego, który mogliśmy spożytkować o wiele lepiej. Większość z tych osób nie marzyła o życiu w Chinach, część wyrażała to śmieiej, część w ogóle, różne czynniki wpływały na ich wizję przyszłości (zanieczyszczenie też się nierzadko przewijało, zwłaszcza po chwilowym hicie *Under the Dome*). Wydostanie się z tego systemu będzie dla nich raczej trudne i skorelowane z ilością posiadanych pieniędzy. Często zaskoczeniem było to, że ktoś przez kilka miesięcy mówił, że u nich wszystko jest

najlepsze na świecie, by pewnego dnia wyznać, że jednak nie. Populacja ChRL sprawia, że wiadomo, że ostatni nie zgasi światła, ale myślę, że wiele z opisanych osób miałoby się lepiej w nieco innej rzeczywistości. Jedni pod względem edukacyjnym, inni społecznym, prawdopodobnie wszyscy pod względem dostępu do informacji i dóbr kultury.

Jakie trudności i radości mieliśmy, poznając wyżej wymienionych i innych?

- Nigdy nie wiedzieliśmy, jak dobrze rozwiązać kwestię picia przy nich piwa (nie innego nie wpadło nam do głowy, tylko podczas spotkania świątecznego mieliśmy szampana, a na ostatnim czerwone wino). Początkowo nie piliśmy, baliśmy się oskarżeń, że demoralizujemy i że zachodnia degeneracja. Potem już mniej się hamowaliśmy, temperatury sprawiały, że zimne piwo (o oszłamiającej mocy 2,5%) stało się ratunkiem dla ciała i duszy, wiedzieliśmy też, że na nas nie doniosą. Poprosiliśmy jednak o nierobienie zdjęć bez naszej wiedzy. Postanowiliśmy też traktować ich jak dorosłych, w końcu mieli 19-23 lata. Huizy czasem przynosił sobie piwo, Iris na ostatnim spotkaniu spróbowała czerwonego francuskiego wina wytrawnego. Zawsze musieli iść do dormitoriów przed 23, więc bywało, że musieliśmy pożegnać się w połowie miłego spotkania, które potem ciągnęło się już tylko w naszym gronie do godzin porannych.
- Zapraszanie ludzi wyglądało tak: wybieraliśmy u kogo, ilu będzie nauczycieli. Potem ustalało się wspólną listę gości, następnie każdemu zostawały ze 2-3 miejsca na swoich studentów, których chciał przedstawić (optymalną liczbą było 6-12 osób, większe spędy sprawiały, że gadali ze sobą, my ze sobą i nic z tego nie wynikało). Niektórzy widzieli nobilitację w byciu zapraszonym, inni raczej nie. Inni potrafili powiedzieć o 17, że super i że będą, a o 18:55 napisać, że nie dadzą rady, bo muszą się uczyć. Podejrzewam tu pewną zasługę naszych współpracowników, którzy to byli łaskawi ostrzegać przed gwałtami popełnianymi w naszych mieszkaniach. Z czasem lista pewnych gości była wystarczająco długa, żeby więcej osób nie szukać.
- Seksualność była dość wyzywającym problemem. O ile sami tematu nie zagajaliśmy, o tyle co jakiś czas coś się pojawiało. Też mieliśmy wiele kłopotów, jeszcze dopóki pytania były „A czy w waszym kraju...?”, to szło, ale zdarzały się bardziej personalne, chociaż już „Czy w waszym kraju uprawia się seks przedmałżeński? Czy można mieć więcej niż jedną dziewczynę? Czy są u was geje? A lesbijki?” bywało nieco problematyczne i prowadziło w różne rewiry, niekoniecznie najbezpieczniejsze. Huizy wydawał się nie wstydzić i wiedzieć wszystko, ale studentki były absolutnie niewinne. Podczas jednej z wizyt padło pytanie, czy śpimy w jednym pokoju, skoro nie mamy dzieci. Irlandka od swoich uczennic dostawała też pytania o antykoncepcję.

- Czasem pojawiała się rezygnacja, bardziej po stronie żeńskiej, ale bywało, że i męskiej: że po studiach trzeba będzie szybko znaleźć dobrą pracę, wziąć ślub, mieć dzieci i troszczyć się o rodziców. Dla wielu osób wyjazd poza Chiny oznaczał wyrwanie się z tego schematu i danie sobie czasu na dokonanie nieco bardziej przemyślanych wyborów. O ile nie sędzę, że rodzice Iris będą zmuszali ją do rodzenia dzieci, o tyle Dexter już wyraźnie musiała mierzyć się z tym problemem. Z kolei wielu mężczyzn bało się, skąd wezmą na to wszystko pieniądze. Nigdy nie znaleźliśmy dobrej odpowiedzi na to, ile można im powiedzieć o np. prawach kobiet lub o tym, że np. chińska tradycja leżenia miesiąc w połogu nie jest do końca zdrowa.
- Pomagała nam jakaś tam znajomość geografii Chin. Niemal każdy Chińczyk jest dumny ze swego miejsca pochodzenia (poznałem jeden wyjątek, z Handan). Wiele osób bardzo się cieszyło, gdy przynajmniej znaliśmy ich rodzinne prowincje, a jeżeli byliśmy kiedyś w ich mieście, to już pełna duma. Nawet nasi studenci z Baoding uważali, że to piękne, starożytne, bardzo ważne miasto, które dało Chinom słynne kulki. Shijiazhuang często podkreślał rolę w historii XX wieku, jak i status stolicy prowincji. Jeden z moich studentów z Hefei uważał, że nie ma lepszego miejsca na całym świecie, z lubością pokazywał zdjęcia stolicy Anhui, pytał, czy poznajemy i czy nam się bardzo podoba. Anhui stało się w jakimś sensie naszą chińską ojczyzną, ludzie z tej prowincji stanowili absolutnie największą liczbę naszych ulubieńców i znajomych, odnosiliśmy też wrażenie, że są najmiłsi. Z czasem wyrobiły nam się pewne generalizacje dotyczące różnych części Chin. Bardzo lubiliśmy Mongolię Wewnętrzną, zwłaszcza dziewczyny – sumienne, przykładowe, staranne i mające ochotę do brania udziału w zajęciach (no i jeszcze te luki...). Poziom często nie zabijał, ale bardzo łatwo i przyjemnie się z nimi pracowało. Hebei było miksem wszystkiego, tak pod względem zachowań, jak i poziomu, oczywiście ich mieliśmy najwięcej. Shandong był nisko w naszych rankingach, Jiangsu dość wysoko, ale bardziej za wyniki naukowe niż styl bycia. Dongbei poniżej średniej. Jednostki z Yunnanu, Hunanu, Syczuanu, Gansu i Guangdongu lepiej niż średnia. Zawinęły się nam nawet dwie osoby z wyspy Hainan, bez skrajnych wrażeń.
- Ogromnym problemem był dla nas ogólny obraz nauczyciela-obcokrajowca. Relacja nauczyciel-uczeń opiera się na jakimś szacunku, zrozumieniu, współpracy, empatii, zaufaniu. Bardzo trudno budować takie relacje, gdy ciągle pojawiają się artykuły o tym, że nie jesteś prawdziwym nauczycielem, że nie ma sensu cię słuchać, bo i tak nie umiesz uczyć, że będziesz dobierał się do studentek, że jesteś niewykwalifikowany i permanentnie pijany. Mieliśmy wrażenie, że widzimy echa tych treści, zwłaszcza w słabszych grupach (lepsi studenci często byli nastawieni dość sceptycznie do chińskich mediów). Pewnego dnia przeczytałem o tym, że nauczyciel zapraszał studentki na prysznic do swego mieszkania, więc jasne, co tam się działo. Gdy parę tygodni później Iris powiedziała nam o tym, jak bardzo nie lubi wspólnej umywalni, domyśliłem się, że on przerobił podobną sytuację i pewnie postanowił komuś ułatwić życie. Plotki są potężną bronią wszędzie, ale

w kontekście obcokrajowców w Chinach, to już istna rzeźnia. Domyślaliśmy się też, że nasi znajomi nie mówili nam o tym zbyt wiele, ale nie wątpię, że do nich też docierały oskarżenia o to, że uczestniczą w dzikich orgiach z białymi i że zdrada narodu. Skoro po czterech tygodniach bycia aktywną na lekcji Dexter została nazwana dziewczyną laowaia, to jakie określenia mogła słyszeć Iris wychodząca często o 22:50 z naszego mieszkania, jedząca z nami posiłki na stołówce i w restauracjach? Mieszanka nacjonalizmu, półprawd i plotek o zabarwieniu seksualnym była dla nas solidnie mecząca, ale obawiamy się, że wielu z naszych znajomych dostawało w plecy jeszcze bardziej.

- Edukacja wyższa wpływa niestety dość demoralizująco na studentów: pierwszy semestr pierwszego roku robiło się dość łatwo, bardzo mało grania na telefonach, bardzo dużo szacunku, pisanie, także zadania domowe nie były problemem. Drugi już trudniej, a im dalej w las, tym gorzej. Apogeum to był trzeci rok, zajęcia tam, to była właściwie strata czasu. Na czwartym jakoś im się poprawiało, bo niektórym świeżała myśl o doktoratach. Jeżeli ktoś nie znajdzie w sobie motywacji wewnętrznej, to zewnętrzna mu raczej nie grozi, chyba, że IELTS i ACCA, tych dwóch egzaminów oszukać się nie dało. Ponieważ niektórzy potrafili dodać sobie 2 do 2, to chcieli z nami rozmawiać nieco więcej, choćby o tych egzaminach – wiedzieli, jakiej jakości informacji mogą dostać od swych chińskich pedagogów. Na nie jednak szli najambitniejsi, wielu odpuszczało je, bo wiedzieli, że nie dadzą rady.

Pisaliśmy o chińskim uniwersytecie, bo tam pracowaliśmy, ale wiemy że wiele z tych problemów stało się dość międzynarodowe. Będzie wesoło, jak rozwiną one skrzydła na kierunkach typu medycyna lub inżynieria – bo jak u nas puściło się kogoś z oszukanym papierem, to katastrofy raczej nie spowoduje, kardiolog to już nieco większy problem. Logika finansowa nakłania uniwersytety do posiadania jak największej liczby studentów – „pieniądze muszą iść za studentem!”. O ile na papierze teoria ta jakoś wygląda, o tyle w życiu działa fatalnie. Jej owoce zbieraliśmy w klasach. Jest absolutnym nonsensem prowadzenie kursu z poziomu mniej więcej B2 w grupie, gdzie ludzie nie mają pojęcia o połowie gramatyki. Też nie jest łatwo być lubianym, gdy grupa kojarzy cię z jakimś wariatem, który przynosi dziwne rzeczy i słowa, a potem jeszcze pałuje na egzaminie. Jest też druga strona medalu, nie zależało nam jakoś dziko, żeby student, który całe zajęcia drapie się po worze i nie mówi ani słowa po angielsku zostawał naszym przyjacielem. Cały czas przyświecała nam też myśl, że wszystkie te przyjaźnie zapewne będą bardzo krótkie. W półtora miesiąca po opuszczeniu Baoding okazało się, że bardzo się nie myliliśmy.